

* DWUTYGODNIK „TOWARZYSTWA SOLIDARNOSC” *

Poglad

17.11. 1985r. • BERLIN • Rok IV Nr 22/95



FOTOGRAFIEREN IST IN DIESEM GEBIET OHNE SONDERGENEHMIGUNG DER
ZUSTANDIGEN BEHORDEN UNTERSAGT

AUF ANORDNUNG DES US KOMMANDANTEN

PHOTOGRAPHING IN THE AREA OF THIS INSTALLATION IS NOT ALLOWED
WITHOUT PERMISSION OF THE COMPETENT AUTHORITIES

BY ORDER OF THE US COMMANDANT

DEFENSE ABSOLUE DE PHOTOGRAPHER A PROXIMITE DE CETTE
INSTALLATION SANS AUTORISATION PREALABLE DES AUTORITES
COMPETENTES

LE GENERAL COMMANDANT

LE SECTEUR AMERICAIN DE BERLIN

ФОТОГРАФИРОВАТЬ ОКОЛО ЭТОЙ УСТАНОВКИ БЕЗ РАЗРЕШЕНИЯ
КОМПЕТЕНТНЫХ ВЛАСТЕЙ, ЗАПРЕЩЕНО
ПО ПРИКАЗУ АМЕРИКАНСКОГО КОМАНДАНТА

**Afera szpiegowska
w USA**

Messner premierem....	1
„Nowy” Sejm	5
Felietony... ..	7

<i>Maciej Radwan</i> Prywatne rozmyślenia	12
--	----

<i>Cezary Stolarczyk</i> Apetyt na komputery	15
---	----

<i>Andrzej Zwaniacki</i> Kwestia równowagi....	20
---	----

Z Sardynii.....	23
-----------------	----

POLSCY WYDAWCY NA EMIGRACJI Tadeusz Filipowicz.....	24
---	----

EMIGRACJA A KRAJ

<i>Ewa Maria Ślaska</i> Polityczne czy ekonomiczne	28
Pieczeń rzymska.	31

<i>Krystyna Grzybowska</i> Druka Polska.	33
--	----

<i>Stanisław Moszyński</i> Kolportaż	37
---	----

<i>Tadeusz Szac</i> Cicha robota.	39
---	----

<i>Lech Dymarski</i> Wiersze.	44
---------------------------------------	----

RECENZJE, OMÓWIENIA POLEMIKI <i>Andrzej Wrecki</i> „Mówię, jak jest”	46
---	----

<i>Jerzy Hoffmann</i> Polskie tango po niemiecku	48
--	----

Raport – Polska 5 lat po Sierpniu	52
--	----

DOKUMENTY	58
Listy do redakcji	60

Oddano do druku dn. 14.11.85 r.

*Zdjęcie na okładce:
Witalij Jurczenko*

Wszelkiego rodzaju komputery wwożone do PRL zostały w myśl najnowszych przepisów zwolnione z jakiegokolwiek cła. Wozimy więc, rozbieramy, podglądamy, "łamiemy" systemy, a "oni", nie my, po cichu zacierają ręce.

Ten brak cła - w kraju, gdzie brak wszystkiego - to bynajmniej nie przypadek. To część prowadzonej z rozmysłem, już nie przez Warszawę, lecz Moskwę polityki, której celem jest zdobycie jak największego dostępu do najnowszych wynalazków technicznych Zachodu. Później sowieccy specjaliści, może nawet specjaliści-więźniowie, przyswoją tę technikę sowieckim rakietom, czołgom czy samolotom. Nieliczni "przemysłowcy" bezcłowych towarów trafią na Zachodzie za kraty.

O ostatniej aferze szpiegowskiej w USA pisze Cezary Stolarczyk w artykule zatytułowanym "Apetyt na komputery" - str. 15.

Messner premierem — cięcie po skrzydłach

(Korespondencja z Katowic)

To, że Zbigniew Messner znalazł się wśród ludzi, którzy po odejściu Gierka zaczęli piąć się błyskawicznie w górę, nie dziwi kogoś, komu znane jest śląskie podwórko polityczne. Wiadomo też było, że Messner pójdzie w górę, ale to, że zostanie premierem nie mieściło się w głowie ani jemu, ani nikomu z jego środowiska.

Wróćmy pamięcią wstecz do lat gierkowskiej dekady. Messner był wówczas wprawdzie rektorem Akademii Ekonomicznej w Katowicach, ale we władzach partyjnych nie był, w aparacie partyjnym nie pracował. Na otarcie też został członkiem egzekutywy Komitetu Miejskiego w Katowicach, a do Komitetu Wojewódzkiego wchodził jako klient. Miał on tam swoją cichą wielbicielek „windażkę”, która windowała go do góry, ale za wysoko wyciągnąć go nie mogła. Była to pani — pardon, towarzyszka — Zdzisława Zadrozna, zasiadająca za władania słynnego „dycymbra”, Zdzisława Grudnia, na stołku sekretarza do spraw nauki i oświaty katowickiego KW PZPR. A nie mogła Messnera wywindować wyżej, bo stał na przeszkodzie potężny „Pierwszy”, to jest tenże Grudzień, powiązany w najprzeróżniejszy sposób z ludźmi ówczesnej śląskiej elity politycznej, to jest z Janem Jonkiem, rektorem Śląskiej Akademii Medycznej oraz Henrykiem Rechowiczem, rektorem Uniwersytetu Śląskiego. Ci obaj panowie byli „mocnymi” rektorami, gdyż zasiadali w egzekutywie katowickiego KW partii, czyli tak zwanego drugiego polskiego politbiura — pierwsze było w Warszawie. Rechowicz był ponadto członkiem KC.

Gdy przyszła „Solidarność” różne machlojki „towarzyszy rektorów” wypłynęły na światło dzienne, w wyniku których skazani oni zostali sądownie. Rektor Jonek dostał „wariackie papiery” i chodzi sobie po Katowicach jako nietykalna persona. Rechowicz wyleciał z partii, a z kryminału zwolniony został ze względu na zły stan zdrowia. Dzisiaj dorabia do cieniutkiej renty na pół etatu w Bibliotece Śląskiej w Katowicach.

To, co hamowało przy starcie Zbigniewa Messnera do najwyższych godności w państwie zgniotła rewolucja „Solidarność”. Ciekawe jest to, że Messner nie ucierpiał w latach 1980-81. A też nie miał czystych rąk. Machlojki z samochodami, sprawa domu w luksusowej dzielnicy Katowic — Brynowie, ale to mu nie zaszkodziło. Był, co trzeba przyznać, człowiekiem lubianym. Obroniła go przed zapędami rozliczeniowymi uczelniana „Solidarność”. Udało się. Potem zaczął iść w górę. Najpierw w Katowicach objął stanowisko przewodniczącego WRN, a po Zabińskim został I sekretarzem KW partii. A potem skoczył wprost do politbiura, co jak na praktyki aparatu partyjnego było wyśzonym nie lada oraz na stołek wicepremiera. Zajął miejsce obok głośnego Rakowskiego, sam pozostając sprytnie w cieniu. Nie zbierał na ogół odium polityki rządu. W szatach eksperta do spraw ekonomicznych nie był na pierwszej linii, trzymał się w tyle, na pośmiewisko wystawiali się Krasieński z jego chrupiącymi buteczkami, Rakowski, doszukujący się wszędzie ludzi chcących „wadzy”, no i nadworny błazen

Z prasy podziemnej



„ZNAK” — HISTORIA KRÓTKA

Pod koniec 1956 r., na fali odwilży i liberalizacji polityki władz nastąpiło ogromne ożywienie niezależnych środowisk katolickich. Przy życzliwym poparciu Kościół, w tym zwłaszcza zwolnieniec z internownia prymasa St. Wyszyńskiego podjęto inicjatywę stworzenia nowego środowiska społeczno-kulturalnego, niezależnego od Stowarzyszenia PAX. Skompromitowany całkowitą uległością wobec władz komunistycznych PAX w pierwszej połowie lat 50-tych korzystał w ruchu katolickim z pozycji monopolisty. Nowa, niezależna od niego grupa oparła się przede wszystkim na reaktywowanych pod koniec 56 r. pismach: *Tygodnik Powszechny* i *Znak* (później również na nowo powstałym miesięczniku *Wieża*) oraz na utworzonych w kilku miastach Polski (Warszawa, Kraków, Poznań, Lublin, Wrocław) Klubach Inteligencji Katolickiej. W skład tej grupy wchodził zarówno katolicy pozostający dotąd na uboczu życia publicznego (Stanisław Stomma, Jerzy Zawilecy, Stefan Kisielewski, Jerzy Turowicz), jak i niektórzy byli członkowie PAX (Tadeusz Mazowiecki, Janusz Zabłocki, później również Andrzej Micewski i Konstanty Łubieński). Mimo, iż w terenie nowe środowisko starało się nie prowadzić działalności o charakterze politycznym, kilku związanych z nim ludzi, o dużym autorytecie, zdecydowało się wyrazić zgodę na kandydowanie z list FJN w nowych wyborach, które odbyły się w lutym 1957 r. Spotkało się to z życzliwym przyjęciem Kościoła. Katolicy kandydaci na posłów nie mieli nadziei na udział w strukturach władzy. Zdawali sobie też sprawę z tego, iż w nowym sejmie stanowiąc

będą znikomą mniejszość. Ich motyw udziału w „socialistycznym parlamencie” tak przedstawił St. Kisielewski: *Myślę, że jeśli możemy doradzić kierującą Polską marksistom coś pozytywnego dla kraju i społeczeństwa, nie powinniśmy się od tego uchylać. A terenem takiego „doradzania” będzie właśnie sejm. St. Stomma stwierdził: Trybuna sejmowa jest także dlatego ważna, że dawac będzie możliwość formułowania własnych opinii politycznych. Poza zabieraniem głosu w sprawach publicznych i doradzaniem komunistom katolicy postawie mieli nadzieję na skuteczniejszą obronę interesów Kościoła i katolików świeckich. Do tego celu chcieli wykorzystywać zarówno trybunę sejmową, jak i możliwości kulaarowych przetargów i rozmów z przedstawicielami partii.*

Do Sejmu II kadencji (1957-61) weszło 11 autentycznych postów katolickich (i tylko 1 związany z PAX). 9 spośród nich utworzyło Koło Poselskie „Znak”, którego przewodniczącym został St. Stomma. Inny członek Koła, znany pisarz J. Zawieyski zasiadł w Radzie Państwa. „Znak” starał się odgrywać w Sejmie rolę „konstruktywnej opozycji” popierającej pryncypia ustrojowe i politykę zagraniczną PRL, ale krytycznie odnoszącej się zarówno do poszczególnych przedsięwzięć ustawodawczych, jak i rozmaitych zjawisk życia politycznego, gospodarczego, społecznego i kulturalnego. Koło jako całość głosowało czterokrotnie przeciw projektom ustaw, a ośmiokrotnie wstrzymywało się od głosu. Jeszcze częściej robili to poszczególni postowie, spośród których z prawa do zajmowania krytycznego stanowiska szczególnie chętnie korzystali: St. Kisielewski, Zbigniew Malarkczyk i Miron Kołakowski. Niezależna postawa „Znaku” wywołała irytację władz, które wycofały się już w tym okresie z polityki demokratyzacji i odnowy. Trudną sytuację Koła pogłębiał zaostrzający się konflikt władz z Kościołem. Nie udało się osiągnąć zaspokojenia aspiracji środowisk katolickich (m.in. zwiększenia liczby KKK-ów ponad „magiczną” liczbę 5, zwiększenia liczby tytułów prasy katolickiej lub chociażby nakładów pism już istniejących) władze zaś godziły również w interesy samego Kościoła (usuwanie religii ze szkół, ograniczenie liczby zezwoleń na budowę kościołów, problem służby wojskowej kleryków).

Niezadowolone partii z postawy Koła wyraziło się zmniejszeniem w kolejnym Sejmie (III Kadencji 1961-65) liczby postów „Znaku” do

Jerzy Urban. Powoli rósł mit Messnera jako ekonomisty. Tak też przedstawiała go nawet prasa zachodnia – „fachowiec gospodarczy”.

Prawda jest jednak inna. Messner fachowcem do spraw gospodarki narodowej nie jest i nigdy nie był. Jest on natomiast niezłym księgowym. Jeszcze na początku lat 50-tych pracował Messner w katedrze rachunkowości, nauczał więc księgowości. Wszystkie jego publikacje dotyczące rachunku kosztów przedsiębiorstwa. Wraz z pojawieniem się komputerów zaczęła się jego nimi fascynacja. Prof. Messner, dzisiejszy premier, zaczął rozwijać elektroniczne przetwarzanie danych, tworząc Instytut Organizacji Przetwarzania Danych. Powstały przy Instytucie ośrodki obliczeniowy stał się oczkiem w głowie pana profesora. Przypuszczam, że to było złotą żyłą, która doprowadziła go do stołka premiera.

Powołanie Messnera na stanowisko premiera nie jest rzeczą przypadkową. Nie kto inny, jak właśnie Messner pasuje do wizji kierowania gospodarką w wydaniu Michaiła Gorbaczowa. Generalny sekretarz KPZR – widać to wyraźnie – dąży do reform. Przy czym są to reformy od góry, jeszcze większe skupienie władzy przez centralę. Tu spada jak z nieba Messner, człowiek od kosztów, od komputerów, a do tego nie obciążony przeszłością epoki Gierka, nie mający powiązań z ludźmi, którzy stali w poprzek na drodze Gorbaczowa do szczytów władzy.

Zmiany w kierownictwie partyjno-rządowym w Polsce stały się wyraźnie dla Gorbaczowa czymś koniecznym. Po pierwsze, trzeba było pokazać, że skończył się kryzys, a więc umundurowany Jaruzelski może zostać przewodniczącym Rady Państwa i przewodniczącym partii. Za tymi pierwszymi zmianami poszły dalsze. Gorbaczow z Jaruzelskim postanowili ciąć po skrzydłach, reformistycznych i stalinowskich i wzmacniać centrum. Ze skrzydła reformistycznego na politycznie nieważne stanowisko wicemarszałka sejmu poleciał Rakowski. Ze skrzydła ortodoksyjno-stalinowskiego w politbiurze wyleciał Olszowski, którego już nie ostaniali, bo ostanąć nie mogli, ludzie na Kremlu – Romanow i Gromyko.

Kosa Gorbaczowa sięga daleko. Kraje satelitarne nie zostają oszczędzone. Tylko czekać, jak przyjdzie kolej na inne demody: Żiwkow, Husak, a nawet Kadar mogą polecieć szybciej niż się przypuszcza. Gorbaczow potrzebuje ludzi młodszych, w jego wieku, technokratów, dla których ideologia marksistowska jest tylko parawanem. Zbigniew Messner spełnia wszystkie warunki, jakie stawia Gorbaczow: jest względnie młody, energiczny, zorientowany centralistycznie, a to, że nie zna ideologii marksistowsko-leninowskiej – po co to księgowemu – to nie szkodzi.

Nie musi mieć więc bólów marksistowskiego sumienia na myśl, że jedną z jego córek, Liliana Walentynowicz ma w Katowicach na Stowackiego sklep z żyrandolami, a mąż drugiej, Bożeny Klimek, zarabia remontując kościoły w RFN. Obie, skądinąd ładne, absolwentki psychologii, będą błyszczeć w światku socjalistycznego jet-setu, do którego należał kiedyś Andrzej Jaroszewicz, przybrany syn jednego z wcześniejszych premierów.

Oświadczenie rządowe premiera Zbigniewa Messnera przed nowym, jak było do przewidzenia, bardzo posłusznym sejmem, było mimo socjalistycznego rytuału dość ciekawe. Czegoś to można się było dowiedzieć? Otóż dowiedzieć się wprost z wygłoszonych przemówień nie można było wiele. Tworzą je jak zwykle stwierdzenia pełne sprzeczności, a więc są one w pełni dialektyczne. Tak więc poinformowano, że minister Baka, pełnomocnik rządu d/s reformy gospodarczej, objął funkcję prezesa Narodowego Banku Polskiego. Wraz z tym mianowaniem ulega likwidacji podległy mu dotychczas urząd.

Gdyby tylko na tym się kończyło, można by na to wszystko machnąć ręką – niech się chłopcy bawią w ich rządowej piaskownicy. Sprawa ma jednak wymiar poważniejszy. Likwidacja urzędu Baki oznacza przypieczątowanie końca i tak nie realizowanego kursu reform, którego jedynymi akcentami, odczuwalnymi boleśnie przez społeczeństwo, były drastyczne podwyżki cen. Wprawdzie premier Messner zapowiada, że nie ma powrotu do anachronicznego systemu nakazowego dodając, że i w Związku Sowieckim przeprowadzane są reformy. Tak, tylko jakie? Reformy Gorbaczowa mają „udoskonalic” istniejący stan rzeczy. Messner z Jaruzelskim chcą robić to samo.

Drugim pociągnięciem Messnera była zmiana na stanowisku ministra spraw zagranicznych. Stefan Olszowski, przedstawiciel partyjnego betonu, odszedł z politbiura i z rządu ze „względów osobistych” argumentując, że chce się zająć pracą wydawniczą i naukową. Jest to argument, jak na komunistyczny świat, rewelacyjny. Będzie czekał w gruncie rzeczy (ma bowiem 54 lata) na następną okazję...

Może jeszcze jedna zmiana godna jest odnotowania. Nowym ministrem spraw zagranicznych został Marian Orzechowski, historyk, politolog, do niedawna profesor uniwersytetu wrocławskiego, a ostatnio, rektor Akademii Nauk Społecznych przy KC PZPR. Kolejny człowiek, który osiągnął swój stopień niekompetencji. Jest to człowiek, który ideologicznie w niczym nie ustępuje Olszowskiemu. Może jest mądrzejszy – jest on przedstawicielem ortodoksyjnego skrzydła partyjnej inteligencji. Nieprzypadkowo ściągnął do kierowanej przez siebie partyjnej Akademii Nauk Społecznych filozofa Jarosława Ładosa z tegoż uniwersytetu, znanego z orientacji stalinowskiej. Jeśli dodać do tego Porębskiego, również z Wrocławia, członka politbiura, to uzyskujemy dość ładny obraz twardego skrzydła.

Przy okazji: Orzechowski fachowcem od spraw zagranicznych nigdy nie był. To, że studiował w Związku Sowieckim i był kilka razy na Zachodzie, w tym w RFN, nie predysponuje go do tej funkcji. To tak, jak gdyby przewodniczkę wycieczek zagranicznych „Orbisu” zrobić ministrem tego resortu tylko dlatego, że była za granicą wielokrotnie, może nawet częściej niż Orzechowski.

Spoglądając poważniej na zmiany nasuwa się myśl, że to kolejny rząd przejściowy. Mundurowi się przejeźli, stąd generał przebiega się w cywila, od którego na kilometr czuć wojskowno. Teraz cywile sprawują męskie rządy – jedna minister oświaty Michałowska-Gumowska, która zastąpiła „zużytego” Faronę nie czyni wiosny – i będzie to wszystko trwało do kolejnego zjazdu, który po lutowym zjeździe partii-matki w Moskwie, odbyć się ma w pierwszej połowie 1986 roku w Warszawie. Wtedy przebiorą się już wszyscy wojskowi w cywilne garnitury i każą światu wierzyć, że sytuacja w kraju się znormalizowała i ustabilizowała. Żeby tylko podziemie i ten dziwny naród nie popuścił im szyków. Jakżeż dobrze rządziłoby się tym krajem nad Wisłą, gdyby nie było w nim Polaków...

Acha, jeszcze jedno, nadworny Urban pozostał na dworze i będzie nadal prowadził swoje widowisko pod tytułem „konferencja prasowa rzecznika rządu” tyle, że nie będzie – jak zapowiedział – informował o liczbie więźniów politycznych – a on to nazywa „niekryminalnych”. Dlaczego? „Bo na Zachodzie takich danych się nie podaje”.

NIEMIECKI CZERWONY KRZYŻ

(Deutsches Rotes Kreuz, Suchdienst, 8000 München 40, Infanteriestr. 7a) poszukuje Wiesława Kielara, ur. 9 stycznia 1931 r. w Barczewie, zamieszkałego ostatnio w Berlinie Zachodnim.

5 (St. Stomma, J. Zawieyski, St. K. sielewski, K. Łubieński, T. Mazowiecki), a także wywieraniem na nie brutalnych nacisków. Tak np. w odwet za głosowanie w 1961 przeciw jednej z ustaw zmniejszono nakład *Tygodnika Powszechnego*. Usiłując doprowadzić do kompromisu partii z Kościołem Koło zaczęło powściągać swą krytyczną postawę w Sejmie starając się nie narażać za nadto władzom. Zresztą i w stosunkach z Kościołem zdarzały się momenty napięć. W okresie największego natężenia ataków na prymasa Wyszyńskiego i Episkopat w latach 1964-66 postawie stanęły w ich obronie jednak, zdaniem prymasa, zbyt chwiejnie. Taktykę maksymalnej powściągliwości i przemilczania wielu drażliwych problemów kontynuowało Koło w Sejmie IV Kadencji (1965-69). Nastąpił w końcu jednak moment w którym „Znak” porzucił tę postawę. W marcu 1968 po brutalnym stłumieniu manifestacji studenckich, 5 postów „Znaku” (St. Stomma, Zawieyski, Łubieński, Mazowiecki, Zabłocki) skierowało do rządu interpelację w tej sprawie. Wywołała ona niezwykle ostre reakcje pozostałych postów, a także zacięłą kampanię prasową. St. Kociołek określił Koło mianem „reakcyjnej resztówki”. J. Zawieyski wystąpił na znak protestu z Rady Państwa. Po słowie „Znaku” rozważali możliwość złożenia mandatów, jednak wzgląd na interesy Kościoła, a także własnego środowiska (KIK-4, redakcja pism, Instytut Wydawniczy „Znak”) powstrzymał ich od tego. Koło pozostało – istniało także w następnych Sejmach (V Kadencji 1969-72 i VI Kadencji 1972-76). Lata te były dość smutnym okresem w dziejach reprezentacji politycznej „Znaku”. Niemal zupełnie zrezygnowano z wypowiedziania opinii krytycznych. Koło bierze zareagowało na wydarzenia z grudnia 1970 r. Udzieliło też zdecydowanego poparcia nowej ekipie E. Gierka (podobnie zresztą jak większość społeczeństwa). Wewnątrz całego środowiska, a również i samego Koła dochodziło do coraz większych konfliktów. Grupa dążąca do jeszcze bardziej ugodowej polityki wobec PZPR wzmagala swą aktywność. Ostatecznym wyrazem rozłamem było głosowanie nad poprawkami do Konstytucji w lutym 76 r. Poprawki te krytykowane przez wielu intelektualistów, a bardziej powściągliwie przez Kościół, wprowadzały m.in. zapis o przewodniej roli partii. Przewodniczący Koła St. Stomma wstrzymał się (jako jedyny poseł) od głosu, podczas gdy pozostali

4 postów „Znaku” (Łubiński, Ząbłocki, Tadeusz Myślik, Jerzy Ozdowski) głosowali za poprawkami. Wkrótce potem w „Znaku” doszło do rozłam. Nowe Koło Poselskie w Sejmie VII Kadencji (1976-80) kierowane przez K. Łubińskiego, a po jego śmierci w 1977 przez J. Ząbłockiego, nazywane powszechnie neo-Znakiem straciło więź z większością instytucji twórczych środowiska „Znak”. Znaczna część działaczy „Znaku” (wśród nich Stomma) znalazła się poza nawiasem oficjalnego życia publicznego i pozostaje tam do dzisiaj.

Koło Poselskie „Znak” powstało w okresie „październikowej odnowy”, której główną cechą była wiara w możliwość demokracji pod kierownictwem partii. Wejście grupy intelektualistów katolickich do koncesjonowanego sejmiku stanowiło próbę dialogu. Szybko okazało się, iż „rządzący Polską marksiści” nie chcą słuchać jakichkolwiek rad, a na uwagi krytyczne reagują bardzo nerwowo. Koło usiłowało wówczas lawirować między bardziej otwartym akcentowaniem własnej niezależności a próbami rozgrywek zakulisowych mających ocalić coraz węższy margines swobód środowisk katolickich. W końcu i to zaczęło przeszkadzać kierownictwu PZPR, zdążącemu do tego, by wszystkie instytucje publiczne składały się wyłącznie z sił afirmujących w 100 (a nie choćby 99) procentach politykę władz. Stąd bezceremonialne, inspirowane przez PZPR rozbiście „Znaku” od wewnątrz. Jest rzeczą znamienią, iż jeden z czołowych teoretyków „pozytywistycznej”, opartej na uznaniu realiów, współpracy z władzami — St. Stomma znalazł się w końcu poza sejmem. Może to służyć jako symbol zakończenia pewnego okresu, którego jednym z istotnych elementów było niewątpliwie Koło Poselskie „Znak”.

(„Wola”, nr 27,
Warszawa, 2. 09. 85.)

LEPIEJ NIŻ BĘDZIE, GORZEJ NIŻ BYŁO

W porównaniu z zimą 1981-82 rzeczywiście nastąpiła pewna poprawa. W pewnym momencie Jaruzelski nawet stwierdził, że można by mówić o cudzie gospodarczym. Ale cuda się w gospodarce nie zdarzają i o tym się przekonuje każda kolejna ekipa.

Poprawa zaczęła się w roku 1982, trwała przez rok 1983 i zaczęła stopniowo wygasnąć w roku 1984. W bardzo niewielkim stopniu osiągnięto ją dzięki pewnym usprawnie-

niom w zarządzaniu, noszącym szumnie miano reformy gospodarczej. (to naprawdę żadna reforma). Więcej dało wycisnienie tzw. rezerw prostych, głównie z górnictwa, które pozwoliły zaspokoić zapotrzebowanie na energię (zmniejszone przez kryzys) i wygospodarować węgla na eksport. Udało się utrzymać kartkowe normy żywności, a nawet ograniczyć reglamentację, gdyż chłopskie rolnictwo nie dowyposażone, o złej strukturze, ze starymi kadrami, wyszukiwane przez państwową politykę zarówno cen skupu artykułów rolnych, jak dostaw środków dla rolnictwa, to rolnictwo okazuje się jeszcze najsprawniej działającą częścią gospodarki. Do tego chyba już cztery lata dobrych zbiorów. Pozwoli to nam prawdopodobnie przekarmić się na dotychczasowym poziomie jeszcze następnym roku. Natomiast reszta gospodarki, nie wyszedłszy jeszcze z kryzysu, zaczyna wykazywać symptomy następnego załamania.

Na początku roku mówiono o surowej zimie, co jest tłumaczeniem dyżurnym. Ale wyniki pierwszego półrocza pokazały, że chodzi tu o coś więcej.

Produkcja przemysłowa wzrosła wprawdzie w porównaniu z pierwszym półroczem 1984 r. o 2 procent, ale plan przewidywał, że ma wzrosnąć o 4 (w 1-y m półroczu zeszłego roku powiększyła się o 5 procent w porównaniu z tym samym okresem roku 1983). Przemysł wydobywczy, który ciągnął gospodarkę po wprowadzeniu stanu wojennego miał w tym półroczu wyniki o 2,7 proc. gorzej niż w zeszłym roku, hutnictwo żelaza gorzej o 5,5 proc. Wyprodukowano o 17 proc. mniej cementu i o 22 proc. mniej nawozów azotowych. (Puławy się wala). O 7 proc. mniejsze są przewozy towarowe, co świadczy nie o ich racjonalizacji, lecz o spadku aktywności gospodarczej.

Zaawansowanie wykonania planu na półroczu jest mniejsze niż w zeszłym roku. W budownictwie wynosi ok. jednej trzeciej zadań rocznych, a mieszkań oddano o 16,5 proc. mniej niż w pierwszym półroczu 1984 roku. To już jest pełna katastrofa.

Eksport do strefy dolarowej spadł o ponad 4 procent, a nasze zadłużenie wzrosło o kolejny miliard dolarów i rośnie nadal, niezależnie od przyznanej nam zwłoki w spłatach, a nawet bardziej na skutek tego.

W tej sytuacji sejm zatwierdził wytyczne planu na lata 1986-90. Jeśli zostanie on wykonany, to po roku 1990 zbliżymy się (tu projekt świadomie daleki był od precyzji) do ta-

kiego poziomu dochodu narodowego na jednego mieszkańca, jaki mieliśmy w roku 1978! To znaczy, że ukradziono by nam co najmniej 13-14 lat, w czasie których świat i Europa nie stoją bynajmniej w miejscu.

Dopiero w 1990 roku ma się skończyć dekapitalizacja majątku produkcyjnego, co znaczy, że jeszcze przez pięć lat będzie trwało.

A przy tym, struktura inwestycji, polegająca głównie na kończeniu tego, co się zaczęło budować wcześniej, będzie taka, że za pięć lat będziemy mieli gospodarkę tak samo przestarzałą, energochłonną, materiałochłonną i niszczylielską dla środowiska, które już dziś jest niszczone w zastraszającym stopniu.

Wszystko to zostanie osiągnięte, jeśli zostaną spełnione warunki nie do spełnienia. To znaczy, gdy poważnie wzrośnie wydajność pracy i eksport na Zachód, gdy zwiększy się oszczędność surowców, energii itp. A plan nie przewiduje środków dla osiągnięcia tych celów, więc jak- by nadal liczone na cud.

Dość konkretnie natomiast prezentują się środki mające na celu „zdyscyplinowanie” siły roboczej, to znaczy wycisnienie większej ilości pracy ze zmęczonych, zabiedzonych i zaganianych ludzi.

To wszystko, co rząd ma nam do zaoferowania na najbliższe 5 lat i raczej także na dalszą przyszłość. Jeśli teraz mówienie, że jesteśmy krajem III świata jest może jeszcze nieco przesadne, to na przełomie wieku będzie to prawda.

Nie jest to żadna tajemnica. Wszystkie te dane, o tym, co się planuje i jak wykonuje się plany, każdy może wyczytać w oficjalnej prasie. Każdy może się zorientować ile nas wszystkich i naszych potomków kosztuje każdy rok panowania ekipy Jaruzelskiego.

(Uw.)

(„Tygodnik CDN,
Głos Wolnego Robotnika”,
nr 122. Warszawa 17. 08. 85.)

NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”



ROZDZIAŁ 20
S106-dw ZŁ

„Nowy” Sejm

Pogłoski o zmianach mających nastąpić w sejmie oraz w rządzie potwierdziły się. Jaruzelski zrezygnował ze stanowiska premiera i zastąpił na stanowisku Przewodniczącego Rady Państwa Henryka Jabłońskiego, wysyłając go jednocześnie na dobrze zasłużoną emeryturę. Urząd Prezesa Rady Ministrów objął jeden z byłych wicepremierów, Zbigniew Messner. W ten sposób konfiguracja władzy w Polsce zbliżyła się, jak prorokowała *Neue Zuercher Zeitung*, do modelu „czechosłowacko-NRD-owskiego” (I sekretarz partii jest jednocześnie głową państwa).

Na boczny tor odstawiony został Mieczysław F. Rakowski. Wydaje się być wątpliwe, czy aby zaszczytna funkcja wicemarszałka Sejmu odpowiada aspiracjom byłego naczelnego redaktora *Polityki*. Jaruzelski zdecydował się na ten krok, twierdzi *Die Welt*, rozczarowany niedołądnością byłego wicepremiera, jeżeli chodzi o pozyskanie intelektualistów i studentów dla reżymu w Warszawie. „Rakowskiemu – pisze dalej *Die Welt* – nie udało się spacyfikować młodzieży studenckiej”.

Neue Zuercher Zeitung podkreśla, iż po raz pierwszy od „polskiego października” zabraknie w ławach poselskich w miarę niezależnej grupy katolickiej. Próby stworzenia takiego ugrupowania przed ostatnimi wyborami do sejmu, nie powiodły się.

Rolę „reprezentanta” katolików w nowym sejmie przejąć ma organizacja PRON z Janem Dobraczyńskim na czele. „Dobraczyński – pisze *NZZ* – popełnił (w swoim pierwszym przemówieniu sejmowym – przyp. red.) szereg przykrych błędów językowych i rzeczowych”. „Literatowi” myliły się biografie przedstawianych przez niego kandydatów do Rady Państwa. Widocznie z nadgorliwości, mianował on ministra zdrowia Szlachowskiego funkcjonariuszem partyjnym. „Nikt się nie rozeźbiał – relacjonuje *NZZ*. – Cała sala milczała, aż Dobraczyński pojął swój błąd i przeprosił zebranych”.

Kariere zrobił Alfred Miodowicz. Członkostwo w Radzie Państwa powinno zadowolony przewodniczącego „nowych” związków zawodowych. Kazimierz Barcikowski, jako „ostatni Mohikanin” z grupy rządowej, która pertraktowała z „Solidarnością” – zauważa *Die Welt* – objął z kolei stanowisko zastępcy Przewodniczącego Rady Państwa.

Gazety niemieckojęzyczne nie podają niestety, jakaż to smakowita posadka dostaje się naszemu pupilkowi w Sejmie PRL, Ryszardowi Szurkowskiemu.

Wierzyć należy, iż nasz znakomity sprinter zdobędzie w przyszłości „czarne okulary” lidera. ■

STARY I NOWY SEJM

1)



2)



Kraj w prasie zachodniej



GLEMP DOKTOREM
HONORIS CAUSA KUL-u

20 października br. odbyła się uroczysta inauguracja roku akademickiego w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Połączono ją z wręczeniem Prymasowi Polski, ks. kardynałowi Józefowi Glempowi, doktoratu honoris causa teologii. Wśród zaproszonych gości znaleźli się: sekretarz Konferencji Episkopatu, abp Stanisław Dąbrowski, przedstawiciele władz państwowych (kierownik urzędu ds. wyznań, minister szkolnictwa wyższego, wojewoda lubelski, prezydent miasta) oraz środowisk akademickich całego kraju (UJ, UW, UŁ, uczelnia Lublina, ATK, uniwersytetu toruńskiego, Papieskich Akademii Teologicznych) i z zagranicy (Belgii, Holandii, Szwajcarii, RFN). Obecni byli ponadto przedstawiciele misji dyplomatycznych: Austrii, Kanady, RFN, Hiszpanii, Australii, Holandii, Szwajcarii, Grecji, Stanów Zjednoczonych, Francji, Włoch i Wielkiej Brytanii.

Rektor KUL-u, bp Piotr Hempterek, powiedział m. in.: „Przyjęcie przez księdza Prymasa tytułu doktora honoris causa jest przede wszystkim zaszczytem dla KUL-u. /.../ Nadając godność doktora honoris causa księdzu Kardynałowi Prymasowi, Uniwersytet Katolicki w Lublinie pragnie wyrazić głębokie przeświadczenie, o wielkiej doniosłości misji, jaką obecny Prymas Polski pełni w posługiwaniu Kościołowi, a przez Kościół i Ojczyźnie”.

Laudację wygłosił promotor, ks. doc. dr Romuald Rak. Podkreślił on chrześcijańską dojrzałość ks. Prymasa, łączącego ją z cnotą roztropności. „Można by tu mówić o wielu przejawach mądrości i roztropności księdza Prymasa, którą jednak nie wszyscy rozumieją, jak nie rozumieją

kański, patrząc na wiele spraw oczyma tylko ludzkimi, niekiedy zaślepionymi, albo oczami tych, którzy – jak dziennikarze – nie widzą niczego w Kościele poza sensacją, za której odkrycie i podanie światu w najszybszym tempie im płać. [...] Ośmielam się powiedzieć, że ksiądz Prymas w sposób nadzwyczaj mądry potrafił przeprowadzić Kościół w Polsce przez najtrudniejsze lata stanu wojennego. Wiele mu zarzucano, że nie nawoływał do zbrojnej konfrontacji, że nie umiał się sprzeciwić, ale równocześnie ci, którzy te zarzuty stawiali, nie dostrzegli, ile ksiądz Prymas dobrego uczynił dla podtrzymania wiary, nadziei i miłości i dla przetrwania ducha zdrowego patriotyzmu w narodzie polskim”.

Kardynał Gieml, dziękując za wyróżnienie, mówił m.in. o roli KUL-u w intelektualnym rozwoju Kościoła w Polsce oraz kultury narodowej. Wyraził również sugestię, że prawne uznanie działalności fakultetów papieskich byłoby wzbogaceniem narodowej kultury, potrzebne jest bowiem tworzenie całej szkoły myślenia o odcyżnieniu w kategoriach publicznych, a takie myślenie musi unikać schematów, które przeciw każdemu myśli twórczą zabijają.

NOWE REPRESJE W ŚRODOWISKU PISARZY

„Polityka kulturalna” władz PRL zaczyna się krystalizować. Po aresztowaniu dr Lothara Herbsta z Wrocławia, poety i krytyka literackiego, przyszła kolej na dalsze represje. W połowie października milicja wkroczyła do prywatnego mieszkania w Poznaniu i zatrzymała na kilka godzin w areszcie grono pisarzy, m.in. Bolesława Faca z Gdańska, Andrzeja Brauna z Warszawy oraz Egona Naganowskiego z Poznania. Przeprowadzono też rewizję u znanego prozaika Jerzego Korczaka. (Inf. własna)

30.10 - 6.11.1985

...UKRADEŁ

Sąd Najwyższy w Warszawie zażądał wyrok nakazujący Józefowi Pinirowi zwrot 80 milionów złotych. Suma ta została podjęta przez Piniora (skarbnika Regionu Dolny Śląsk) na dziesięć dni przed ogłoszeniem stanu wojennego. Jak wiadomo Region Dolnośląski był jednym z najaktywniejszych i najlepiej zorganizowanych w początkowym okresie stanu wojennego; można sądzić, iż te miliony też się w jakimś stopniu do tego przyczyniły.

Piniór argumentował przed sądem w Warszawie – informuje *Der Tagesspiegel* – że „pieniądze to należą do „Solidarności”. Sąd natomiast był zdania, iż „należało przekazać je nowym związkom, a nie finansować nimi podziemną „Solidarnosc””.

DOLCE VITA

Środkiem życia czeka Polaków w kraju. 8 listopada zniesione zostały po dziesięciu latach racjonowanie cukru. Cenę „krzepiącego” artykułu podnosi się jednocześnie o 20%. Operację tę umożliwiły tegoroczne, bardzo pomyślne, zbiory buraka cukrowego – podaje za PAP *Neue Zuercher Zeitung*.

Wynika z tego, że „reformy rządowe” trafiły do przekonania burakom. Nie wstydzcie się, nierogacizno!

TYDZIEŃ WIĘZIENIA POLITYCZNEGO

Tymczasowa Komisja Koordynacyjna „Solidarności” ogłosiła dni 3-10 listopada „Tygodniem Więzienia Politycznego”. W wydanym z tej okazji apelu żąda się między innymi przyznania wszystkim więzionym za przekonania statusu więźnia politycznego. Jak informuje boński dziennik *Die Welt*, akcje mające na celu uświadomienie opinii publicznej, w jak ciężkich warunkach przebywają skazani opozycjoniści, organizuje wiele kościołów w Polsce. Między innymi warszawska parafia św. Józefa.

„SHOAH” W TVP

„Shoah”, dyskusyjny film Francuza Claude'a Lanzmanna, traktujący o eksterminacji Żydów przez narodowych socjalistów, we fragmentach został wyświetlony przez telewizję polską. W dyskusji, która odbyła się w studio TVP bezpośrednio po projekcji, oskarżano Lanzmanna o „szkalowanie narodu polskiego”. Jednakże – jak podkreśla *Neue Zuercher Zeitung* – pierwszy raz w telewizji poruszony został, dotychczas przemilczany, problem antysemityzmu i jego historycznych korzeni w Polsce.

DEMONSTRACJA W STOLICY

2 listopada, w 60-rocznicę przeniesienia szczątków Orląt Lwowskich, odbyła się w katedrze św. Jana w Warszawie uroczysta msza święta. Po nabożeństwie – informuje berliński *Der Tagesspiegel* – grupa około stu osób, wśród nich znany działacz opozycji, Wojciech Ziemiński, próbowała złożyć kwiaty na Grobie

Nieznanego Żołnierza. Milicja nie dopuściła jednak do tego i rozprędziła demonstrację. Nikt nie został aresztowany.

Gwoli przypomnienia: Orlęta Lwowskie, to harcerze, którzy w 1920 roku brali udział w obronie Lwowa przed Armią Czerwoną.

KOLEJNY MORD

W sobotę, 2 listopada, zmarł w olsztyńskim szpitalu nie odzyskawszy przytomności Marcin Antonowicz. Jak doszło do śmierci 19-letniego studenta, relacjonuje berliński *Tagesspiegel*:

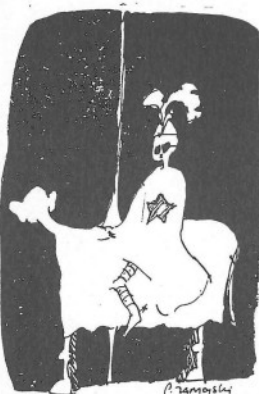
„19 października ok. godziny 22-ej, grupa studentów, wśród nich Antonowicz, wraca z przyjęcia urządzanego na cześć udającego się do wojska przyjaciela. Zostają zatrzymani przez patrol milicji. Po wylegitymowaniu, wszyscy, poza Antonowiczem, zostają zwolnieni. Następnie „suka”, która zabiera studenta chemii. Niedługo potem, przypadkowo przechodnie znajdujący go nieprzytomnego na ulicy. Po przewiezieniu do szpitala okazuje się, że Antonowicz ma złamaną czaszkę i obrażenia tylnej części głowy”.

Według oświadczeń milicji mamy do czynienia z kolejnym „wypadkiem” (aż ciśnie się na usta makabryczne porównanie... – „przy pracy”). Antonowicz miał jakoby rzucić się na funkcjonariusza milicji, a następnie wyskoczyć z jadącego radiowozu.

Marcin Antonowicz nie odzyskał przytomności. Można tylko domniemywać, jak doszło do tragedii. Jeden z lekarzy olsztyńskiego szpitala stwierdził, że stłuczenie mózgu, które było przyczyną śmierci, powstało w wyniku silnego uderzenia gumową pałką. Ponad trzydzieści mieszkańców Olsztyna podpisało petycję „wyrażającą oburzenie i żądającą wyjaśnienia okoliczności tragedii”.

„SMUTNE WYBORY...”

Spórów licznych komentarzy na temat niedawnych wyborów do Sejmu PRL, na szczególną uwagę zasługujące analiza włoskiego politologa, Antonia Gambino, publicysty tygodnika *L'Espresso* (3. 11. br.). Gambino zwraca w pierwszym rzędzie uwagę na fakt, że tym – jak je nazywa – „smutnym wyborem generała Jaruzelskiego” prasa zachodnia, a szczególnie włoska, poświęciła stosunkowo dużo miejsca; zjawisko ciekawe, gdy się zważy, że „nie wiadomo, czego można się było spodziewać po tym wydarzeniu, które nie



tylko – jak wszystkie fakty polityczne na wschodzie Europy – odbywać się miało pod ścisłym nadzorem aparatu przemocy, ale jeszcze udział w nim obywatele władza zapewnić sobie chciała czymś w rodzaju głośnego szantażu”.

Zainteresowania wyborami 13 października nie można jednak w żadnym razie tłumaczyć sympatią dla Jaruzelskiego. Przyczyna jest inna. Mamy tu do czynienia z pewnego rodzaju skrzywieniem uczuciowym, z jakim Zachód spogląda na Polaków. Generalizując, można nawet mówić o pewnym pragnieniu odprężenia. Odnosi się mianowicie wrażenie, iż wielu obserwatorów śledziło wyniki głosowania w Warszawie, Gdańsku czy Wrocławiu w cichej nadziei, że przyniosą one „jakis sygnał, świadczący o tym, że sytuacja w tym największym i najniezszczęśliwszym kraju wschodniej Europy już się jakoś

jeśli nie poprawiła, to przynajmniej ustabilizowała”.

Tymczasem – podkreśla włoski publicysta – nic takiego nie nastąpiło. Oficjalne wyniki – 79 % – należy bowiem porównać nie z wynikami „wyborów” do rad narodowych, lecz poprzednich „wyborów” do sejmu – z cudownymi 99 %. Wówczas przekonano się, że ponad dwadzieścia procent wyborców – czyli ponad pięć milionów obywateli – pomimo świadomości ryzyka, na jakie się narażają, miało odwagę w ogóle nie iść do urn. Jeżeli zaś przyjmiemy dane, jakimi dysponuje „Solidarność” – a które mówią o absencji wynoszącej 34 % – wówczas liczba „aktywnych dysydentów” urasta do 9-10 milionów.

Włoski publicysta uważa, że nie wolno lekceważyć nawet nieznacznej obiektywnie liczby tych, którzy nie dali swego głosu ani Jaruzelskiemu,

FELIETONY Z WOLNEJ ZONY

Nam strzelać nie kazano

Nie kazal, a właściwie zabronił nam tego, Władysław Frasyniuk na łamach wrocławskiego czasopisma podziemnego Z dnia na dzień, chyba w lutym roku 1982. Nie brakowało też z jego strony gróźb (z groźbą denuncjacji włącznie), bo przecież wszyscy znaliśmy się jak tyse konie, a to już wskaźnik, że byłaby z tego figa, a nie partyzantka.

Mineły już prawie cztery lata, emocje opadły. Nikt już w Reiffie nie widzi Rejtana, a Jaruzelski to wszak nie Murawtów „Wieszatki”. Te-

raz, z perspektywy kilku lat przyznaje, iż Frasyniuk miał rację. Prawdopodobnie straciłoby życie kilkudziesięciu sierżantów Karosów; dorobiłoby się paru męczenników; a wszystko rozeszłoby się po kościach (piszę brutalnie, bo inaczej nie można).

Spółczesność polskie nie było (i nie jest) przygotowane do zbrojnych form oporu. Wynika to po części ze zdrowego rozsądku, bo w warunkach europejskich nie wchodzi w grę partyzantka „leśna”, a „miejska”, przy obecnym poziomie środków kontroli społeczeństw, szybko zamieniałaby się w pojedyncze (obustronne) akty terroru. Akty terroru same dla siebie. A wszak nie o to chodziło i chodzi.

A jednak o tych sprawach się nie pisze – są tematem tabu. Nawet najbardziej zaciekli „publicyści”, piszący o „krwawym reżymie” w Polsce, nabierają wody

w usta. Pluć na „komunę” to można ile wleźć, a nawet wypada; i używać określeń w rodzaju „czerwone pająki” czy „dyszący żądzą mordu zomowcy” (cytuje z oryginałów). Bo my to chrześcijanie prawdziwi, a oni tam, tfu!, wystannicy piekiet. A jeżeli ich czymś tam rąbną, to najwyżej zieloną gałązką, którą nam przyniesie w dzióbku biały gołąbek.

Brakuje nam polityków „z prawdziwego zdarzenia”. Nie wystarczy iść i krzyczeć „Solidarność”; można w ten sposób spełnić „swoją patriotyczny obowiązek”; zrobić z siebie przywódcę lub stać się ofiarą represji; lecz nie oznacza to, iż posuniemy się o krok dalej.

Nam strzelać nie kazano. I słusznie. Stare leninowskie pytanie, „co robić?”, pozostaje jednak ciągle bez odpowiedzi.

(AL)

ani Rakowskiemu, spychając ich tym samym na ostatnie miejsce „listy krajowej”.

Wreszcie ostatnie spostrzeżenie: z danych oficjalnych jasno wynika, że frekwencja wyborcza najniższa była w dużych ośrodkach robotniczych, najwyższa zaś na wsi.

Z tej „anomalii” Gambino wyciąga dwa wnioski. Zakładając, że więź z Kościołem silniejsza jest na wsi, aniżeli w uprzemysłowionym mieście (my wiemy, że to uproszczenie, ale niech mu będzie!), włoski publicysta twierdzi, że tego rodzaju opozycji, jaką ujawniły „wybory”, nie zdoła rozbroić ewentualne porozumienie generała Jaruzelskiego z Prymasem Glempem. Drugi wniosek jest natury ogólniejszej: „Dla państwa i władzy, które powołują się na komunizm, nie może być budujące, że najzagorzalsi ich przeciwnicy znajdują się w szeregach proletariatu i ludzi pracy”.

NIEMA PASZPORTU DLA B. GEREMKA

Bronisław Geremek, znany historyk i doradca NSZZ „Solidarność”, nie otrzymał pozwolenia na wyjazd do Berlina Zachodniego. Miał on uczestniczyć jako stypendysta zachodniemieckiego Kolegium Naukowego, w pracach nad historią społeczną średniowiecza. Podanie, które złożył Geremek w waszawskim urzędzie paszportowym – informuje *Der Tagesspiegel* – zostało odrzucone.

PROTEST DGB

Przewodniczący zachodniemieckiej centrali związkowej DGB, Breit, wysłał pismo protestacyjne do ambasadora PRL w Republice Federalnej Niemiec, Olechowskiego. Jak podała DPA, Breit „wyraził (w piśmie – przyp. red.) oburzenie, iż wobec działań związkowych stosowana jest przemoc fizyczna podczas aresztowań, jak i w więzieniach. Rząd polski powinien w końcu zacząć uznawać międzynarodowe prawa i wolności związkowe”.

SPRAWY POLSKIE W GENEWIE? AKCJA SENATORA HARTA

W końcu października br. senat USA podjął rezolucję podpisaną przez 26 senatorów na czele z jej inicjatorem, Gary Hartem ze stanu Colorado, postulującą wniesienie przez prezydenta Reagana na porządek obrad w Genewie sprawy naruszenia praw człowieka w Polsce. Senator Hart jest jednym z przywódców politycznych Partii Demokra-

René Niegoscinnny © WOTENNE REKREACJE MIKOŁAJKA

Jak poszliśmy do szkoły

Koniec laby. Idziemy do szkoły. Z całego podwórka, to tylko Euzebiusz się ucieszył. Powiedział że teraz będzie wygodniej roznosić bibułę, bo już nie będzie tak podpadał z tym wpychanym tomistrem.

Wczoraj była „tygodnica”, jak mówił mój tato. Trzeba było siedzieć po ciemku i zapalać świeczki, a Rotropkowa stała na podwórku i zapisywała na kartelusku, w którym oknie migocze. Mama powiedziała, że jak jej spalimy firanki to się zapisze do OKON-u. OKON, to jest taka organizacja, do której należy Rotropkowa i posterekowy Wycech, który mieszka nad Alestem. Ta organizacja nas ratuje; wspólnie z generałem. Gdyby nie generał, to już by było po nas. Tak powiedział nasz nowy dyrektor, gdy przyszliśmy do szkoły i zebrano nas w świetlicy na apel.

Najmieszniejsze, że nowy dyrektor, to nikt inny jak

Przykuc, nasz pan od wuefu. Maskencjusz, z którym stałem w ostatnim szeregu pod ścianą powiedział mi na ucho, że starego dyrektora internowano. Podśledzałem, mówił Maskencjusz zując gumę (chyba zagraniczną, bo fajnie pachniała), panią Makutrową od zajęć praktyczno-technicznych, jak rozmawiała z panią od biologii. Pani Pantofelek bardzo się dziwiła, jak można było internować pana dyrektora, który zawsze był bardzo ostrożny, nie chodził do kościoła, za co małżonka skakała mu po głowie (teraz już wiem, dlaczego wyłysiał – przyp. Mikoł.) i nie należał nawet do „Solidarności”. Na co pani Makutra powiedziała, że przecież każde dziecko wie (ja na przykład nie wiedziałem – przyp. Mikoł.), iż brat wuefisty pracuje w... no, wiadomo gdzie.

Gdzie, zapytałem Maskencjusza, ale chyba za głośno, bo nowy dyrektor wrza-

snął, żeby ten bezczelny smarkacz (znaczy się ja) zaraz wyszedł na środek sali. Co miałem zrobić, oddałem na wszelki wypadek korkowiec Maskencjuszowi i zacząłem się przepychać przez stojące przed nami dziewczyny. Gruba Goska, syknęła, że dobrze mi tak. Zaprzysiąłem przez śmiertelną zemstę, bo nie dalej jak wczoraj pożyczylem jej byzwy. Babska niewdzięczność nie zna granic.

Aaa, Mikołajek uśmiechnął się straszliwie jak Bruner z kapitana Klossa dyrektor Przykuc i powiedział, że niedaleko padło jabłko od jabłoni. Pomyslałem, że niechcinnie zwiariował od tego szczęścia, iż jest dyrektorem i powiedziałem, że jabłko mam w tornistrze razem ze śniadaniem, które mi mama zapakowała. Dyrektor zbladł i szczerwiwał na przemian i czulem, że zaraz oberwe i odezwiał się pan od rosyjskiego, że nie czas na idiotyzmy, bo sytuacja jest poważna, Ojczyzna Matka w niebezpieczeństwie, a takie wrogie siły (wskazał na mnie) i tak skazane są na zagładę.

Bardzo mi się zrobiło nieprzyjemnie z tego powodu, iż jestem wrogi, skazana na zagładę siła. Ale po apelu wszyscy patrzyli na mnie z podziwem. Chłopacy powiedzieli, że nie ma to, jak być skazanym na zagładę; tak jak Winettou, gdy wpadł w ręce Kiowów.

Rozległy się bębny i zabrzmiała straszliwa pieśń śmierci – to woźny Burdach dzwonił jak opętany. Poszliśmy na lekcję. Meźnie. Jak na prawdziwych Indian przystało.

■ c. d. n.

tycznej, w 1984 roku zdobył w USA ogromną popularność walcząc o partyjną nominację jako kandydat do urzędu prezydenta. Jak poinformowała *Pogład* rzeczniczka sekretariatu Harta, pani Janne Nolan, rezolucja została przyjęta przez prezydenta Reagana ze zrozumieniem i wszystko wskazuje na to, że przedmiotem rozmów Reagan – Gorbaczow w Genewie będą nie tylko sprawy rozbrojenia, lecz również prawa człowieka w krajach bloku wschodniego.

W rezolucji Gary Harta czytamy:

„– Jako że kolejne rządy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej nieustannie ograniczały naturalne prawa ludności tego kraju, a miały ku temu szerokie możliwości, gdyż wymagała tego policyjna i wojskowa siła Związku Sowieckiego;

– jako że reżym polski nie respektując zobowiązań podjętych przez siebie złożeniem podpisu pod Aktem Końcowym Konferencji w Helsinkach w roku 1975, niewiele uczynił w sprawie podniesienia rangi praw człowieka, natomiast przesłał dowód i nękał aresztowaniami obywateli, których przestępstwem były próby przypomnienia, iż rząd powinien dotrzymać międzynarodowych zobowiązań zawartych w tym Akcie;

– jako, że prawie żaden z punktów formalnego porozumienia, zawartego między rządem a wolnym związkiem zawodowym „Solidarność”, nie został dotrzymany, a sam związek zawodowy, jeszcze w lutym 1981 roku, określony przez rzecznika rządu jako nieodłączny składnik życia politycznego, został zdelegalizowany, zaś na robotnikach wywierano wszelkiego rodzaju legalne i nielegalne naciski w celu skłonienia ich do wstąpienia do państwowych związków zawodowych, organizowanych przez rząd komunistyczny;

– jako że od chwili ogłoszenia stanu wojennego w podejrzanych okolicznościach zmarło około 15 politycznych i religijnych działaczy w policyjnych więzieniach, podczas gdy wielu innych bito i torturowano, a wielu z tych, których zwolniono w szeroko propagowanych amnestiach, wkrótce powtórnie zamknięto w więzieniach;

– jako że rząd polski zatwierdził nowe środki prawne, które w wysokim stopniu zrównały prawo cywilne z prawem stanu wojennego, bowiem wprowadzono nowe prawa policyjne, pozwalające na przeprowadzenie rewizji bez ostrzeżenia oraz dające sądom prawo do aresztowania, oskarżenia, skazania i uwięzienia – w ciągu 48 godzin i bez postępowania dowodowego jakichkolwiek osób podejrzanych o popełnienie

przestępstw politycznych lub kryminalnych: dlatego też senat, a w następnej kolejności Izba Reprezentantów, powinny na bieżącej sesji kongresu zobowiązać prezydenta Stanów Zjednoczonych, aby wobec władz sowieckich na najwyższym szczeblu podjął sprawę bezustannego i poważnego ograniczania wolności słowa oraz tłumienia działań politycznych o charakterze pokojowym w Polsce, i w ten sposób podniósł sprawę obrony zasad praw człowieka zawartych w Akcie Helsińskim”.

APEL PARLAMENTU NORWESKIEGO

6 listopada br. Parlament norweski wystosował apel do rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Oto jego treść:

„My, niżej podpisani przedstawiciele wszystkich partii politycznych, reprezentowanych w sejmie norweskim (Det norske Storting), prosimy o zwolnienie wszystkich więźniów politycznych w Polsce. Uważamy, że międzynarodowe zobowiązania Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej wobec porozumień helsińskich i ONZ-owskiej Karty Praw Człowieka i Obywatela doprowadzą do zwolnienia przedstawicieli NSZZ „Solidarność”.

Pełna i bezwarunkowa amnestia dla wszystkich więźniów politycznych powinna być wartościowym wkładem w porozumienie narodowe w Polsce, a także w proces odprężenia w Europie.”

Pod tekstem podpisy złożyli przedstawiciele Partii Pracy, Prawicy, Chrześcijańskiej Partii Ludowej, Partii Chłopskiej – Centrum, Socjalistycznej Partii Lewicowej oraz Prawicowej Partii Postępu.

Komentując apel Parlamentu największa gazeta norweska *Aftenposten* stwierdziła między innymi, że skłócyli Parlament w tej sprawie wykazał pełną jednorodność.

7. - 13. 11. 1985

ITY ZOSTANIESZ TERRORYSTĄ

Jan Rem alias Jerzy Urban skarży się ponownie – podaje berliński *Tagesspiegel* – na terror moralny, stosowany przez „koła kościelne”. W felietonie opublikowanym przez wiele gazet reżymowych grzmi „skarża, prośba i groźba” jednocześnie. „Kto nie chce współpracować z rządem – pisze Rem – ten sam pozabawia się wpływu na przebieg wydarzeń w Polsce”.

Z artykułu Urbana wynika, że terrorystą jest właściwie każdy czło-

wiek, któremu nie podoba się reżym w Warszawie. Arafat zielenieje chyba z zazdrości.

SPD - PZPR

Zachodnioniemiecka partia SPD przedstawia projekt porozumienia pracowanego wspólnie z PZPR. Dotyczy on m. in. zaniechania stosowania przemocy oraz strefy bezatomowej w Europie Środkowej. Rzecznik przewodniczącego frakcji parlamentarnej CDU/CSU, Ruehe, wezwał socjaldemokratów, aby „nie wydawali komunistami polskimi wspólnego oświadczenia”. Ruehe stwierdził – podaje *Tagesspiegel* – iż „inicjatywa SPD podważa wysiłki medycyjnne państw NATO”, oraz „skierowana jest jednoznacznie przeciwko Pakto- wi Atlantyckiemu”.

NOWE ARESZTOWANIA I REPRESJE

Dnia 23 października o godzinie 6 rano do mieszkania Jana Kozłowskiego, jednego z przywódców niezależnego ruchu chłopskiego, wkroczyła milicja. Kozłowski został aresztowany, a następnie przewieziony do aresztu śledczego, gdzie dotychczas przebywa. Jak informuje *Die Welt*, zarzuca się mu „współpracę z nielegalną organizacją”. Kozłowski był,

od wybuchu stanu wojennego, trzykrotnie aresztowany. Stan jego zdrowia (chora wątroba i woreczek żółciowy) jest podobno fatalny.

Janina Wehrstein, działaczka „Solidarności” z Gdańska znajduje się już od 9 października w areszcie śledczym.

Na spotkanie duszpasterski, zorganizowane dla rolników z okolic Stalowej Woli wdarły się oddziały milicji. Doszło do aktów przemocy. Zebrani zostali pobici pałkami, użyto też gazu łzawiącego. Wielu uczestników spotkania aresztowano.

„AMNESTIA”

Warszawska prokuratura generalna podjęła – podaje *Frankfurter Rundschau* – „postępowanie mające na celu ułaskawienie” części więźniów politycznych w Polsce. Zaznaczono jednocześnie, że „osoby szczególnie niebezpieczne” oraz „recydywiści” nie mogą oczekiwać łaski ze strony PRL. W ten sposób tacy działacze opozycji jak Adam Michnik, Bogdan Lis czy też Władysław Frasyniuk pozostaną w więzieniu. Czy kapitan Piotrowski – jako więzień polityczny – ale bynajmniej nie „szczególnie niebezpieczny” wyjdzie wreszcie na wolność...?

Z pięknego mirażu amnestii, ja ki unosił się podczas przemówienia

Jaruzelskiego na forum ONZ, pozostała naga PRL-owska rzeczywistość.

13. 11.

W petycji podpisanej przez 1.409 lekarzy i pracowników polskiej służby zdrowia, zażądano „pełnego wyjaśnienia okoliczności śmierci studenta Marcina Antonowicza”, podał berliński *Der Tagesspiegel*.

* * *

Prokuratura Wojskowa grozi poroborwom, którzy na znak protestu z powodu skazania Marka Adamkiewicza odesłali swoje książki wojskowe, „konsekwencjami natury sądowej”, doniosła *Die Welt*.

* * *

Hamburski tygodnik *Der Spiegel* niezwykle łaskawie wyraża się o Mieczysławie Rakowskim. Prawie ze łzami w oczach żegnają, ustępującego ze stanowiska wicepremiera Rakowskiego, redaktorzy *Der Spiegla*. W mniemaniu zachodnioniemieckiego czasopisma straciliśmy „wybitnego męża stanu” i prawie... „sięg antysocjalistyczną”.

A my mówimy: Niech spoczywa (na stanowisku wicemarszałka sejmu) w pokoju!

nieregularny

PULS
kwartalnik literacki
26

W numerze: KAROL LIBELT: ... Wolność druku; KORNEL FILIPOWICZ: Wiersze; JAN PROKOP: Somosierra i Szlisselburg; LECH DYMARSKI: Trzy opowiadania; STANISŁAW BARAŃCZAK: Wiersze; ANDRZEJ KORASZEWSKI: Książę; POJEDYNKI: Adam Czerniawski – Stanisław Barańczak – Andrzej Drawicz; PULS ROKU 1984; JANUSZ ANDERMAN: Stadion; SŁAWOMIR MROZEK: Nauczyciele; PRZEGLĄD KULTURALNY I NIEKULTURALNY: Karol Gołąb – [Jan Zieliński] – Jacek Fedorowicz – Klamry DRUGI BRZEG: Zmarł Józef Mackiewicz; ARCHIWUM EMIGRACYJNE: Sto pytań pod adresem „obecnej” Warszawy; PRZECHODZIEN: Rozmowa z klawiszem; MUZEUM RUCHU REWOLUCYJNEGO; SOW SHOW; POCZTA; Z FRONTU: Wykaz publikacji niezależnych wydanych w kraju (jesień 1984–lato 1985).

Cena pojedynczego egzemplarza wraz z przysyłką: £3.95 pocztą zwykłą, £4.75 pocztą lotniczą. Prenumerata roczna (4 numery): £15.00 pocztą zwykłą, £19.00 pocztą lotniczą. Prenumerata dla bibliotek i instytucji jest droższa o 50%.

Puls Publications, BCM Box 697, London WC1N 3XX, United Kingdom

Nowości

EWA BIENKOWSKA: Dane odebrane (£4.75 + przesyłka)
PIOTR WIERZBICKI: Lokaj i inne felietony (£4.50 + przesyłka)
GEORGE ORWELL: Eseje (£6.75 + przesyłka)
KAZIMIERZ PODLASKI: Litwini, Białorusini, Ukraińcy (£4.00 + przesyłka)
PIOTR WIERZBICKI: Myśli staroświeckiego Polaka (£4.00 + przesyłka)

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W

KONIEC KADAFIEGO?

Listopadowe wydanie znanego w bońskich kotach rządowych prywatnego biuletynu *ABC Berichte*, którego redaktorem jest polski korespondent niemieckich agencji prasowych w latach dwudziestych, Edmund von Gordon, przynosi jak zwykle nie publikowane dotąd ciekawe informacje i analizy. Według von Gordona okres panowania Kadafiego w Libii zbliża się ku końcowi. Jedną z przyczyn osłabienia pozycji Libii i jej dyktatora jest coraz mniejsza wydajność libijskich złóż ropy naftowej, na których opierała się finansowa potęga Kadafiego. Rezultatem tego jest całkowite przesunięcie sił w północnej Afryce.

Podczas gdy w roku 1980 roczny dochód ze złóż naftowych wynosił 22 mld dolarów, to wpływy dolarowe w roku 1985 zamkną się sumą 10 mld. Należy liczyć się z tym, że złoża naftowe, będące w posiadaniu Libii, zostaną tak wyeksploatowane, iż w ciągu pięciu lat libijska nafta będzie w stanie pokryć jedynie zapotrzebowanie własnego rynku. Oznacza to koniec potęgi Kadafiego. Również rezerwy libijskiego banku narodowego osiągnęły najniższy jak dotąd stan - 3,5 mld dolarów. Równa się to znacznemu osłabieniu pozycji Kadafiego, a co za tym idzie - zmniejszeniu się pływającego z jego strony niebezpieczeństwa dla Europy i Zachodu.

Wpływ Kadafiego opierał się dotychczas na ogromnych środkach finansowych; z powodu braku ludności, Kadafi realizował swoje plany wojenne poprzez unie z innymi krajami, co ostatnio uległo zmianie. Egipt, Tunis i Algieria poszły na dystans w stosunku do Libii po uprzednio zarządzonej przez Kadafiego wydaleni 40 tys. egipskich, tunezyjskich i algierskich robotników z tego kraju. Przyczyną rezygnacji z zagranicznych sił roboczych był brak dewiz. Od lutego 1985 roku na rozkaz Kadafiego libijski technokraci z powodu braku pieniędzy wymówili wiele kontraktów z zachodnioeuropejskimi firmami. Kilka libijskich firm, uczestniczących w gigantycznym projekcie budowy rurociągu wodnego z Sahary do Morza Śródziemnego, ogłosiło plajtę.

We wrześniu 1985 roku w libijskich jednostkach wojskowych doszło do kilku buntów, które zostały

krwawo stłumione. Wywiad egipski uzyskał dokładniejsze dane o dwóch buntach, zaś ostatnio (2 września) prezydent Algierii, Bendjedid Chadli, udał się do Tunisu, aby zawrzeć z tamtejszym rządem wspólny pakt obronny na wypadek, jeśli jedno z układających się państw zostało zaatakowane przez Libię.

CEAUSESCU ŚMIERTELNIE CHORY?

W tym samym wydaniu *ABC Berichte* informuje o złym stanie zdrowia rumuńskiego przywódcy partii i rządu Nicolae Ceausescu. Od pewnego czasu mnożą się w Bukareszcie poszlaki, że stan zdrowia, prawdopodobnie chorego na raka, Nicolae Ceausescu jest bardzo poważny, choć oficjalne organy starają się to ukryć przed opinią publiczną. Przypuszcza się, że Ceausescu przekazał wszystkie sprawy swoim zastępcom i prawdopodobnie wkrótce, w taki czy inny sposób, dojdzie do zmiany na stanowisku szefa partii i rządu.

Według niesprawdzonych wiadomości Ceausescu poddany został operacji dokonanej przez znanego chirurga Eugena Procz. Ostatnim publicznym wystąpieniem Ceausescu było spotkanie z sekretarzem generalnym włoskiej Partii Republikańskiej w dniu 26 sierpnia br. Sprawozdanie, które nadano w telewizji, nie było transmitowane na żywo, lecz z kilkugodzinnym poślizgiem. Wystąpienie Ceausescu było bardzo krótkie, zaś jego głos niepewny. Również zdjęcia Ceausescu, które ukazały się po tym spotkaniu, zdradzały ślady choroby: spadek wagi ciała, przymrzużone oczy oraz opadające kąciki ust pozwalały domyślać się ciężkiej choroby. W niektórych gazetach zdjęcia Ceausescu poddano retuszu, w innych wydrukowano je bez retuszu lub opublikowano zdjęcia pochodzące sprzed roku.

30. 10 - 06. 11. 1985

REPORTERSKIM ŚLADEM...

Nikołaj Szadrin, oficer marynarki sowieckiej, który w roku 1959 przeszedł na stronę amerykańską, został dziesięć lat temu prawdopodobnie zamordowany przez agentów KGB. Reporterzy amerykańskiej sieci telewizyjnej NBC wydobylili na świat-

ło codzienne fakty wskazujące, iż Szadrin działał przez długi czas jako podwójny agent militarnej służby wywiadowczej DIA.

W grudniu 1975 roku udał się on w tajnej misji do Austrii. W Wiedniu Szadrin został porwany, a następnie zamordowany.

„CHORY PSYCHICZNIE”

Estoński pastor Harry Moestnik został skazany na 3 lata ciężkiego obozu pracy. Jak podała *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, za bezpośrednią przyczynę skazania ewangelickiego teologa należy uznać fakt opublikowania przez niego na Zachodzie eseju, w którym odnosił się on krytycznie do „wojny przeciwko ludności cywilnej w Afganistanie, zdradawienia niezależnych ruchów społecznych w Polsce i zestrzelenia koreańskiego samolotu pasażerskiego”.

Pastor Moestnik był już od wielu lat cierniem w oku sowieckich władz. Między innymi w latach 1976-82 organizował on, w pobliżu Leningradu, wspólnotę ewangelicko-luterzańską wśród fińskojęzycznych Estończyków i dzięki nieprzejętej aktywności osiągnął takie rezultaty, że zaniepokojone czynniki sowieckie zmusiły estońskiego arcybiskupa Harka do usunięcia Moestnika ze służby kościelnej.

Jak niestety często bywa, bezkompromisowa postawa przysporzyła pastorowi także kłopotów ze strony władz kościelnych. Arcybiskup Hark określił Moestnika jako „chorego psychicznie” i nazwał jego kazania „całkowitymi bredniami”. Kursoważy również plotki, w których oczerniano teologa estońskiego, nazywając go agentem sowieckim. Doprowadziło to m. in. do tego, że międzynarodowe organizacje luterzańskie i ewangeliczne zaczęły się interesować losem Moestnika dopiero po wyroku wydanym przez sąd w Tallinie.

„ZASKOCZENIE...”

Węgierski opozycjonista Miklos Haraszi podał w rozmowie telefonicznej z wiedeńskim korespondentem *Associated Press*, że milicja budapeszkańska skonfiskowała 700 egz. wydanej poza zasięgiem cenzury książki „Ku europejskiemu marksizmowi”. Funkcjonariusze węgierscy

ciąg dalszy na str. 50

W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W ŚWIECIE, W

Prywatne rozmyślenia

1.

Najpierw w *Życiu Literackim* Mieczysław Moczar opublikował wspomnienia o Melchiorze Wańkowiczu. Teraz ukazała się książka Kazimierza Kąkola *Kardynał Wyszyński jakiego znam*. Jak tak dalej pójdzie, doczekamy dzieła kapitana Piotrowskiego *Moje spotkania z księdzem Popiełuszką*.

2.

W Warszawie odświeżono pomnik Wincentego Witosa i opublikowano pierwszy po wojnie wybór pism marszałka Piłsudskiego, wprawdzie wybór skrajnie tendencyjny, ale zawsze. Polska Ludowa oswaja II Rzeczypospolitą, jakby władza nagle się zorientowała, że narodowi potrzebna jest ciągłość, że za polską tradycję nie wystarczy salwa z Aurory ani nawet to, że Sokorski siedział w więzieniu w Rawiczu za komunizm. Idealni do wybrukowania drogi ku swoicim pojmowanemu porozumieniu narodowemu byliby czcigodni nieboszczycy, spoczywający za granicą — Paderewski, Sikorski, Sosnkowski. Pogrzebanie ich w polskiej ziemi byłoby zarazem uroczystym, z towarzyszeniem kompanii honorowej, salw armatnich i werbli pogrzebaniem ideałów Polski demokratycznej o którą walczyli i którą uosabiali. Temu oswajaniu w sferze symboli towarzyszy żałośnie uporczywe szukanie sukcesu w porównaniach z Polską międzywojenną wedle wzoru, który niegdyś najdobitniej sformułował ojciec naturalny propagandy sukcesu — Jerzy Łukaszewicz. Sam, na własne uszy słyszałem:

— Ile Polska produkowała przed wojną samochodów, no ile? A teraz ile produkuje? To co, nie ma sukcesu? Jest sukces!

A jakże, jest. W jakiejś gazecie krajowej, którą poirytowany rzuciłem na kupę i już potem nie mogłem właściwego fragmentu odnaleźć, przeczytałem pożądaną adresowaną do intelektualistów, zajmujących postawę opozycyjną, choć przecież to Polska Ludowa dała im wykształcenie, a gdyby nie ona, socjalizm i manifest lipcowy do dziś chodziliby boso za krowami i sylabizowali na książce do nabożeństwa. Dokładnie tak właśnie było napisane, zupełnie jakby kraje europejskie, których nie dotknęła obuta w amerykańskie buty stopa żołnierza Armii Czerwonej załudnione były

do dziś bosymi pastuchami mamroczącymi z trudem pod nosem z wiszącą kapką, godzinki i akty strzeliste. Swoją drogą wyobrażam sobie, że dla kół partyjno-policyjnych musiały być to obraz piękny i godny pożądania — opozycja zamiast mącić po kawiarniach, ubrana w proste siemielgi, z wierzbową wtką zajęta zapędzaniem krów. Coś w tym jest miłego. Może by tak zaprowadzić w PGR-ach brygady reedukacyjne, najlepiej imienia Wincentego Witosa.

3.

Na temat istnienia w Polsce niemieckiej mniejszości narodowej zdania są podzielone — Niemcy utrzymują, że w PRL mieszka jeszcze co najmniej kilkaset tysięcy Niemców, władze PRL uważają, że nie mieszka ani jeden, co nie przeszkadza im miesiąc w miesiąc wydawać kilka tysięcy dokumentów repatriacyjnych. Problem policzenia Niemców w Polsce jest politycznie nierozwiązywalny z dość prostego powodu: obie strony ex defitio uważają Niemców mieszkających w Polsce za Niemców Zachodnich. Zdaje się, że sami Niemcy polscy też się za takich uważają. Nigdy jeszcze na Śląsku czy na Mazurach nie natrafiłem na Niemca powiadającego o sobie, że jest Niemcem demokratycznym, republikańskim, chłopsko-robotniczym i związanym dożgonnym węzłem przyjaźni ze Związkiem Sowieckim. Jedyny taki Niemiec, jakiego udało mi się spotkać mieszka w Lipsku, nazywa się czysto po niemiecku — Stanisław Szczuka i wywieziony został przymusowo z Opolszczyzny w 1946 roku. Rząd PRL nie dostrzegając istnienia mniejszości niemieckiej, a więc potrzeby organizacji społecznych i kulturalnych dla Niemców postępuje dokładnie tak samo, jak w przypadku nie dopuszczania do powstania w Warszawie Instytutu Goethego, o którym wiadomo, że szerzyłby kulturę nie niemiecką, ale burżuazyjną, odwetową, imperialistyczną i jaką tam jeszcze. To samo jest z Niemcami mieszkającymi w Polsce, którzy gdyby im pozwolił się organizować, czyniliby to wokół ideałów obcych i wrogich, mówiliby po zachodnioniemiecku, a może jeszcze i śpiewali pieśni marszowe, w rodzaju „O Tannenbaum”. Myślę, że w tej subtelności wynikającej z obiektywnego istnienia dwóch gatunków Niemców tkwi pewna szansa na pomyślnie rozwiązanie sprawy i uznanie, zgodnie z Aktem

Końcowym z Helsinek, istnienia mniejszości niemieckiej i jej praw. Otóż należy uznać, że Niemcy mieszkający w Polsce są wschodni Niemcy, postępowi, dialektycznie marksistowscy, wszyscy są duchowymi dziećmi Róży Luksemburg i Ericha Honeckera, sfłodzonymi w rezultacie socjalistycznych stosunków produkcji. Takim Niemcom rząd PRL mógłby spokojnie pozwolić się organizować dla wspólnego studiowania pism Bebla i Liebknechta. Natomiast nie widzę szans na zorganizowanie mszy i duszpasterstwa w języku niemieckim. Już mniejsza z tym, że Niemcom dialektycznym żadna religijna posługa nie jest potrzebna. Ale oto organ KC PZPR — *Polityka*, przytoczył ostatnio argument rozstrzygający zarówno politycznie jak i doktrynalnie (mowa tu o doktrynie wiary); odrzucenie niemieckich żądań mszy w języku niemieckim jest ze wszech miar uzasadnione, bowiem w roku 1933 Franz von Papen, wicekanclerz III Rzeszy i Eugenio Pacelli sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej za pontyfikatu Piusa XI podpisali konkordat, który nie zabezpieczał prawa do języka polskiego w kościołach skupisk polskich w Rzeszy. Odmawiając dziś Niemcom, odpłacamy im po prostu pięknym za nadobne, realizując zasadę sprawiedliwości historycznej. W kościołach polskich, do których uczęszczają Niemcy pojawiła się pogańska bogini pomsty dziejowej — Nemezis, co trudno będzie jednak uznać za cud. Już bliższe cudowności jest forsowanie przez pismo partii komunistycznej nowej zasady wiary — oko za oko.

4.

Pełny tytuł Jaruzelskiego: I sekretarz KC PZPR, członek Biura Politycznego, Przewodniczący Rady Państwa, Zwierzchnik Sił Zbrojnych, przewodniczący Komitetu Obrony Kraju, poseł na Sejm PRL, generał armii Wojciech Jaruzelski herb Słępowron.

5.

Pytanie do radia Erywań.

— Co należy zrobić by wesprzeć antyalkoholowy program Gorbaczowa?

Odpowiedź.

— Należy to oblać.

6.

Moi ulubieńcy, korespondenci włośni z Tworek otrzymują i w Polsce wyróżnienia. W konkursie „Polskie jutro” rozpisany przez Biuro Prasowe Rządu i SD PRL nagrodę zdobył Ryszard Świerkowski za tekst pod tytułem „Ani Japonia,

ani Bangladesz”. Jak łatwo się domyśleć już z tytułu, mowa jest o Polsce. A jakie to myśli uznali za godne nagrody panowie Urban i Krzyżagórski?

W różnych okresach historii pojawiały się sekty skopców, to jest mężczyzn uznających, że popędy naturalne wywodzą się od szatana. Wobec tego sami siebie okaleczyli, wyłaczając się tym samym z naturalnego życia. Czyż dziś ucieczka przed koniecznym wysiłkiem i potrzebą zwiększonej aktywności nie jest samookaleceniem?

W ten niestożby sposób zacierpnięty jakby z pism Przybyszewskiego laureat Honorowego Kaftana Bezpieczeństwa stwierdza, że społeczeństwo polskie amputowało sobie — zapewne 13 grudnia — chuć pracy i popęd do działalności społecznej. Tezę tę autor podkucał zapewne w sali maniaków seksualnych, gdzie Reykowski, Cackowski, Szczepański i Grzegorzcyk nic tylko pieprzą i pieprzą, że społeczeństwo znów nie dorosło do władzy. Następnie Świerkowski ostrożnie — i tylko jedną nogą, ale za to lewą — wchodzi na grunt zasad ustrojowych.

O potrzebie rozwijania demokracji pisać tu szerzej nie będę, bo po pierwsze rzecz należy do dokładnie opisanych, po wtóre nie ma kogo przekonywać, gdy wszyscy są za.

Za rezygnację z szerszego opisywania potrzeby demokracji dostał Świerkowski z pewnością punkty dodatkowe. I kolejne za uświęcone tradycją powoływanie się na klasyków marksizmu: Świerkowski wybrał Lenina i Chłopeckiego.

W ślad za Jerzym Chłopeckim chciałbym przypomnieć, że rozwój sfery ludzkiej wolności zawsze mógł występować tylko w granicach wyznaczających zasadę: tyle wolności, ile można, tyle ograniczeń i przymusu, ile trzeba. Czasami nawet, niczym skoczek w dal trzeba się cofnąć, aby nabrać rozpędu dla pokonania przeszkody.

Ponieważ więcej trzeba niż można, nie mogli Chłopecki ze Świerkowskim zauważyć, że ich skoczek nie tylko się cofnął, ale wycofał z konkurencji i przeniósł na strzelnicę, oczywiście strzelnicę imienia Lenina.

Trzeba więc otwarcie i głośno mówić o sposobach walki z przeciwnikiem politycznym. Przypomnę co o krytyce mówił Lenin: powinna być w socjalizmie ostra i wszechstronna, ale baczenie trzeba strzec jej treści: nie może być kontrrewolucyjna. A taką właśnie była i jest „krytyka” ze strony naszych dzisiejszych mafii politycznych...

Nasze dzisiejsze mafie polityczne to oczywiście nie partyjna nomenklatura ani wszechwładna Służba Bezpieczeństwa, ale ludzie, którzy sporządzają, drukują, rozpowszechniają nieocenzurowane teksty, zwane także nielegalnymi, jakby dzieło umysłu ludzkiego w jakikolwiek sposób mogło być nielegalne. Oczywiście, takie subtelności nie

zajmują pensjonariusza Tworek, który woli się rozjeżdżać za represjami:

Zaostrzone ostatnio represje, absurdalnie kwestionowane przez źle widzących pięknoduchów są niezbędnym sposobem ratowania się społeczeństwa przed zagrożeniem.

Pięknoduchy nie dostrzegające urody szubienic, pałek milicyjnych, gmachów więziennych, posepnego i pociągającego uroku piwnicznych kazamat i bizuteryjnego połysku kajdan nie są doprawdy na miejscu w tym zbiorowym domu wariatów, jakim jest Polska i gdzie Świerkowski tak dobrze się czuje, że nawet dostrzegł, kogo trzeba represjonować przede wszystkim, by czuć się mógł jeszcze lepiej. Zanim przedstawię ten cytat, małe wyjaśnienie – kolejność zdań nie rozdzielonych akapitami, jest w artykule Świerkowskiego dokładnie taka sama, jak poniżej, nie dokonywałem tu żadnych manipulacji, więc zażalenia proszę kierować wprost do Tworek.

Środki masowego przekazu powinny (...) piętnować przejawy politycznego awanturnictwa tej części księży, której tego typu aktywność jest groźnym i nie do tolerowania czynnikiem dodatkowej demoralizacji młodzieży. Polska znajduje się niestety w czołówce krajów europejskich niszczących własne i cudze zasoby środowiska naturalnego.

O ile dobrze zrozumiałem – a nie jest to łatwe – księża są odpowiedzialni za demoralizację młodzieży i niszczenie środowiska naturalnego. Ma to wszystkie cechy prawdy obiektywnej. Młodzież, zdemoralizowana w kościele udaje się w krzaki i niszczy tam środowisko. Świerkowski odkrył prawdę i słusznie otrzymał nagrodę Urbana. Jedno chciałbym tylko wiedzieć; jeśli tekst powyżej we fragmentach zacytowany, a pozostałe były równie znakomite tylko nudne, uznano za najlepszy, to jak przedstawiały się te nienagrodzone?

7.

W londyńskim sklepie skorzystałem z okazji, że rzucili większą bez kartek i kupiłem pięto, składając w ten sposób datek na budowę dobrobytu w Związku Sowieckim.

8.

Anegdota gdzieś z lat siedemdziesiątych.

Ernest Bryll pojechał do Gruzji na zaproszenie tamtejszego Związku Pisarzy. Prezes wydał na

jego cześć przyjęcie. Wspaniała willa, dostojni goście, znakomite trunki. Wszyscy stanęli kołem w salonie i gospodarz, gruzińskim zwyczajem wygłasza toast na cześć gościa. Potem wszyscy podnoszą kieliszki do ust, oprócz Brylla.

– Nie mogę pić, jestem chory – tłumaczy się gość. Wszyscy zamarli z kieliszkami w rękach, nie wiadomo, że zgrozcy, że współczucia. Gospodarz zaś chwycił za telefon i wezwał pogotowie.

I wszyscy czekają.

Przyjechał lekarz w białym kitlu i prezes pisarzy gruzińskich powiada mu:

– Słuchaj, ten towarzysz powiada, że nie może pić, bo jest chory. Zbadaj go, czy nie kłamie.

Wywekli Brylla do drugiego pokoju, poddał badaniu. Lekarz wraca i mówi:

– Zdrowy nie jest, ma coś z wątrową, lepiej, żeby nie pił.

Wszyscy odetchnęli, wychyliłi zaległy toast, potem następne, zabawa potoczyła się normalnym torem i nikt już abstynencji Brylla nie dostrzegł. Dopiero nad ranem, gdy goście się już rozchodzili, a gospodarz odprowadzał Brylla do drzwi, pochylił się do jego ucha i wyszeptał:

– Ernest, mam do ciebie prośbę, jak będziesz szedł ulicą, to się choć trochę zataczaj, bo co sobie o mnie sąsiedzi pomyślą.

9.

W Olsztynie gwałtowna śmierć studenta wedle znanej, rutynowej formuły – upił się, przewrócił i umarł. Tak jak Pyjas, jak Przemysk, tak jak dziesiątki innych. Współuczestnictwo władz w bandyckich wyczynach milicji, przyzwalanie na skrajną brutalność i tuszowanie zbrodni są nie tylko czymś odrażającym, ale i dla samych piewców silnego państwa rozumianego jako państwo represji, więzień i przelewu krwi niebezpieczne. Jeśli dziś można zabić bezkarnie studenta, księdza, rolnika, jutro przyjdzie kolej na sekretarza partii, ministra, rzecznicza prasowego rządu. Od stanu wojennego milicja coraz mniej staje się aparatem pilnowania porządku, jaki by nie był, a coraz bardziej tajną organizacją, sprzysiężeniem, związanym coraz liczniejszymi i coraz bardziej krwawymi tajemnicami. I sprzysiężenie to rośnie z każdą ofiarą w siłę, któregoś dnia może się upomnieć o pełnię władzy. ■

**POGLĄD - JEST OBECNIE DO NABYCIA W BERLINIE
W KIOSKU NA BAHNHOF ZOO**

oraz w „MUZEUM MURU” przy Friedrichstraße

Apetyt na komputery *

Część I

To jeden z bardzo rzadkich wypadków, gdy jednostka wpływa może jeszcze nie na bieg historii, ale powoduje głęboki wstrząs supermocarstwa. W dodatku nie wiedząc, co robi, mając całkiem inne, przyziemne zamiary. Była pani Walkerowa z pewnością nie zdawała sobie sprawy, jakie będą skutki telefonicznego donosu do FBI, który złożyła – inspirowana pewnie żółcią i złością – na swego eks-matżonka, Johna Walkera. A skutki były takie.

Gdy prywatny detektyw o pseudonimie „Szczęki”, niegdyś ekspert w dziedzinie łączności i specjalista od kodowania informacji w kwaterze głównej Atlantycznej Floty USA, John Walker, po 20-letniej służbie przeniesiony w '76 roku w stan spoczynku, udał się na nocną wyprawę pod Waszyngton, jego samotność była pozorna. Nie narzucające się wcześniej towarzystwo agentów FBI dało o sobie znać, gdy na polnej drodze w okolicach Poolsville, 25 mil od stolicy, pod specjalnie oznaczonym drzewem Walker zostawił papierową torbę na zakupy. Oprócz śmieci znaleziono w niej zamaskowaną kopertę, a w niej 129 tajnych dokumentów floty Stanów Zjednoczonych. Tej samej nocy, w pobliżu, wywiadowcy FBI stwierdzili obecność wicekonsula ambasady ZSRR w Waszyngtonie, Aleksieja Tkaczenki. Wkrótce potem odowołanego do ojczyzny.

Nie odebrana przez właściwego adresata koperta wywołała ogromne zaniepokojenie amerykańskich władz odpowiedzialnych za obronę i bezpieczeństwo. Dokumenty, mapy i szkice, które w niej były, pozwalały zorientować się (właściwemu adresatowi), że wywiad USA wie dużo na temat posunięć sowieckich okrętów wojennych na Morzu Śródziemnym, jest też zorientowany co do ruchów floty wojennej ZSRR na wodach całego świata.

Niektóre z przechwyconych tajnych i poufnych materiałów pochodziły z jednej z najnowszych jednostek floty amerykańskiej, lotniskowca „Nimitz”, znajdującego się właśnie u wybrzeży Izraela. Bez trudu odkryto na jego pokładzie syna

Walkera, Michaela, a w pudełku w pobliżu jego koi znaleziono kilka kilogramów wykradzonych dokumentów. To nie był jego debiut szpiegowski; rok wcześniej, jeszcze przed skierowaniem na „Nimitza” służył w stacji kontrolnej lotnictwa marynarki wojennej w Virginia Beach, skąd za namową ojca, wzmocnioną 1 000 dolarową nagrodą, wyniósł zastrzeżone, tajne dokumenty.

Z kolei FBI zajęła się trzecim z klanu Walkarów, Arturem, bratem Johna. Był on oficerem US Navy w stanie spoczynku, obecnie pracował jako inżynier w firmie zbrojeniowej VSE Corporation i w zamian za 12 tys. dolarów dostarczył bratu zdjęć, planów obronnych, rejestrów i broszur, dotyczących amerykańskich okrętów wojennych. Aresztowano go 29 maja.

Pierwszym spoza rodziny, choć z nią zaprzyjaźnionym, był Jerry Whitworth. Tak jak i pozostali, również blisko związany z marynarką wojenną USA: służył na lotniskowcach pływających po Pacyfiku jako specjalista od łączności. Również w stanie spoczynku. Od dawna związany z szefem siatki, Johnem. Działalność jego zakończono 3 czerwca.

Amerykianie zaczęli szacować rozmiary szkód. *Poważna strata dla interesów USA* – sekretarz obrony Weinberger. *To był ich wielki sukces* (tzn. Rosjan – przyp. aut.). *Obawiam się, że Walkerowie spowodowali wiele szkód* – William Casey, dyrektor CIA. *Nie może być lepszego celu dla wywiadu niż łączność. Kiedy ma się kilku ludzi w kilku miejscach, można spowodować wielkie szkody* – Bobby Ray Innam, admirał w stanie spoczynku i były zastępca dyrektora CIA. Panuje zgodne przekonanie, że szpiegowska afera Walkarów jest największą w USA i najbardziej dla tego kraju szkodliwą od czasu, gdy Juliusz i Ethel Ro-

* W tekście wykorzystano dane i informacje z kilkudziesięciu artykułów zamieszczonych na łamach *U.S. News & World Report* i *Time*.

senbergowie zdradzili Rosjanom tajemnicę budowy bomby atomowej.

Najgorsza jest chyba dla wojskowych władz amerykańskich świadomość, że znaleźli się w sytuacji kogoś, kto bryluje na wystawnym przyjęciu i dopiero po przyjeździe do domu zdaje sobie sprawę, że przez cały czas miał rozprute na tyłku spodnie. Przypuszcza się, że John Walker mógł zacząć przekazywanie Rosjanom tajemnic wojskowych już na początku swojej 20-letniej służby w US Navy. Oznacza to, że wywiad wojskowy ZSRR od dawna znał tajne założenia taktyczne floty USA, miał też rozeznanie w stanie wiedzy Amerykanów o operacjach sowieckich okrętów i taktyce ewentualnej walki z nimi. W przypadku konfliktu zbrojnego wiedza ta mogłaby przemienić się w bardzo ciężki cios dla sił morskich Stanów Zjednoczonych. Rosjanie wiedzieli np. w jaki sposób ich okręty i łodzie podwodne są śledzone przez US Navy, co pozwoliło im na opracowanie środków przeciwdziałania. Zнали tajemnice operacyjne floty amerykańskiej tak na Atlantyku, jak Pacyfiku, mieli dostęp do zakodowanych wiadomo-

ści. Jednym z najważniejszych pytań, na jakie starała się odpowiedzieć specjaliści z Pentagonu, jest, czy Whitworth zdążył przekazać Rosjanom znaleziony u niego w domu „Annex K” – tajny plan postępowania US Navy w razie wybuchu wojny na Środkowym Wschodzie. Nie wiadomo także, czy do Rosjan dotarły informacje demaskujące amerykański system wykrywania łodzi podwodnych ZSRR, a także plan sieci detektorów dźwięku rozmieszczonych na dnie oceanów.

Jakby sama gigantyczna afera Walkerów nie wystarczyła do popsucia na dłuższy czas dobrego samopoczucia pracownikom amerykańskiego kontrwywiadu, równocześnie do sądów trafiły dwie jeszcze, mniejszego wprawdzie, ale trudno przecieć o większy, formatu sprawy szpiegowskie. Pierwsza dotyczy Richarda Millera, agenta FBI,

(ponoć pracownik tej firmy po raz pierwszy przyłapany został na uprawianiu szpiegowstwa), który przekazywał tajne dokumenty agentce KGB, Swietłanie Ogrodnikowej

– swej kochance. Drugi przy-
padek też miał podtekst sercowy
– Sharon Scrange, urzędniczka
CIA, informowała swego



przyjaciela z Ghany o tajnych operacjach CIA w Afryce. Wszystko to razem wzbudziło znaczne zaniepokojenie Kongresu i amerykańskiej opinii publicznej. Tym bardziej, że
PROBLEM NIE KOŃCZY SIĘ NA WALKERACH.

Zdobycie dostępu do naszej zaawansowanej technologii to dla nich absolutnie priorytetowa sprawa — W. Casey, CIA. *Rosjanie są jak narkomani* — William von Raab, szef amerykańskiego urzędu celnego — *oni będą polować na technologie jak na heroinę, bo oni muszą ją mieć.*

Takie jest drugie oblicze rosyjskiej infiltracji — szpiegostwo przemysłowe. Na dłuższą metę i w szerszym wymiarze chyba ważniejsze nawet niż spektakularne sukcesy agentów wywiadu wojskowego. Zresztą jedno z drugim się nierozdzielnie łączy, bo blok wschodni chce wszystkiego: półprzewodników, mikroskopijnych mikrofonów i konkretnych układów elektronicznych, najnowocześniejszych rodzajów broni oraz komputerów.

Chce i dostaje.

Metody są różne, zależne od sytuacji. Na ogół w grę wchodzi szantaż, przekupstwo i oszustwo. Do zagadnienia Rosjanie podchodzą w sposób zorganizowany i systematyczny — urzędowo. Komitet Nauki i Techniki ZSRR przygotowuje aktualne „zapotrzebowanie” na konkretne rzeczy, które mają zostać zdobyte. Jest to ponoć zestawienie grubości zachodniej książki telefonicznej. Rozdziela się obowiązki i określa odpowiedzialnych za ich wykonanie. Współpraca między bratnimi państwami wspólnoty socjalistycznej jest w tej dziedzinie rzeczywiście bliska.

Za stosunkowo najbardziej efektywną metodę uważane jest chyba przekupstwo. Pieniądze mają swój czar i trudno się mu czasami oprzeć. Zwłaszcza, gdy jest ich sporo i gdy rzecz dzieje się w kraju tak nastawionym na zysk i sukces finansowy jak USA. Jedną z najbardziej znaczących spraw tego typu był casus Williama Bella, inżyniera specjalizującego się w radarach, pracującego w Hughes Aircraft Company w Los Angeles. Próbował on sprzedać — jak twierdzi prokurator, za 103 tys. dolarów — szczegółowy budowy wyciszacza sygnałów radarowych podobnego do tego, jaki instaluje się w supertajnym bombowcu „Stealth”, a także nowy system radarowy dla US Navy i nowe urządzenie do wykrywania obiektów podwodnych (sonar). Odbiorcą był polski szpieg Marian Zacharski. Obu udało się złapać zanim sfinalizowali transakcję. Bell odsiaduje teraz ośmioletni wyrok, a PRL-owski agent został niedawno wymieniony — bodajże za Pawłowskię — i wrócił do kraju. Propaganda przedstawiła ten powrót w kategoriach bohaterstwa, wypełnienia obowiązku wobec ojczyzny...

Inna z metod kradzieży produktów cudzej myśli i techniki bazuje na omijaniu i możliwie sprytnym przesłizgiwaniu się przez system restrycji eksportowych wprowadzony w życie przez USA kilka lat temu. Chodzi o to, aby urządzenia lub ich części, których nie wolno sprzedawać Rosjanom ani ich sojusznikom z Układu Warszawskiego, bo istnieje uzasadniona obawa, że mogą być wykorzystane do celów militarnych, trafiły jakoś do ZSRR. W tym celu wykorzystuje się fikcyjne firmy „pośrednictwa”, tak w USA, jak i na całym świecie.

Firmy te legalnie kupują amerykańską aparaturę elektroniczną (najczęściej komputery lub ich podzespoły) i legalnie starają się ją wywieźć poza teren Stanów, skąd już łatwiej przeszczuglować towar do Europy Wschodniej. Dyrektor W. Casey z CIA szacuje ilość takich fikcyjnych firm na około 300 na obszarze całego świata. Czasami próbuje się przestać ładunek bezpośrednio do adresata, fałszując listy przewozowe (nie ujawniając obecności zastrzeżonych przedmiotów w ekspediowanej przesyłce). Szef jednej z amerykańskich firm komputerowych przeszczuglował — bez wymaganej licencji — 36 przesyłek zawierających nowoczesne, wysoko zaawansowane technicznie komputery wartości 350 000 dolarów do odbiorcy w bloku wschodnim. Amerykanin i Anglik, przemysłowcy urządzeń elektronicznych zostali dwa lata temu ujęci przy próbie wyeksportowania do Moskwy systemu sejsmograficznego przydatnego do mierzenia eksplozji atomowych, urządzeń laserowych i komputerowych podzespołów.

Czasami przemycane do ZSRR przesyłki odbywają długie i bardzo dziwne podróże po całym świecie, aby zmylić czujność celników. Niedawno Japończycy skonfiskowali pojemnik, będący w drodze do ZSRR, który, według oznaczeń, miał zawierać „części okrętowe”. W rzeczywistości w środku znaleziono wysokiej jakości urządzenie produkcji USA pozwalające wykrywać obiekty podwodne nawet na znacznych głębokościach (do 13 km) i wytwarzające dokładne, podobne do fotograficznych, obrazy dna oceanów. Sprzęt ten został kupiony w USA, w Louisianie, potem przesyłany do Nowego Jorku, stamtąd wyeksportowany do Norwegii, skąd popłynął na Daleki Wschód. Kiedy indziej komputerowy sprzęt służący do projektowania, wartości ponad miliona dolarów, nabyty został w firmie w Arizonie (USA), skąd powędrował do Buffalo, następnie do Nowego Jorku i przez Kanadę, RFN i Szwajcarię dobrnął do obozu socjalistycznego. Kolejny przykład dotyczy wysoce specjalistycznych narzędzi (m. in. sprzęt do wytwarzania zaawansowanych układów scalonych, używanych w różnych rodzajach bro-

ni), wartości 6,5 mln dolarów. Wyłudzone bezprawnie w USA, drogą przez Zachodnie Niemcy i Austrię osiągnęły cel - ZSRR.

Amerykańów martwi, że szmuglerzy tak często osiągają sukces licząc na niedopatrzania albo pobłażliwość władz celnych niektórych krajów europejskich. Ale zdają sobie sprawę z odmienności punktów widzenia: swego, z pozycji supermocarstwa na innym niż ZSRR kontynencie i państw Europy, starających się unikać zadrażnień - nawet na płaszczyźnie handlowej - ze swym drapieżnym i zachłannym sąsiadem ze wschodniej strony kontynentu. Szczególne kłopoty są z krajami neutralnymi. Oparają się one presjom Waszyngtonu i stanowią stosunkowo łatwą furtkę wiodącą do Wschodniej Europy. Czułym punktem jest także RFN, ze względu na swe specyficzne stosunki ze Wschodnimi Niemcami.

Obiektem zainteresowania i penetracji ZSRR są wszystkie firmy związane z zaawansowanymi technologicznie urządzeniami mogącymi mieć zastosowanie w technice wojennej, a zainteresowanie to jest szczególnie wysoce ożywione i zogniskowane na Silicon Valley, komputerowym centrum USA. Na obszarze północnej Kalifornii, niedaleko San Francisco, między miastami Palo Alto i San Jose rozlokowało się około 2 200 firm elektronicznych. Pokusa to dla Rosjan niebываła i priorytetowy teren dla agentów wywiadu przemysłowego. Wśród uczestników ostatniego pokazu handlowego techniki półprzewodnikowej w Palo Alto, wykryto przynajmniej 50 szpiegów zagranicznych. Czasem nie trzeba się nawet posuwać do szpiegowania, wykradania, przekupiania czy oszukiwania. Niektórym biznesmenom propozycja korzystnej transakcji, skierowana wprost, do tego stopnia przytępiła wzrok, że nie dostrzegają komu i dokąd sprzedają towar i wbrew jakim przepisom to czynią. Efekty tej chciwości albo beznamiętności czy szpiegowstwa przemysłowego sensu stricto obrazowo przedstawił jeden z ekspertów do spraw bezpieczeństwa: każdy nowy komputer w ciągu tygodnia od daty opuszczenia wytwórni znajduje się już w rękach Rosjan. A wytwórni realizujących kontrakty zbrojeniowe Pentagonu jest 11 tys. Żniwa są z reguły obfite. Sytuacja jest głęboko paradoksalna; jedno państwo toleruje to, że wróg wykrada jego broń, by ją użyć przeciw niemu - co do tego nie może być najmniejszych wątpliwości.

Jest to więc PASOŻYTNICTWO O NIEOBLICZALNYCH KONSEKWENCJACH

dla organizmu nosiciela - karmiciela pasożyta. Nie zawsze jest to możliwe do wykrycia, lecz czasami dowbły są bardziej niż ewidentne. Amerykańscy eksperci z gorzką ironią mówią, że często wiedzą wystarczająco dużo na temat parametrów broni

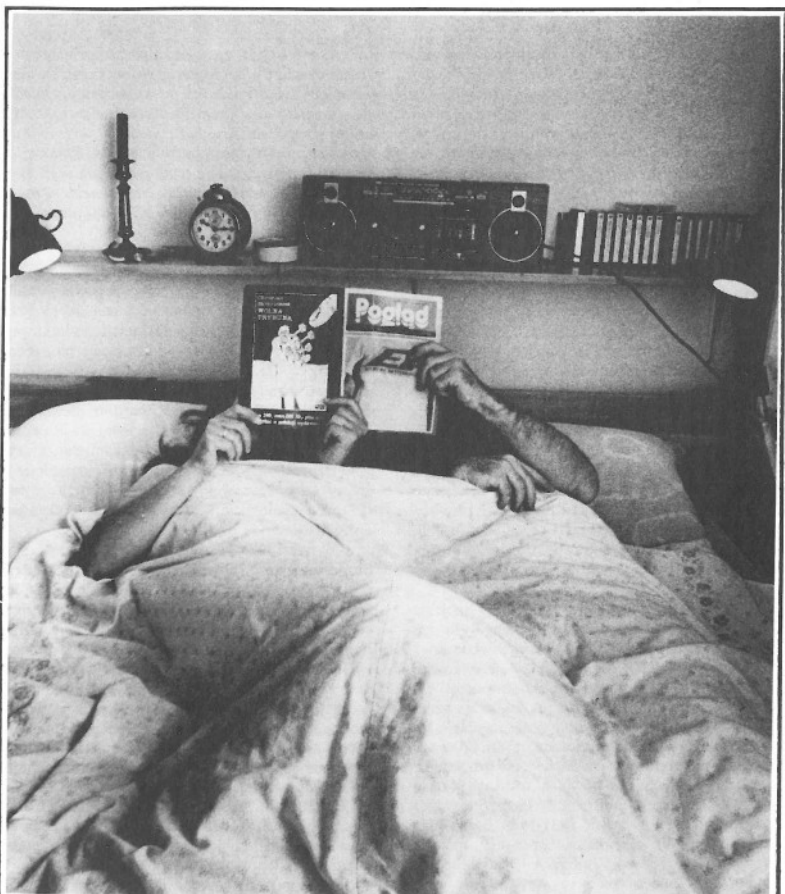
rosyjskiej, gdy porównują ją z własną bronią sprzed kilku lat. Wymyślne laserowe odległościomierze w rosyjskich czołgach są kopią urządzeń amerykańskich. System radarowy odrzutowca F-15 można odnaleźć w rosyjskim MIG-25. Rakietą powietrze-powietrze, określana przez Amerykanów kryptonimem „Atoll”, będącą na wyposażeniu armii Układu Warszawskiego, do tego stopnia przypomina projekt rakiety USA „Sidewinder”, że można porównywać nawet poszczególne zakręcanne w odwrotną stronę śruby. Helikopter z serii MI o udźwigu największym ze wszystkich produkowanych na świecie urządzeń tego typu zbudowano używając wyprodukowanych w USA narzędzi mechanicznych. Komputery pokładowe myśliwca MIG-29 powstały w oparciu o techniczne rysunki wykradzione amerykańskiej firmie zbrojeniowej. System naprowadzania rakiet średniego zasięgu SS-20 opiera się na opracowanych w USA mikroprocesorach. Także system naprowadzania innych rakiet strategicznych ZSRR jest kopią systemu amerykańskiego. W końcu - opracowywane prototypy rosyjskiego promu kosmicznego są niemalże wzorowane na amerykańskich pojazdach kosmicznych „Columbia”, „Discovery” i „Challenger”. Szacuje się, że Rosjanie adoptują amerykańską technologię do co najmniej 150 rodzajów własnych broni.

Problem ma różnorakie oblicza. Najważniejszy jest z pewnością to, że ZSRR tanim kosztem rozbudowuje i modernizuje swą potęgę militarną. Ale są i inne aspekty sprawy. To choćby, że wysiłki uczonej i ekspertów wojskowych USA są właściwie (może nie zawsze) syzyfową pracą, bo w wyciągu zbrojeń Rosjanie są bardzo często na bieżąco, na ogół ich kosztem, zdobywając tak, czy inaczej wytwory cudzej pracy i wcielając je do swego arsenału.

Jest i inna - finansowa - płaszczyzna, na której trzeba rozważać sprawę rosyjskiego szpiegowstwa przemysłowego. Dla nas, Polaków, może to brzmieć dziwnie, bo przyzwyczajono nas, że sprawa zbrojeń leży poza zasięgiem jakiegokolwiek, choćby fikcyjnej kontroli społecznej i nigdy nie bywa zestawiana z kosztami. Zbrojenia są najważniejsze, ważniejsze od wszystkiego i kropka. Jakiegokolwiek oszczędności w tym sektorze było nie było gospodarki, w Układzie Warszawskim mogą być traktowane wyłącznie jak majaczenia szaleńca albo tzw. „knowania”. W USA jest nieco inaczej. Budżet zbrojeniowy jest normalnie, jawnie uchwalany. Albo, co często bywa, nie uchwalany. Okrajany, nawet odrzucany. Dlatego Pentagon i rząd Stanów Zjednoczonych nie mogą sobie pozwolić na sytuację, kiedy wyciągnięte z kieszeni podatników pieniądze na nowe zbrojenia są po prostu zaprzepaszczone, bo przeciwnik w krótkim czasie

posiadzie nielegalnie te same bronie, za rozwój których zapłacili obywatele amerykańscy, mniemając, że poprawi to ich bezpieczeństwo. Dlatego mówi Weinberger: *każdy dolar wydany dzisiaj na eliminację przecieków technologii, pozwoli zaoszczędzić podatnikowi co najmniej 350 dolarów na przyszłe wydatki obronne. Już zaoszczędziliśmy Amerykanom od 20 do 50 miliardów dolarów*

przyszłych dodatkowych wydatków obronnych, które byłyby konieczne, by zrównoważyć zbrojowe postępy Rosjan, osiągnięte dzięki importowi zachodniej technologii. Miałby on miejsce, gdyby nie ograniczenia licencyjne wprowadzone przez USA 4 lata temu, i pozwoliłyby zaoszczędzić ZSRR ok. 13 mld dolarów na rozwój technologii zbrojeniowej. ■ *cdn.* ■



Czytaj „Pogład”!!! Czytaj „Pogład”!!! Czytaj „Pogład”!!! Czytaj „Pogład”!!! Czytaj „Pogład”!!!

Andrzej Zwaniecki

Kwestia równowagi, czyli czego chcą Szwedzi?

Szwedzka telewizja ma prawdopodobnie najbrzydsze spikerki świata, a szwedzka partia socjaldemokratów wygrała 15 września po raz kolejny wybory do parlamentu. Tylko pozornie jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Społeczeństwo szwedzkie jest bowiem nie tylko rządzone od kilku dziesięcioleci przez socjaldemokratów, ale również w znacznym stopniu ukształtowane przez idealistyczne przestanki myśli socjaldemokratycznej. Nikt więc nie powinien czuć się gorszy, słabszy, bezużyteczny, wyrzucony poza nawias. Nie można stresować brzyduli z kompleksami na punkcie swojej urody, wobec czego spikerki telewizyjne nie mogą być od niej ładniejsze. Kobieta powinna mieć takie same prawa jak mężczyzna, emigrant ma być traktowany na równi z rodowitym Szwedem, a idealnym rozstrzygnięciem meczów hokejowych z punktu widzenia egalitaryzmu byłyby remisy. W tym ostatnim idzie się jeszcze na razie na ustępstwa, ale i to nie potrwa długo.

Z pozycji polskiego indywidualizmu łatwo się podśmiewać ze szwedzkiej urawniłowki, nie wolno wszakże zapominać, że na tle gnijącej masy komunistycznej upadłości na Wschodzie z jednej strony oraz fantastycznej wolności doskonale splecionej z nierównościami społecznymi w amerykańskim liberalizmie, model szwedzki jest jednym eksperymentem społecznym, który w ludzi, a więc ułomny sposób stara się godzić egalitaryzm z wolnością. Polityczne debaty w Szwecji, na które składają się także absurdalne pomysły fanatyków urawniłowki, są więc niemal zawsze w mniejszym lub większym stopniu sporem o podział propozycji pomiędzy państwowy interwencjonizm w imię egalitaryzmu a prawo jednostki do osobistej wolności i kształtowania życia według własnych upodobań.

W tym roku głównym oponentem socjaldemokratów w dyskusji przedwyborczej była największa partia opozycyjna moderatów (konserwatyści). Zaatakowali oni właśnie urawniłowkę, równanie w dół w dziedzinie ekonomicznej. Ciśnienie najprzeróżniejszych podatków, które stanowią główną część aparatu egalitarnej regulacji, stało się tak silne, że do korzystania z zasiłków socjalnych zmuszone są coraz częściej nie tylko rodziny bezrobotnych, ale również rodziny pracujących. Ze statystyki Centralnego Biura Statystycznego wynika, że w latach 1981-1984 liczba ludzi zmuszonych do korzystania z pomocy socjalnej wzrosła z 351.780 do 524.652. Głównym hasłem wyborczym moderatów było więc: „każdy powinien mieć prawo do swojej pensji”. W związku z tym obiecali oni zmniejszyć górną granicę tzw. marginalskatt, podatku progresywnego uzależnio-

nego od wysokości dochodów. By polepszyć sytuację ekonomiczną rodzin z dziećmi gwarantowali w wypadku wygranej prawo odciążenia 15 tys. koron na każde dziecko z deklaracji podatkowej oraz 6 tysięczny zasiłek wychowawczy na każde dziecko do 3 lat.

Jest znamienne, że moderaci ograniczyli się do agitacji ekonomicznej, w bardzo niewielkim stopniu korzystając z modnej argumentacji neoliberalnej. Jednym, jak sądzę, z czynników, który powstrzymał ich przed tym, był eksperyment gminy Alby. Pracownicy socjalni gminy Alby zastosowali mianowicie w pracy model Amerykanów Tony Manocchio i Billa Petittsa.

W największym uproszczeniu sprowadza się on do tego, że pracownik socjalny w trakcie kontaktów z „klientem” daje mu jednoznacznie do zrozumienia, że to on sam jest odpowiedzialny za swoje problemy. Poprzez tego typu terapię połączoną z regularnymi odmowami udzielania pomocy socjalnej autorzy modelu spodziewają się usunąć 95 proc. kosztownych instytucji opieki społecznej, a to poprzez stopniową likwidację większości przypadków socjalnych. Twierdzą oni bowiem, że dotychczasowy system opieki socjalnej uzależnia „klientów” od instytucji i zdejmuje z nich odpowiedzialność za samych siebie. Odmowa, odrzucenie, „kopniak psychiczny” ze strony biura socjalnego ma wzbudzić gniew, a nawet agresję klienta i ukierunkować jego ambicje na porażenie siebie samemu.

Eksperyment gminy Alby wywołał nie tyle dyskusje, co miażdżącą krytykę ze strony władz zwierzchnich, klientów i części prasy, co sygnalizowało raczej niechętny stosunek wpływowej

części opinii publicznej do neoliberalistycznych pomysłów.

Jednakże moderaci wyrzekłszy się szerszej argumentacji ideologicznej wystawili się sami pod ostrzałem. Ich projekt ekonomiczny, pretendujący równocześnie do tego, by być kompletnym i przyjemnym dla oka, zawierał ukryte sprzeczności. Te rzecz jasna zostały wychwycone przez przywódcę socjaldemokratów, premiera Szwecji Olofa Palme. Wytknął on moderatom, że ich projekt reformy podatkowej przyniesie odczuwalną ulgę przede wszystkim warstwom dobrze sytuowanym. Bowiem obok zmniejszenia zasiłku chorobowego i podwyżki czynnika moderaci proponowali radykalne zmniejszenie dotacji dla gmin i województw (w celu zmniejszenia znacznego deficytu rządowego, dodajmy), co w efekcie musiałyby przynieść pogorszenie i podrożenie transportu publicznego oraz publicznej opieki zdrowotnej.

Trudno zawyrokać co ostatecznie przyczyniło się do przegranej moderatów, ale jest bardzo prawdopodobne, że odejście od dyskusji nad pryncypiami modelu szwedzkiego do agitacji za nową pragmatyką ekonomiczną rozczarowało wielu potencjalnych moderackich sympatyków. W finałowej rundzie wyborczej 15 września głosowali oni w większości na „folkpartiet”, partię liberalną.

Partia liberalna, dotychczas mało znacząca w politycznym życiu Szwecji, rozegrała kampanię wyborczą pod znakiem sprzeciwu wobec „pełzającej socjalizacji” i odniosła duży sukces powiększając prawie trzykrotnie swój stan posiadania. Przywódca „folkpartiet” Bengt Westerberg oskarżył socjaldemokratów o to, że chyłkiem starają się oni doprowadzić do zmiany systemu w Szwecji. Powołał się on na przykład z pięciu dziedzin.

W gospodarce socjaldemokracji wprowadzili fundusze pracownicze, będące formą kolektywnego współudziału w posiadaniu przedsiębiorstw. Przedsiębiorcy zmuszeni zostali do odprowadzania pewnej części wypracowanego zysku na konto funduszy, które z kolei w imieniu pracobiorców wykupują akcje, głównie zresztą od prywatnych akcjonariuszy, po to by następnie nimi spekulować. Funduszami zarządzają związki zawodowe. Równocześnie udział prywatnych akcjonariuszy w przedsiębiorstwach notowanych na giełdzie spadł do 20 % i ze względu na nowe ograniczenia w handlu akcjami oraz zaostreżenie kryteriów podatku od zysku ze zwykłej akcji przewiduje się, że udział ten spadnie w ciągu najbliższych pięciu lat do 10 %.

Fundusze pracownicze były w pewnym sensie krową, która przepętniła kielich goryczy znacznej części Szwedów. Do roku 1983 tylko hasła pacyfistyczne oraz w latach siedemdziesią-

tych niezgoda na elektrownie atomowe były w stanie poderwać ich do masowych demonstracji. W roku 1983 100 tys. ludzi wyszło na ulice Sztokholmu, by zaprotestować przeciwko funduszom pracowniczym czyli „zwrotowi w kierunku społeczeństwa kolektywistycznego”. Demonstracje o podobnej skali domagające się likwidacji funduszy odbyły się w głównych miastach Szwecji również w roku 1984.

Drugim krokiem w kierunku przejmowania przez państwo kontroli nad wolnorynkowym sektorem gospodarki stało się wprowadzenie obowiązku uzyskiwania zgody władz wojewódzkich na kontynuowanie działalności przedsiębiorstw istniejących i zakładanie nowych w kilku wytypowanych branżach. W gotowych do przedstawienia parlamentowi propozycjach socjaldemokracji zakładają rozszerzenie tego przymusu na 50 tys. dalszych przedsiębiorstw.

Drugą dziedziną, na którą zwrócił uwagę Bengt Westerberg jest bankowość. Już na początku lat siedemdziesiątych do zarządów banków prywatnych na mocy zarządzenia rządowego wprowadzono przedstawicieli administracji państwowej. Teraz rząd chce mieć wpływ na wybór przewodniczącego zarządu. Nie mówi się co prawda o mianowaniu, jak w ustawach komunistycznych, ale sformułowania o poprzedzających wybór konsultacjach z administracją państwową oraz pozostawienie sobie przez rząd prawa do zatwierdzania wyborów nie pozostawiają zdaniem przewodniczącego partii liberalnej wątpliwości co do intencji rządu. Docelowo chodzi o upaństwowienie banków. W tym samym stopniu, co banków, dotyczy to indywidualnego funduszu emerytalnego spółek inwestycyjnych i spółek finansowych.

Kolejną dziedziną stale zwiększającą zasięg interwencji państwowej jest ograniczenie wolności praktyki lekarskiej. Tzw. projekt Dagmar ograniczył mocno liczbę prywatnych lekarzy, których praktyka uznana jest przez kasę ubezpieczeń. Powstała w ten sposób luka wypełnić ma powszechna opieka zdrowotna. Zdaniem socjaldemokratów ingerencja państwowa uzasadniona była niesprawiedliwą strukturą lecznictwa — lekarze otwierali praktyki przede wszystkim w dużych miastach, podczas gdy prowincja stale odczuwa ich brak. Teraz socjaldemokraci mają zamiar zabrać się za egalitaryzację leczenia dentystycznego. W pierwszym podejściu postanowili zwiększyć udział powszechnej opieki dentystycznej z 23 do 35 %, a w istniejących już planach na przyszłość mówi się o dalszym powiększeniu tego udziału do 50 %.

Wreszcie ostatnia dziedzina to polityka mieszkaniowa. W ubiegłym roku rząd socjaldemokratyczny wprowadził podatek od nierucho-

mości bardzo dotkliwy dla właścicieli małych domków rodzinnych oraz willi. Począwszy od 1 maja tego roku państwowo zarząd budowlany Riksbyggen może wydać specjalne rozporządzenie, na mocy którego będzie miał pierwszeństwo zakupu mieszkań własnościowych przez pierwsze trzy lata po ich wybudowaniu. W praktyce oznacza to ograniczenie prawa właścicieli (mieszkań) do dysponowania swoją własnością, a więc także do zbywania mieszkań.

Wszystkie te pociągnięcia mają jedną cechę wspólną — starają się one ograniczyć lub zlikwidować pewne aspekty działalności wolnorynkowej, które w słowniku socjalistycznym zyskały miano spekulacji. Jak wiadomo liberalna ekonomia zawsze rodziła pewne marginesy nadużyć i socjaldemokraci z przyczyn ideologicznych nie chcą pozostać wobec nich obojętni. Wolnorynkowa ekonomia ma jednak to do siebie, że duszona nadmiernymi podatkami i blokowana interwencjonizmem państwowym cofa się w sferę ciemną, w sferę czarnego rynku.

Na temat czarnego rynku w Szwecji krążą legendy. Z przyczyn oczywistych nikt nie jest w stanie zbadać jego zasięgu ani „przerobu”. Według wszelkiego prawdopodobieństwa jest on jednak olbrzymi. Konserwatyści angielscy doszli do wniosku, że z punktu widzenia ogólnej korzyści lepsze będzie odzyskanie czarnego sektora dla gospodarki oficjalnej, w której znajduje się on jednak pod pewną kontrolą, niż zwiększanie presji podatkowej oraz pozorowanie walki z nim. Socjaldemokraci szwedzcy postępują wręcz przeciwnie, poddani, jak się zdaje działaniu jakiegoś magicznego myślenia. Przykręcaniu śruby w gospodarce towarzyszy więc pozorowana, bo plakatowa (inną zresztą raczej trudno sobie wyobrazić) wojna z czarną gospodarką. Reakcją jest stała ucieczka kapitałów i przedsiębiorców ze Szwecji oraz poszerzenie się pasma czarnego rynku. Powstaje błędne koło — czarna dziura wysysa kapitał, państwo traci na tym gigantyczne sumy, w związku z czym tym mocniej przykręca śrubę podatkową w nadziei ich odzyskania. W rezultacie kosztowna polityka opiekuństwa realizowana jest w dużym stopniu na koszt deficytu budżetowego. Na dodatek polityka ta jest często marnotrawna. Gminy dotowane z budżetu państwa, radzą sobie lepiej lub gorzej w zależności od zamożności mieszkańców oraz efektywności gospodarowania. Socjaldemokraci niemal na zasadzie odruchu warunkowego wysyłają więc walec podatkowy, który ma wyrównać ich poziom finansowy. Nie wiadomo dokładnie, kto na tym zyska, za to na pewno zniknie motywacja do efektywnego gospodarowania posiadanymi środkami przez gminy.

W jakimś sensie modelowym przykładem przywiązania socjaldemokratów do dogmatów jest

wychowanie dzieci. Sytuacja ekonomiczna rodzin z dziećmi w Szwecji przedstawia się dosyć kiepsko. W praktyce matka, gdy skończy się jej urlop wychowawczy, zmuszona jest oddać dziewięciomiesięczne dziecko do żłobka — przedszkola. Jeśli chce wychowywać dziecko w domu, nie może w każdym razie liczyć na biuro socjalne. Zarobek ojca z reguły nie starcza na utrzymanie.

Partie opozycyjne przedstawiły zróżnicowane propozycje ulg podatkowych dla rodzin z dziećmi lub kombinacji przedłużonego zasiłku wychowawczego i dodatku na dzieci, wszystkie zmierzające do zapewnienia rodzicom ekonomicznej gwarancji wolnego wyboru formy opieki nad dziećmi do trzech lat. Projekt rządowy przewiduje natomiast przedłużenie o kilka miesięcy zasiłku wychowawczego, zaś po ukończeniu przez dziecko 1, 5 roku życia wyłącznie kolektywną opiekę nad dziećmi. W związku z tym do roku 1991 przewiduje się wybudowanie tylu przedszkoli, ile jest niezbędnych do objęcia wszystkich dzieci wychowaniem przedszkolnym.

W tej sytuacji pozostaje jednak odpowiedzieć na pytanie, dlaczego skoro jest tak źle jest tak dobrze — socjaldemokraci, co prawda z niewielką przewagą, ale jednak wybory wygrali. By na nie odpowiedzieć rzeczowo, należałoby przeprowadzić badania przynależności socjalnej grupy, która oddała swoje głosy na partię premiera Palmego. Jedną z najbardziej prawdopodobnych hipotez mówi, że bazę wyborczą socjaldemokracji stanowią przede wszystkim pracownicy sektora publicznego oraz grupy najniższe społecznie. Gigantyczne rozmiary sektora publicznego nie tylko wyjaśniają tajemnicę zwycięstwa socjaldemokratów, ale podsuwają również groźną wizję społeczeństwa zablokowanego, w którym rząd i sektor publiczny wspierając siebie wzajemnie, nie dopuszczają do przeprowadzenia żadnych zmian.

Logiczne rozumowanie nie liczące się z niuansami rzeczywistości zbyt często prowadzi jednak do demagogii. Nie należy bowiem zapominać o tym, że krytyka polityki socjaldemokratycznej dotyczy nie zaszczości, lecz w większości przypadków raczej k i e r u n k ó w rozwojowych.

Socjaldemokraci zaś w odróżnieniu od komunistów wykazywali dotychczas pewną elastyczność i zdolność do weksłowania na inny tor zanim pociąg zdążył się wykołocić. System demokracji parlamentarnej ma bowiem to do siebie, że zawsze jest ktoś, kto zasygnalizuje, że pociąg jest na złym torze i że najwyższy czas przełożyć zwrotnicę.

Pierwsze, na razie jeszcze mniej zasadnicze, pociągnięcia nowego rządu premiera Palmego (np. w kwestii podatkowej) dowodzą, że nie pozostaje on zupełnie głuchy na wołania opozycyjnych dróżników. ■

Z Sardynii...

Marek Lehnert

1.

„SOLIDARNOŚĆ” W CUDZYCH RĘKACH

Nad placem przed kopalnią górował biały transparent. Coś tam było na nim czerwonego, trzeba tylko było podejść bliżej, zejść od przodu, to się widziało. Napisane było „Solidarnosc vive”, Solidarność żyje. Blondynce, trzymającej jeden z patyków, jakoś swojsko patrzyło z twarzy.

— Skąd jesteście, Polacy?

Zrobiła głupią minę. Wychylił się ten od drugiego patyka, brunecik.

— Italiaci. Jesteśmy z „Comunione e Liberazione”. Specjalnie z Cagliari przyjechaliliśmy powitać Papieża.

— No to zuchy jesteście. Ładny transparent, słuszny napis. Popatrzyłem raz jeszcze z uznaniem.

— To pewnie jakieś pozdrowienie po polsku, powinno mu być miło — rzekła nieśmiało blondynka (farbowana była, skubana!).

Spojrzelśmy po sobie, ja z M. — To przecież „Solidarność”, dziewczyno!

— A tak, rzeczywiście...

Bliżej podium stali Polacy. Mieli na marynarkach kartki „Polacco”, imię „Brdwysław” czy coś podobnego; resztę mieli wypisaną na twarzy.

— Polacy, górnicy?

— Pan się spyta, tam stoi inżynier.

Był świeżo ogolony, najedzony, podniecony. Ale czujny.

— Ten napis, to nie my, skądże! Witamy rodaka, z którego jesteśmy dumni. My nie pracujemy w Monteponi, robimy w Silius, 70 km stąd. Przyjeżdżemy jeszcze raz w niedzielę do Cagliari, może wszyscy.

Potem, kiedy ruszyła procesja darów, a pan inżynier z jednym z nich, może nawet z tym „Brdwysławem”, stanęli na schodkach z lampką górniczą, wypolerowaną jak samo słońce i kawałkiem minerału (matowego), reszta nie wytrzymała i café dnevle zwrotki „Czarnej Madonny” zaśpiewała. Nazajutrz wszystkie gazety podały, że byli rodacy Papieża z transparentem „Solidarności”, a pan inżynier łamaną włoszczyzną, ale — jak

podkreślano — nie bez wdzięku, tłumaczył, że w Polsce każdy jest komunista i katolik. A „Solidarność”? Przeszło, minęło. Czas zabrać się do pracy.

2.

ZAPACHY NIEDZIELNEGO OBIADU

Kiedy orszak papieski wjechał już po nieskalanej czerni świeżego asfaltu w mury starego miasta, mały tłumek, trzymany na smyczy przez przystojnego szpakowatego karabiniera wbiegł do bramy. Myślałem, że lecą za Papieżem. Ale zaraz gdzieś wsiaкли; przed papieżem biskupim stało ledwie kilkadziesiąt osób. Więcej było policji, watykańskiej bezpieki i kleru, aniżeli ciekawskich.

Młodzież z „Comunione e Liberazione” — i parę zakonnic, które też na tę okazję wdziały świeżo asfaltowane czarne habitę — krzyczeli „fuori, fuori”, wyjdź, pokaż się, coś do nas powiedz! Drzwi balkonowe uchyliły się wreszcie. Najpierw wyszedł mężczyzna ze swoim kabli i mikrofonem w dłoni, za nim Papież. Wiatr dmuchnął w zatkniętą w balustradę chorągiew. Papież przez moment odwijał się, walczył z materiałem, jakby się musiał przedzierać przez kurtynę. Postąpił krok naprzód, oparł się o balustradę.

— Ładny był dzień dzisiaj, dzięki Bogu.

A teraz idźmy wszyscy na obiad, na mnie już czekają biskupi. Buon appetito, smacznego!

Szybciej od ludzi dobiegł na plac cudowny zapach smażonej ryby. Stare kobiety w czerni szły niespiesznie, było trochę pod górę, było trochę nie w porę to słuchanie Papieża. Matki wzięły dzieci za rękę.

— Idziemy na obiad, no już!

Plac szybko opustoszał. Ruszyłem w stronę morza. Było gdzieś w dole. Na wspinałym tarasie — z widokiem przyprowadzającym o zesa, na prawo i na lewo — punki kończyły się posilać. Puste puszki po piwie gonił wiatr i psy, na wyścigi. Od północy ciągnęta burza, dużymi krokami, pewnie szła na szczytach — na wysokich palmach, którym wiatr na próżno psuł te modne fryzury.

Zaczął padać. Poczuliśmy i ja głód. Dałem się zwabić zapachom z restauracji „Stella marina”. Przygniecione otwianymi kroplami deszczu, szły nisko, tuż przy ziemi, na wysokości żółądka.

Cagliari 18-20 października 1985

OGŁASZAJ SIĘ W „POGLĄDZIE”

POLSCY WYDAWCY NA EMIGRACJI

Kontynuując prezentację polskich wydawnictw emigracyjnych przedstawiamy rozmowę z Tadeuszem Filipowiczem – dyrektorem drukarni Caldra House Ltd. Polskiej Fundacji Kulturalnej.



Tadeusz Filipowicz :

**„Wydaliśmy już
około 300
tytułów”**

Wydawnictwo Polskiej Fundacji Kulturalnej powstało w roku 1963. PFK jest właścicielem *Dziennika Polskiego*, *Tygodnia Polskiego* i polskiej drukarni Caldra House Limited. Instytucję tę, jako dom wydawniczy zapoczątkował pan Juliusz Sakowski, zresztą świetny literat. Wtedy rozpoczęliśmy wydawanie seryjne książek, i było to w latach sześćdziesiątych bardzo popularne.

Ja jestem drukarzem i ze strony technicznej wspierałem powstanie Fundacji Kulturalnej, jako domu wydawniczego, uczestniczyłem w druku tych książek, decydowałem co do formatu, wyboru kroju czcionek itd.

W latach sześćdziesiątych szukałem pracy w drukarni i namówił mnie były redaktor *Tygodnia Polskiego*, Wacław Zagórski; jest on zresztą także autorem kilku książek. Bowiern wówczas jego obowiązkiem było zebrać zespół drukarski. Byłem znany jako dobry drukarz (ja nie chcę się chwalić). Przyłączyłem się więc do tego zespołu jako linotypista i nigdy tego nie żałowałem. Mielśmy wtedy jeszcze stare maszyny, linotypy, kaszety, otów itp. I później z inicjatywy dyrektora Sakowskiego powstało wydawnictwo. Pamiętam, jak zwrócić się do świetnego grafika, Stanisława Gliwy, który wymyślił znak wydawnictwa.

Fundacja jest „trustem” trzech spółek: Polish Daily Limited, Caldra House Limited i Polska Fun-

dacja Kulturalna. Nie jest to firma prywatna, fundusze na założenie drukarni pochodzą od rządu polskiego, firma więc jest własnością Polaków na emigracji. Np. dzięki istnieniu drukarni wychodzi nadal *Dziennik Polski*, wiąże się to rzecz jasna z kosztami. Drukarnia od prawie trzech lat wyposażona jest w nowoczesne maszyny, zainwestowaliśmy – jak na nasze warunki – duże pieniądze, ponad 200 tys. funtów, po to właśnie, by *Dziennik* mógł się nadal ukazywać. Trudno powiedzieć, czy to się opłaciło, gdyż nie była to inwestycja zarobkowa. Na tym się wiele nie zarabia, *Dziennik* wychodzi sześć dni w tygodniu, drukujemy też książki Polskiej Fundacji Kulturalnej, a niestety polskie książki nie są dochodowe. Jeśli nie ma na dany tytuł subwencji – a my żadnej pomocy finansowej nie mamy, ani PFK, ani *Dziennik* – to jest to finansowo bardzo trudne. Istniejemy po to, by *Dziennik* mógł się nadal ukazywać. Może się w przyszłości zdarzyć i tak, że będziemy zmuszeni się do kogoś zwrócić o pomoc finansową, by dalej wydawać *Dziennik*, na razie jednak jesteśmy samowystarczalni.

Pamiętam, jak składałem na linotypach wiersze Hemara, który przyjechał do Hove i sprezentował mi butelkę wódki, na której narysował: *Na krótką pamiętkę*. A oprócz tego drukarnia drukowała cały czas *Dziennik* i prace angielskie, żeby zara-

biać pieniądze. Stanowią one teraz nawet 60 % tego, co drukarnia w ogóle drukuje. Sakowski — miał zmysł wydawniczy, wiedział, do kogo się zgłosić — jeszcze żyli tacy ludzie, jak np. Wierzyński. Pamiętam, jak przyjechał do Hove z Ameryki, gdy wydawaliśmy jego książkę. Pojechałem wtedy z Sakowskim po Wierzyńskiego i gdy mnie przedstawiono, Wierzyński powiedział: jak to, to Polak, i taki młody? Jemu do głowy nie przyszło, że są na emigracji tacy młodzi Polacy.

Tak więc mieliśmy kilku autorów jeszcze przedwojennych. Potem po śmierci Sakowskiego, Fundacja Kulturalna troszkę pod względem wydawniczym upadła. Ale teraz zaczyna z powrotem stawać na nogi.

Po śmierci Sakowskiego dyrektorem Fundacji został Antoni Czułowski, który pełnił tę funkcję przez prawie cztery lata, a po nim dyrektorem został Zbigniew Błazyński. Pod jego kierownictwem, bo powiedzieć tu trzeba, że miał on bardzo ciekawe plany, Fundacja zaczęła znowu dobrze funkcjonować. Niestety ze względów zdrowotnych pan Błazyński po dwóch latach zrezygnował z piastowanej funkcji. Jednocześnie chciał też pisać. I wtedy dyrektorem Fundacji Kulturalnej został prezes Soboniewski.

Od 1963 roku wydaliśmy już około 300 tytułów i wspomnieć tu trzeba raz jeszcze o zaprojektowanych przez Sakowskiego seriach wydawniczych, które sprawiły, że polscy autorzy żyjący na emigracji, pisząc wspomnienia dotyczące czy to czasów przedwojennych, czy też wojennych zwracali się do Fundacji.

Teraz tendencja ta uległa zmianie. Fundacja powinna stać się wydawnictwem młodego pokolenia. Zapoczątkował to już w dużym stopniu pan



Błazyński. I zostawił nas — uważam, że za wcześnie, gdyż nadal powinniśmy kontynuować wydawanie młodszych pisarzy. I tutaj Fundacja — niestety — zamiast dać przykład, musi wziąć przykład z wydawnictw takich, jak *Puls, Polonia, Spotkania*, a także *Orbis*, które potrafią jakoś „wydobyć” młodych pisarzy. Jesteśmy w tym troszeczkę jakby z tyłu, ale mamy zamiar coś zmienić.

— Nowości wydawnictwa?

A więc Grażyna Sikorska *Ks. Jerzy Popiełuszko*, ta książka wyjdzie jeszcze w roku

1985, książka Karola Liszewskiego *Wojna polsko-sowiewka 1939 r.* Wreszcie pozycja kolejna — książka wydana w kraju, *Leszka Moczulskiego Wojna polska*. Trzeba pamiętać, że gdy ukazała się w Polsce, to była to już wersja cenzurowana, a mimo to wycofano ją z oficjalnej sprzedaży. Nakładem Fundacji ukaże się ona w wydaniu poprawionym i uzupełnionym przez autora. Jesteśmy w tej chwili na etapie poszukiwania funduszy na jej wydanie, ale mam nadzieję, że to się nam uda.

Wreszcie Wacława Jędrzejewicza *Kronika życia Józefa Piłsudskiego*, książka bardzo w Polsce poszukiwana, będzie to już jej trzecie wydanie. A prywatnie uważam, że jest to najlepsze ze wszystkich przygotowywanych przez profesora Jędrzejewicza opracowań. Tyle, jeśli chodzi o najbliższą przyszłość. Jeśli natomiast chodzi o dalsze plany, to trudno mi coś konkretnego powiedzieć, w najbliższych miesiącach odbędą się zebrania, gdzie



KAZIMIERZ WIERZYŃSKI



MOJA
PRYWATNA
AMERYKA

Marian Hemar



MOJA PRYWATNA AMERYKA

Każa Tadeuszowi Filipowiczowi
leżący odzyskał tę książkę
deżo suca
i wadał jej piękna frang
z profiskowatek
i wpięściowiczy
Kazimierz Wierzyński
Rzeka
26. X. 66.

Dla Pana
Tadeusza Filipowicza

Pamiętam jak o sobie pominął p. Adam:
"Ja nigdy nie doboram,
ja rzytosek nie sbradam."

IM DALEJ W LAS

Kiedy widai inaczej,
bo onaja zasada,
że ja nigdy doboram,
pan Tadeo je sbrada.

Promocy mu tutaj przyznam,
Szwarc i z zapatem,
że on je lepiej zbringt,
mii ja je dobratem.

Grodzień 1963 Marian Hemar

ustalony zostać ma jakiś kierunek. Mam też nadzieję, że uda mi się przekonać naszą komisję programową Fundacji Kulturalnej, by zacząć współpracę z młodym pokoleniem.

— A strona organizacyjna firmy?...

Fundacja Kulturalna jest — jak już powiedziałem — właścicielem *Dziennika Polskiego* i drukarni polskiej. A więc „trust”, spółka. *Dziennik* zatrudnia ludzi na etatach, ale pensje w porównaniu do zarobków angielskich na podobnych stanowiskach są niższe. Ludzie dorabiają więc sobie gdzie indziej, np. w radiu. *Dziennik* zatrudnia około 35 osób. W drukarni *Dziennika* — Caldra House Limited pracuje około 40 ludzi. Gdy ja zaczynałem pracę w tej drukarni — była to początki lat sześćdziesiątych — zatrudnialiśmy wtedy 80 % Polaków, a 20 % Anglików. Teraz mamy jakieś 70 % Anglików i reszta Polaków. Wynika to z braku specjalistów — Polaków. Oczywiście *Dziennik* i książki muszą być składane przez Polaków. Ale wszystkie inne działy, a więc druk, introligatornia obsadzone są przez Anglików. Polska Fundacja Kulturalna jako całość zatrudnia około 80 ludzi. To jest, jak na polskie warunki na emigracji — dużo. Mamy własny budynek redakcji w Londynie i mamy własną drukarnię w Hove, w Sussex nad morzem. Pamiętam, kiedy zaczynałem pracę w drukarni w 1962 roku, koledzy mi mówili: gdzie ty idziesz, do *Dziennika*, do Hove, nad morze? Niepotrzebnie tam idziesz, bo za pięć lat *Dziennik* leży. Od tego czasu minęły 23 lata. I teraz, dzięki nowym inwestycjom, nowym maszynom *Dziennik* ma zastrzyk na następne 10 lat.

Duże niewątpliwie znaczenie ma tu też to, co się stało w Polsce, „Solidarność”, potem napływy Polaków z kraju, przyjeżdżają do rodziny ludzie z Polski, którzy nie potrafili czytać po angielsku i ten *Dziennik* jednak ich interesuje. Ale myślę, że to musi się kiedyś skończyć. Chyba, że nastąpi drastyczna — w pewnym sensie — zmiana. To znaczy, że gazetę przejmą ludzie młodzi i złapią młodych czytelników. Bo większość naszych czytelników pochodzi ze starej emigracji. I gdy spojrzymy na ostatnią stronę gazety, na te nekrologi, to właśnie odchodzą nasi czytelnicy, nasi prenumeratorki.

Nakład *Dziennika* wynosi około 20 tysięcy i w większości jest sprzedawany na terenie Anglii. To znaczy — jakieś 20 procent idzie za granicę. Tu właśnie nasze plany, by zwiększyć nakład, nie tyle *Dziennika*, ile *Tygodnia Polskiego*, ale wszystko zależy też od kierunku tego pisma. Bo nie można publikować materiałów, które interesują tylko ludzi zamieszkałych w Anglii. Pamiętać też trzeba, że większość kierujących redakcją to ludzie ze starszej emigracji. Jest kilku nowych ludzi z Polski. Jest Teresa Ujazdowska jest Anna Wołek

wprowadzamy więc młodych ludzi. Ale to jest polowny proces, nawet — ja uważam — za wolny, bo teraz jest właśnie taki okres, kiedy naprawdę trzeba się zastanowić, dokąd idziemy. Czy *Dziennik* wychodzi jeszcze pięć lat i leży, czy też będzie wychodził dłużej. Wszystko to zależy od dyirekcji Fundacji Kulturalnej. Ale mam nadzieję, że jakoś wybrniemy z problemów i znajdzie się człowiek, który całą naszą firmę wyprowadzi na dobre tory. I tu nie widzę możliwości, by jakaś rada mogła zdecydować o wydawnictwie. Fundacja powinna wybrać człowieka, któremu zaufa i ten człowiek powinni być odpowiedzialny.

— W jakim nakładzie ukazują się książki?...

Poniżej tysiąca nie optaca się wydawać, koszty są zbyt duże. Więc wydajemy po 1.000, 1.500 egzemplarzy. I znowu trzeba pamiętać, że Fundacja nie ma żadnego wsparcia finansowego i książki muszą zarobić na siebie. Ale też ostatnio, w tym roku, dwie wydane przez nas książki już zarobiły na siebie. Mam na myśli *Mówi Józef Światło* Błażyńskiego; to fenomenalna książka, której zrobimy drugie wydanie. Wydaliśmy ją przed dwoma miesiącami, ale ostatnie 350 egzemplarzy zamówiono na targach we Frankfurcie. Również książka Tadeusza Wittlina *Pieśniarka Warszawy* o Ordonównie bardzo dobrze idzie i być może zrobimy również drugie wydanie.

— Drukował Pan pierwszą książkę wydawnictwa...

Tak, drukowałem pierwszą książkę i mam świetną dedykację Hemara — poza tą butelką. Gdy książka była już gotowa, Sakowski powiedział do Hemara: *Śłuchaj Marian, przecież ten wiersz jest najlepszy z całej twojej książki*. Była to ta pierwsza seria Fundacji Kulturalnej.

Rozmawiali:

Ewa Szczerkowska i Grzegorz Ziętkiewicz

(Tekst nieautoryzowany)

PFK, 23 Coleridge Street, Hove, Sussex,
BN3 5AB, Wielka Brytania

KATALOG
POLSKIEJ FUNDACJI
KULTURALNEJ



Ewa Maria Ślaska

Polityczne czy ekonomiczne

Oficjalne statystyki berlińskie głoszą, że jest nas tu – Polaków – około 18 tysięcy. Ponieważ jednak dla naszych gospodarzy istnieje tylko to, co zostało zapisane w odnośnych urzędach, a wielu Polaków radzi sobie w „wolnym mieście Berlinie” nie wchodząc w przesadny kontakt z urzędami, możemy wnosić, że faktycznie jest nas nawet więcej – pewnie dobrze ponad 20 tysięcy osób. Z tego dużą część stanowią przybysze ostatnich lat. Oczywiście w odniesieniu do całych Niemiec Zachodnich liczby te należą proporcjonalnie powiększyć. Z kolei ilość osób, które pozostają „na czarno” jest większa w Berlinie Zachodnim niż w pozostałych krajach związkowych Republiki, a to z uwagi na łatwość bezwizowego dojazdu do Berlina. Dla wielu Polaków Berlin stanowi jedyną możliwość dostania się do „wolnego świata”, stąd też panujące tu stosunki, i obserwowane tu zjawiska są może nawet przesadnie zarysowane, ale za to łatwiejsze do uchwycenia i opisanie.

Od kilku już lat – w miarę niezwykle przyspieszonego narastania fali ucieczek z kraju – pojawia się w prasie, publikacjach naukowych i zwykłych rozmowach towarzyskich pytanie: jakie są prawdziwe przyczyny ucieczek? A więc – polityczne czy ekonomiczne? Chociaż tak właśnie sformułowane pytanie postawiłam w tytule, będę chciała w toku niniejszych wywodów wprowadzić odmienną kategorię, klasyfikującą omawiane zjawisko. Twierdzę mianowicie, że obecne ucieczki z kraju jako całość nie są ani polityczne, ani ekonomiczne, lecz – frustracyjne. I z tym sformułowaniem – prostym i oczywistym – zgodzi się zapewne każdy z czytelników.

Zjawisko ucieczek – a patrząc z drugiej strony: fakt napływu dużej ilości osób do jakiegokolwiek kraju zachodniego – wymaga jednak obecnie uzasadnienia. Uzasadnienie ucieczki-przyjazdu jest faktem bardzo świeżym. Jeszcze kilka lat temu przyjazd człowieka z kraju komuny był sam w sobie wystarczającym uzasadnieniem. Wszystkie ucieczki klasyfikowane były jako polityczne. Do tego więc momentu sytuacja była czysta moralnie dla obu stron, dla uciekiniera i dla kraju udzielającego schronienia. Dwa wrogie sobie ustroje – demokratyczny i totalitarny – nie tylko zbroiły się przeciw sobie, ale toczyły też walkę o dusze. Póki ucieczki były nieliczne i spektakularne – porwane samoloty, tunele pod murem, bieg tyżwiarski w poprzek Bałtyku itp. – każdy przybysz zza żelaznej kurtyny był serdecznie witany i hołubiony, a dziennikarze używali zwrotów w rodzaju: „jeszcze jedno istnienie ludzkie uratowane dla życia”. Demokracja zachodnia, udzielająca azylu politycznego, płaściła się w zachwycie nad samą sobą. Pomoc uciekinierom dawała bowiem z jednej stro-

ny szlachetne poczucie czynienia dobra, z drugiej zaś strony przypominała, że są wprawdzie tacy, którym się nie poszczęściło i żyją w komunie, ale nam osobiście się udało. Jest to wprawdzie uczucie bardzo ludzkie, ale niezbyt jednak szlachetne, stąd też pomoc stawała się tym ofiarniejsza i tym gorliwsza.

Od czasu wojny do początku lat 80-tych wszystko przebiegało według tej dobrze sprawdzonej formuły. Formuła była zaś na tyle wielkoduszna, że pozwalała przyjmować wszystkich – zaśluzonych funkcjonariuszy bezpieczeństwa, ambasadorów i konsulów komuny na równi z rzeczywistymi ofiarami prześladowań. Demokratycznie i humanitarnie ważne było każde pojedyncze istnienie ludzkie.

No i nie było kryzysu.

Tymczasem – w sposób zresztą jak najbardziej logiczny – hossa się załamała, najpierw na Zachodzie, a potem ruchem psa ścigającego zająca – również na Wschodzie. Z jednej strony problemy ekonomiczne przyhamowały humanitarne od-ruchy demokracji. Z drugiej strony niektóre kraje Wschodu, w tym także Polska, a może przede wszystkim Polska – również dotknięte kryzysem – z całą przyjemnością zaczęły się pozbywać swoich obywateli.

Nie można tu powiedzieć, że sloganowo jakość przeszła w ilość. Tacy sami ludzie opuszczali Polskę w początku lat 80-tych – źli, dobrzy, faktycznie prześladowani i sprzedawczyki reżymu – było ich po prostu znacznie, znacznie więcej. Szli na Zachód powodowani tą samą frustracją, która wygoniła z kraju ich poprzedników, i tak samo jak oni oczekiwali, że usprawiedliwieniem decyzji jest sam fakt „przychodzenia z komuny”. Je-

żeli nawet nie umieli tego zwerbalizować – nadal żeli, że mają prawo do życia innego niż totalitaryzm, że mają mianowicie prawo do demokracji, praw człowieka i obywatela i że są tak samo cenni jako pojedyncza istota ludzka.

Ale było ich za dużo. Przesłali (przesłaliśmy) być zbiorem pojedynczych istot rodzaju ludzkiego, zaczęli być masą.

Demokratyczne rządy demokratycznych państw – w obronie interesów ekonomicznych swoich krajów – zaczęły się bronić przed napływem uciekinierów. Wprowadzono obostrzenia wizowe. Nie pomogło. Niektóre ambasady krajów zachodnich w Warszawie – przestały w ogóle przyjmować podania wizowe. Ambasada austriacka nie wpuszcza Polaków na swój teren. Wreszcie – po bezskutecznej walce demokratycznego sumienia Zachodu i ekonomicznych rachunków – większość krajów europejskich podjęła decyzję o drastycznym ograniczeniu udzielania azylu politycznego.

Na placu boju pozostały głównie Niemcy. A poza Europą – Kanada i Australia w bardziej ograniczonym zakresie oraz USA.

W międzyczasie w Niemczech zlikwidowano najpierw pomoc socjalną dla przybyszów przebywających na zasadzie tzw. „duldungu” (tolerowanie pobytu), a potem samą instytucję „duldungu”. Przybyszom pozostaje dziś już tylko albo pozostawanie „na czarno”, albo ubieganie się o azyl. Jednocześnie ambasada zachodnioniemiecka w Warszawie wstemplowując wraz z wizą zdanie: „nie uprawnia do ubiegania się o obywatelstwo” zabezpieczyła się po raz kolejny przed napływem uchodźców. A więc pozostał nam już tylko Berlin.

To za jedna strona medalu. Sposób, w jaki Zachód broni się teraz przed nami. O moralnych przyczynach i skutkach tego pomówimy za chwilę. Na razie trzeba jeszcze przez chwilę popatrzyć na Polskę, Rumunię, Bułgarię i inne kraje bloku wschodniego oraz sytuację ich sfrustrowanych mieszkańców. Obostrzenia wprowadzone przez Zachód być może wpłynęły na zmniejszenie ilości uchodźców, nie zmniejszyły jednak w żaden sposób frustracji, wewnętrznej i dogłębnego poczucia niesprawiedliwości losu, który jednym pozwala (przynajmniej teoretycznie) cieszyć się dobrobytem, i swobodami demokratycznymi, a innym – w tym samym czasie i tym samym miejscu, jakim jest Europa w drugiej połowie XX wieku – odebrać prawo i do jednego, i do drugiego. Sfrustrowani a słabi zostają w kraju, sfrustrowani i silni nadal szturmują ostatni przyczółek wolności – Berlin Zachodni. To już nie tylko ucieczka, to również wyjście z czasem. Wszyscy

mają poczucie, że i te ostatnie drzwi do wolności mogą się lađa chwila zatrzaskać. Na razie przez to coraz ciśniejsze wejście próbuje się ze wschodniej strony wcisnąć tłum silnych (inni już nie poradzą sobie z trudnościami, jakie ich czekają i po tej, i po tamtej stronie drzwi). Silnych – a więc w polskim pojęciu, a zapewne i w polskiej rzeczywistości – cwanych, obrotnych, zaradnych. W końcu lądują w Berlinie, gdzie dowiadują się, że muszą u z a s a d n i ć swoje prawo do pobytu tu.

Wracamy więc znowu do pojęcia ucieczki ekonomicznej i politycznej oraz do moralnych racji Zachodu, któremu przestało nagle wystarczać uzasadnienie, jakim jest sam fakt istnienia ustroju totalitarnego. Racje krajów zachodnich w stosunku do uciekinierów z bloku wschodniego najłatwiej jest przeanalizować na podstawie obecnie obowiązujących przepisów przyznawania azylu politycznego w Niemczech Zachodnich oraz prawa imigracji do Stanów Zjednoczonych. Niemcy i USA są już praktycznie ostatnimi krajami, które jeszcze przyjmują uchodźców. Aby jednak zostać uznanym za uciekiniera politycznego trzeba przedłożyć odnośnym władzom podanie i życiorys, podając uzasadnienie ubiegania się o azyl. Trzeba więc, krótko mówiąc, opisać własnymi słowami przesładowania, jakich doznało się w kraju.

Przyjmijmy teraz, że wymóg przedstawienia racji politycznych jest słuszny. Przyjmijmy też, że rządy obu tych krajów wyszły z założenia, że nie mogą „uratować” wszystkich, którym dane jest żyć w reżymie komunistycznym, chcą ratować tych, którym się to najbardziej należy – a więc tzw. „politycznych”. A więc już nie humanistycznie traktowane „każde istnienie ludzkie”, ale politycznie traktowane „polityczne istnienie”. Czy jest to element wielkiej polityki? Zapewne tak. Przynależność w nos rządów komunistycznym. Oficjalne ogłoszenie, że schronienia udziela się tylko „prawdziwym politycznym” na co dzień przypomina obywatelom Zachodu (a także władzom na Wschodzie), że sytuacja w krajach komunistycznych jest nie do zniesienia, że są tacy, którzy z nią walczą, że nie istnieje proklamowana przez Wschód pełna normalizacja, skoro wciąż są i buntownicy. Nie ułatwia to zapewne władzom ze Wschodu starań o kredyty, pomoc, wymianę itp. Ale też nie zamyka im drogi do tej pomocy. Ot tyle, że za każdym razem, kiedy o coś proszą, muszą, zanim to otrzymają, przełknąć gorzką pigułkę. Zachód może się też w dyskusjach ze Wschodem posługiwać statystyką – trudno jest policzyć, ilu ludzi gnije w więzieniach na Wschodzie, ilu zostało pobitych, wpakowanych do klinik psychiatrycznych itp. Natomiast łatwo jest podać liczbę uciekinierów politycznych. A statystyka jest pomocna we wszelkich przetargach.

Ale na tym kończą się moralne profity tak ukształtowanej polityki udzielania schronienia uciekinierom ze Wschodu. Zaczynają się natomiast minusy. Minusy i polityczne, i moralne.

Wschód grdyka wprawdzie te pigułki z niechęcią, ale potrafi je też zupełnie umiejętnie wypłuć. Z niezłym efektem propagandowym. W kraju propaganda rządowa aż dławi się z zachwytu podając publicznie do wiadomości ilu to „politycznych” porzuciło swój naród, zdradziło ideały i poszło na „łatwy chleb Zachodu”. Tak więc efekt statystyczny, który w założeniu miał godzić w reżym komunistyczny, obraca się przeciw stronie demokratycznej. Jakże łatwo taki np. Urban może w swoim wystąpieniu poinformować świat, że tłum uchodźców, z których każdy jest byłym działaczem politycznym, oznacza: po pierwsze, że ci, którym kapitalizm płacił za zrobienie rozruchów w kraju poszli do chlebobdawcy, a ci, którym ufał prosty naród to zwykli zaprzędani zdrajcy. Można w to oczywiście nie wierzyć, bo mało kto w ogóle wierzy w oficjalną propagandę, ale coś się tam jednak syczy. I tak – ni z tego, ni z owego – „Solidarność” traci autentyczność, staje się tylko elementem knowań kapitalistycznych. Zakłamanie historii to wprawdzie bardzo odległy skutek takiej, a nie innej polityki imigracyjnej, ale... kto wie, w co wierzyć będą dzieci za lat dziesięć czy piętnaście. Ja np. osobście wierzyłam w dzieciństwie, że AK rżnęła tylko komunistów, a ZSRR jest krajem miłującym pokój.

Największa jednak krzywda moralna spotyka, moim zdaniem, tych, którzy ubiegają się o azyl polityczny, nie mając po temu realnych podstaw. Wszyscy wiemy, że ludzi takich są dziesiątki, setki, a może tysiące. To ci silni i sfrustrowani, którzy dotarli na Zachód i chcąc tu pozostać za wszelką cenę. Kłamstwo nie jest ceną wygórowaną. Są więc osoby, które specjalizują się w pisaniu za pieniądze fałszywych życiorysów. Opracowane zostały metody rozbudowywania banalnych faktów do rangi bohaterstwa, podszywania się pod działalność innych osób, wystawiania sobie fałszywych świadectw, podawania referencji z użyciem nazwisk osób działających w podziemiu itp.

Działalność tę należy oceniać dwójako. Po pierwsze – jak każdy z Polaków, szczeniących się swoim katolicyzmem zapewne pamięta – kłamstwo jako takie jest brzydką. Ponadto ten akurat gatunek kłamstwa jest wyjątkowo paskudny. Wykorzystuje bowiem autentyczne niedole i udręki tych, którzy faktycznie w kraju działali i działają w podziemiu. Poczynając od sfrustrowanego ambasadora, poprzez tzw. zwykłego człowieka, który chce mieć więcej i lepiej, a kończąc na ubeku nastanym do inwigilowania środowiska, wszyscy bez żenady podszywają się pod nie swoją

działalność, przypisują sobie nie swoje zasługi i zgrywiają bohaterów. Jest to odrażające. Ale...

Pragnę się zastrzec – daleka jestem od usprawiedliwiania indywidualnych posunięć ludzi, którzy napisali stek kłamstw po to, by urządzić sobie nowe życie. Każdy z nich indywidualnie podjął decyzję godną pluskwy i powinien to słyszeć od wszystkich naokoło. Ale...

Nie usprawiedliwiają więc niczego, można się jednak pokusić o wyjaśnienie zjawiska. Istnieje polskie porzekadło, które mówi, że „okazja czyni złodzieja”. Istnieją też chrześcijańskie słowa modlitwy – „i nie wódz nas na pokuszenie”. Istnieje wreszcie w teorii prawa zalecenie, by nie wprowadzać przepisów, które nie będą przestrzegane, bo nieskuteczne prawo sprawia, że nie tylko ono zostanie złamane, ale również naruszony ogólny stosunek do praworządności.

Otóż bardzo jest łatwo z pozycji człowieka uczciwego ocenić tych, którzy popełnili nieuczciwość dla uzyskania własnych korzyści. I taka ocena Polaków już istnieje. Nie tylko wśród samych Polaków, ale również wśród udzielających nam schronienia Niemców, Amerykanów, Austriaków itd. Kłamstwo, które jak wiadomo ma krótkie nogi, dawno przestało być tajemnicą. Nie tylko uciekinierzy wiedzą, że kłamią. Wiedzą to również ci, którym się te kłamstwa przedkłada. Oficjalne instancje mające do czynienia z polskimi uciekinierami tracą rozeznanie. Ponieważ z całą pewnością część z nich kłamię, można śmiało przyjąć, że kłamią wszyscy. Nieufność, podejrzliwość i niechęć dosięga więc i tych, którym tak sformułowane prawo miało pomóc – autentycznych politycznych. Rośnie więc ranga tzw. „dowodów”. Dokumenty nabierają większego znaczenia niż słowa. A dokumenty nie zawsze muszą dowodzić politycznej czystości, bo mogą też świadczyć o cwaniactwie, tyle że lepiej zorganizowanym. A więc znowu – może się zdarzyć, że ci, którzy faktycznie cierpieli prześladowania tracą wiarygodność. Z kolei do uciekinierów politycznych należą też i ci, którzy np. przez ostatnie trzy lata w niewiarygodnym napięciu nerwowym i psychicznym działali w podziemiu, a uciekają z kraju nie dlatego, że działali grupio lub nieostrożnie i wpadli, ale dlatego, że działali precyzyjnie, z zachowaniem wszelkich wymogów konspiracji, nie wpadli więc, ale też i nie mają siły dalej żyć w ten sposób. Ci ludzie z rzadka tylko mogą przedstawić jakikolwiek dokument. Mają za sobą tylko swoje słowa oraz przekonanie, że w konspiracji nie jest sztuką dać się zamknąć, lecz wręcz przeciwnie. Ci ludzie czują się dość często bezradni, albowiem ich „prawda” nie jest tak wstrząsająca jak „prawda” tych, którzy bez oporów napisali, że zostali

np. pobici. Może się więc zdarzyć – i zdarza się – że efektywne kłamstwo ma większą moc opiekuńczą niż nieefektywna prawda.

A jednak wciąż pozostaje to „ale...”

Bo jeżeli udało się nam zachować jeszcze trochę wiary w ludzi, to powiemy sobie, że prawdopodobnie trzy czwarte tych, którzy kłamali wcale nie chcieli tego robić. Zostali do tego zmuszeni w obronie swoich praw ludzkich, obywatelskich i demokratycznych. Postąpili egoistycznie i niemoralnie, głównie dlatego, że nie pozwolono im tak po prostu pójść na policję i powiedzieć: „CHCĘ ŻYĆ JAK CZŁOWIEK. Jeżeli nie umieliście nam pomóc, gdy wojna się kończyła, a wy już znakomicie wiedziliście, czym pachnie komunizm... jeżeli nie umieliście i nie chcecie pomóc nam teraz, jeżeli nie jesteście w stanie sprawić, by prawa człowieka i obywatela były naprawdę przestrzegane w krajach komunistycznych, to przynajmniej przyjmijcie do wiadomości, że życie tam jest naprawdę okropne. A ja nie chcę już tak żyć”.

To nie brak jako taki powoduje frustrację. Plemiona neolityczne zadowalały się jedną tyśięcną tego, co dziś wydaje się niezbędne do życia. Frustracja wynika z porównania. Oraz z poczucia krzywdy, z protestu przeciw niesprawiedliwości. Zbiorowa frustracja kraju zrodziła „Solidarność”. Indywidualna frustracja zrodziła ucieczki.

Wydaje się, że jedynym sensownym rozwiązaniem ze strony Zachodu byłoby cofnięcie przepisów, które mają tak niszczące moralnie skutki i powrót do zasad obowiązujących uprzednio. Zwłaszcza, że prawo do zamieszkiwania, gdzie się człowiekowi podoba, należy do kanonów demokracji i powinno dotyczyć wszystkich obywateli świata. Wydaje się też jednak, że jedynym rozwiązaniem, jakie zostanie zastosowane, będzie zlikwidowanie prawa do ubiegania się o azyl. Wszystkie znaki na niebie i na ziemi wskazują, że należy się tego spodziewać. W ten sposób demokracja walcząc z totalitaryzmem zrobi jeden krok w kierunku... totalitaryzmu. ■

PIECZEŃ RZYMSKA

Kilka uwag o emigracji przed obiadem i po obiedzie

Brałem udział w polonijnej imprezie. Polonijnej i emigracyjnej. Nie był to występ „Mazowsza”. Coś więcej. Schemat zapewne zawsze jest ten sam, chociaż okazją było dość ważne wydarzenie, kawał historii, z którym wiąże się imię Polski etc. W tej chwili nie mam ochoty, nie widzę też powodu, by mówić, co to było i gdzie. Patriotyczna, emigracyjna impreza. Schemat: msza święta zakończona odśpiewaniem „Boże, coś Polskę” (w wersji krajowej: „Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie!”); potem poczęstunek: kuchnia już nie polska, ale co zrobić, nie wszędzie ten szcaw nasz rośnie, ale za to „wódeczka” na koniec wjechała prosto z Kraju, zaraz też nastąpił się poprawił, głośna skarga górala, któremu żal, i tak dalej. Na tym zazwyczaj się kończy, prawda? No, tu traf chciał, że był jeszcze ciąg dalszy. Otwarcie wystawy, przemówienia, dyskusje. Zmęczeni śpiewem i jadłem biesiadnicy leniwie przesuwali się pod planszami, gdy nagle... Szmer. Achy-ochy, piski pań w krakowskich strojach. Jeszcze go nie było widać za zakrętem krużganka, już został ogłoszony: „Konsul”. Na spotkanie przybył konsul PRL

z większego miasta. Być może i to należy do rytuału takich spotkań. Być może zachowanie ludzi, o których wiedziałem, że Polacy, lecz myślałem, że również „swoi”, jest normalne. Poczekajcie, opowiem. Do barwności opisu potrzebny mi jednak – mimo zapewnień o anonimowości środowiska – prawdziwy portret konsula. Nadszedł w ukłonach i wygibasach. Kudłaty, z zadartym nosem i niezdrową, szarą cerą. W granatowym, krajowym garniturze. Uśmiech, sama dobroć. Może on taki jest, może tylko musi – i mu się udaje. Ale jaki jest efekt tego? Pisk wśród pań. Słini się emigracja, stara i nowa. Kombatanci i panienki tlenione. Padają ręce. Przypominają o wystanym przed miesiącem podaniu, na które nie ma odpowiedzi (pan konsul zaszepia się, wyraża żal, ubolewanie; bawi go, że jego, człowieka czynu i złotego serca, łączą z pojęciem biurokracja: Proszę spaść do mnie, choćby jutro...).

Ci sami, którzy parę godzin temu śpiewali o wolnej ojczyźnie – teraz są znowu niewolnikami! I to czym? Konsula! Obłąkuje on więc bezceremonialnie czterdziestoletnie krakowianki; zna przecież wszystkie ich sekrety, pamięta łąz podlane prośby o przedłużenie paszportu, przez jego ręce przeszły upragnione „papiery” do ślubu. Ale starsi – nie są lepsi. A mieli być emigracją polityczną. Mieli wrócić do wolnej Polski. Jeżdżą tam teraz chyłkiem, jakby to był folwark pana konsula, na który wpuszcza ich z łaski, po znajomości. Podobno w Polsce najgorsi są starzy, tak mówiąc:

że starsi ludzie godzą się z generalskimi porządkami, zmęczeni życiem, zawiedzeni, zatruci. Ale dlaczego to samo ma być na emigracji, i to tej, mianącej się „polityczną”. Niech jeżdżą do PRL, mają obce obywatelstwo, mają więc do tego prawo. Po co ślinić się do konsula? Dlaczego zaś młodzi, w tym wypadku kobiety, poza kraj, poza PRL wynoszą podwójną moralność, dwulicowość, zakłamanie, obłudę? Dlaczego – innymi słowy – ludzie ci NIE POTRAFIĄ BYĆ WOLNI? Nie twierdzą, że do przedstawicieli „władzy ludowej” mamy tu strzelać na każdym kroku, spluwać na ich widok czy odwracać się twarzą do ściany (jeżeli już, to oni mogliby się wstydzić...). Jest wszakże jeszcze kilka odcieni, nawet kilka barw pomiędzy tą postawą skrajnego powiedzmy sprzeciwu a lizustwem, serwilizmem, tchórzostwem.

Jednym słowem, kochani Rodacy – i ci, o których mowa, i inni, którzy na to patrzą – skąd wziął się PRON na emigracji? Kto nam to podsunął, kto zaszczeplił? Jak to możliwe, by w przeciągu kilku godzin ludzie tak się zmieniali, bądź zmieniali twarze na własnych oczach, w tym samym gronie! Kto mi teraz zaręczy, że prawdziwa jest twarz na nabożeństwie, a przed konsulem to już głupia maska? Czyj to wpływ, kudłatego pana konsula czy może obcego wciąż jeszcze otoczenia, że na widok rodaka w granatowym garniturze oko zachodzi mgłą wzruszenia, tęsknota za łanem i wierzbą rosochatą topi się w adrenalinie, a spocina ręka sama pcha się w kajdany spracowanych, stalowych dłoni „dyplomatów”? Może mi ktoś odpowie, może mnie ktoś pouczy nim uznam, że coś takiego, jak „emigracja polityczna” już nie istnieje, jedynym powodem, dla którego nie jedzie się do kraju, jest brak pieniędzy na kiecki i samochód...

Sordello

FUNDUSZ WYDAWNICZY „POGLĄDU”

Każde wydanie „Poglądu” ukazują się również w wersji zminiaturyzowanej z przeznaczeniem dla Czytelników w kraju.

Los wolnego słowa w Polsce zależy więc również od Czytelników i Prenumeratorów „Poglądu”.

Każda, nawet najmniejsza wpłata na fundusz wydawniczy pozwoli zwiększyć nakład naszego dwutygodnika na kraj.

Nazwiska ofiarodawców będziemy publikować. Wpłaty prosimy kierować na konto:

„Gesellschaft Solidarnost” e.V. „Pogład”	lub Postschekkonto 586 90-102
Sparkasse der Stadt Berlin West Konto Nr 122 001 238 2	BLZ 100 100 10
BLZ 100 500 00	Postschekamt 1000 Berlin (West)

UNH-

United
Human
Organisation
-bep-
Verlag AG

UWAGA!



Wyjątkowo atrakcyjna oferta dla wszystkich myślących o usamodzielnieniu się!

Dynamiczna firma międzynarodowa wiodąca na rynku w branży: esoteryka, parapsychologia i management, poszukuje jeszcze kilku partnerów z dużą inwencją twórczą. Informacje odnośnie szczegółów uzyskacie

Państwo pod adresem:

UNH-bep-Verlag AG,
z.H. Arkadiusz Kazmierczyk,
Thurgauerstr. 40
CH-8050 Zürich
tel. biuro: (01) 302 16 26
tel. prywatny: (054) 65 21 38

albo pod poniżej podanymi adresami:

Niemcy Zachodnie
UNH - GmbH
CP - Tower
Hamburger Allee 2-10
D-6000 Frankfurt/Mein 90
tel.: (069) 77 30 42

Austria
UNH-bep-Verlag
Ernst König
Ferkursleiter
Schörghof 332
A-3311 Zeillern
tel. (07472) 6 13 71

Wielka Brytania
-bep-publications Ltd.
46/47 Pall Mall
London, SW 195 JG
England

Krystyna Grzybowska

Druga Polska

Pragnę zapewnić, że władze naszego kraju niezmiennie popierać będą rozwój wszechstronnych kontaktów z wielomilionową Polonią osiadłą poza granicami. Ci z was, którzy zechcą czerpać ze skarbcza narodowej kultury, mogą zawsze liczyć na pomoc polskich instytucji kulturalnych, naukowych i oświatowych. Sprzyjać będziemy również rozwojowi współpracy z Polonią w dziedzinie gospodarczej, handlowej oraz w zakresie turystyki.

Ten gładki i nic nie znaczący tekst wygłosił niedawno z okazji obchodów 30-lecia Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia” minister spraw zagranicznych PRL, Stefan Olszowski. Przemówienia tego typu wygłaszał on już niedługo po każdym powrocie na stanowisko ministra spraw zagranicznych, który z urzędu „czuwa” nad Polonią Zagraniczną.

Towarzystwo „Polonia” powstało w okresie tak zwanej odwilży i za swoje główne zadanie postawiło infiltrację środowiska emigracyjnego zarówno poprzez organizowanie w kraju atrakcyjnych imprez i spotkań, jak też na miejscu, w środowisku zamieszkania Polonii. Tutaj szczególnie aktywną rolę spełniają polskie placówki konsularne, będące zwyczajnie przedłużeniem ramienia bezpieki. Zresztą zupełnie oficjalnie pieczęć nad wszystkimi sprawami związanymi z uchodźstwem sprawuje w Warszawie departament konsularny MSZ. Nic zatem dziwnego, że działacze Towarzystwa „Polonia” i pracownicy departamentu konsularnego wymieniają się między sobą stanowiskami i placówkami dyplomatycznymi.

30-lecie Towarzystwa „Polonia” jest znakomitą okazją do bliższego zastanowienia się nad dyktematem, kim my, ta „wielomilionowa Polonia”, właściwie jesteśmy i jaki jest nasz stosunek do reżymu w Warszawie. Jaki jest nasz stosunek do kraju — to wiemy wszyscy. Kochamy Polskę. Tęsknimy za nią. Ale reżym dzieli nas nie z punktu widzenia natężenia uczuć patriotycznych i tęsknot, ale z punktu widzenia miłości do ustroju, a przynajmniej przychylności. Dla różnych speców od polskiego uchodźstwa, dzielimy się na Polonię Zagraniczną, emigrację polityczną i Wolną Europę. Wolna Europa nie jest emigracją polityczną nawet — jest agendą na usługach CIA i nie nadaje się do

infiltracji. Z Wolną Europą tylko Urban wymienia poglądy, w mniej lub bardziej zdenerwowanym tonie.

Jest nas podobno wraz z potomkami Polaków osiadłych na Zachodzie mniej więcej 12 do 14 milionów. Można by utworzyć z takiej rzeszy ludności średniej wielkości państwo europejskie. Jakąś Jugosławię albo Belgię. Jesteśmy rozprośzeni po całym świecie tworząc polską diasporę. Mamy bliższych w Ojczyźnie i w Związku Sowieckim. Bliscy w Sowietach to nie Polonia zagraniczna, nie emigracja, to

WIĘŹNIOWIE

Reżymowe statystyki mówią o półtora miliona. Myślę, że Polaków w ZSRR jest dwa razy więcej, wliczając zesańców i ich potomków na Syberii, w Kazachstanie i innych republikach Dalekiego Wschodu. Towarzystwo „Polonia” nie powstało dla nich i poza bardzo krótkim okresem w epoce gierkowskiej, kiedy to nieliczne zespoły folklorystyczne z Wileńszczyzny mogły odwiedzić kraj, nie mają oni wstępu do PRL. Urwały się nawet kontakty osobiste, możliwości odwiedzin najbliższej rodziny. Rodacy w ZSRR to więźniowie polityczni żyjący w obozie koncentracyjnym o zaostrożonym reżymie. Nie tylko dlatego, że muszą żyć w państwie o najbardziej rozwiniętym na świecie systemie policyjnym, ale także dlatego, że są Polakami. A więc chcą posyłać lub posyłają swoje dzieci do (nielicznych) polskich szkół, mówią z nimi w domu po polsku i wyznają religię katolicką oraz kochają papieża Polaka. Za to wszystko są traktowani w sposób bardzo szczególny. Między innymi odpada na egzaminach wstępnych na wyższe uczelnie, Polacy nie zajmują w zasadzie żadnych odpowiedzialnych stanowisk, nasi rodacy żyją biednie od innych. Mimo to nie poddają się i postawili na przetrwanie. Część na pewno już się zrusyfikowała, ale przypuszczam, że w porównaniu ze zamerykanizowaniem się czy sfrancuzieniem emigrantów na Zachodzie, nie jest to procent alarmujący.

Tuż przed odnową, kiedy w Polsce poza octem spirytusowym i bobkowym liściem nie było w sklepach literalnie nic, z Wilna od mojej ciotki, osoby schorowanej i przebywającej na 60-rublowej rencie inwalidzkiej, nadeszła paczka żywnościowa. Drewniana skrzyneczka z kaszą i garścią sowieckich cukierków. Dziś mogłabym mojej ciotce pomóc, wysyłając z kolei jej paczki żywnościowe, ale przecież sam fakt wystania z Zachodu takiej przesyłki groziłby mojej ciotce nieobliczalnymi konsekwencjami.

Niezwykłe i wstrząsające w tym ciotczym guście pomocy było to, że ja się o pomoc wcale

nie zwracałam. Że ona to zrobiła w odruchu polskiej solidarności i polskiej tęsknoty.

Tacy jesteśmy wszyscy, bez względu na to, czy dzielimy się na więźniów, Polonię zagraniczną, emigrację albo Wolną Europę. Paczki do Polski w okresie największego kryzysu wysyłałiśmy wszyscy, którzy mogliśmy.

POLONIA ZAGRANICZNA

Jednak na płaszczyźnie kontaktów z PRL-em wyraźnie się od siebie różnimy. I jesteśmy różni. Czy rzeczywiście jest tak, że wielomilionowa Polonia zagraniczna, jak to powiedział Olaszowski, współpracuje z krajem, a emigranci polityczni to nie liczący się margines wrogów socjalizmu? I gdybym zapytała każdego z osobna właściciela paszportu konsularnego czy przesiedleńca z niemieckim dokumentem, czy popiera socjalizm, Jaruzelskiego i Urbana oraz sowiecką okupację Polski – odpowiedzieliby przecząco.

Anegdota, która obiegła Polaków w RFN i rozbawiła wielu, nie jest wcale anegdotą. Przybawiają ją: w konsulacie polskim w Kolonii facet składa podanie o paszport konsularny. Jakie ma pan uzasadnienie na swoją prośbę – pyta urzędnik. A taką – odpowiada rezolutny młodziarz – że właśnie dostałem azyl polityczny.

Polonia zagraniczna (będę się trzymała tej terminologii, wymyślonej przez aktywistów w PRL) żyje zatem życiem podwójnym. I to ją różni od emigracji politycznej. Czy jest jej z tego powodu lżej – nie wiem. Jedną jednak mają przewagę – jeżdżą do kraju, spotykają się z rodziną i mogą zaspokoić swoje tęsknoty, które są także tęsknotami emigrantów politycznych. Tęsknoty za Ojczyzną. Za to muszą płacić nie tylko w dewizach, ale i częścią sumienia.

Polonia zagraniczna jest bardzo zróżnicowana i nie wszystkie jej odłamy można traktować jednakowo. Stara emigracja zarobkowa i jej potomkowie najczęściej są politycznie indyferentni. Ludzie proszą, niewykształceni i już starzy dają się wciągać w polityczne rozgrywanie uchodźstwa polskiego często bezwiednie. Jeżdżą na rozmaite imprezy tzw. polonijne i wysyłają swoje dzieci na wakacyjne studia kultury i języka polskiego. Wnukowie ich nierazko tańczą w zespołach folklorystycznych i z tej racji przyjeżdżają na festiwal zespołów polonijnych do Rzeszowa. Liczebnie nie jest to grupa mała i ona to stanowi o turystyce zagranicznej do Polski. Ci ludzie są bazą Towarzystwa „Polonia”, bo dają mu ilość. Z jakością bywa gorzej. Na osławionym Kongresie Uczonych Polskiego Pochodzenia w roku 1974 przeważali ludzie bez

wykształcenia. Wygłaszali też niestety referaty, ich nazwiska, ba – wywiady z nimi zamieszczano, jak to Polonusi mówili i „w gazetkach”. O poziomie wypowiedzi tych „uczonych” polskiego pochodzenia nie wspomnę. Zaplątało się na tę głównie bankietową imprezę kilku inżynierów i paru naukowców, którzy pasowali ze wstydu, że dali się nabrać na taki numer. Uczestnicy kongresu wnieśli jednak poważny wkład... dewizowy, opłacając luksusowe hotele i luksusowe przyjęcia również działaczy Towarzystwa „Polonia” i licznie spędzonych dziennikarzy, którzy rzadko mają okazję tak się zabawić na cudzy koszt. Wiem, bo sama korzystałam.

Trudno mówić, że ci Polacy współpracują z reżymem. Aczkolwiek, jak już wspomniałam, dają się bezwiednie wciągać w polityczną grę komunistów.

Inaczej przedstawiała się sytuacja z tzw. handlowcami polonijnymi, którzy robią z reżymem interesy i zakładają firmy polonijne, sprzedające tandetę za wygórowane ceny. Ich układy z władzą są jasno określone. My was popieramy, ale za to wy nam dajcie zarobić dużo szmalu. Nie są to pierwsi naiwni ani też starzy emigranci zarobkowi. W wielu przypadkach po kilku czy po kilkunastu latach pobytu za granicą, zorientowawszy się, że tu byznesu nie zrobią, udają się do Warszawy, nie szczędząc prezentów i „darów” na różne pomniki, także i na ubeliski. Są to ludzie raczej cyniczni, socjalizm mają w „głębokim poważaniu”, ale ich kontakty z różnymi placówkami konsularnymi są bardzo ścisłe i niejednokrotnie niejednoznaczne.

Oni robią Towarzystwu „Polonia” jakość. Jest to jakość liczona w dewizach i dla reżymu opłacalna. „Robią” też rozmaite targi krajowe i zagraniczne z braku wystawców z prawdziwego zdarzenia. Dziś są dobrymi partnerami. Jeśli zajdzie potrzeba, staną się Żydami kolejnego etapu. Wiedzą o tym. Dlatego chcą jak najszybciej zarobić, jak najwięcej i w porę wycofać się na z góry upatrzone pozycje.

Ale przecież nie tylko dyrektorzy spółek polonijnych spijają czystą wyborową z konsulami i radcami handlowymi. Robią to też działacze organizacji tzw. polonijnych oraz osoby pozostające pod wpływem tych organizacji. Dla przewodniczącego proreżymowego Związku Polaków w Niemczech „Zgoda” wypicie wódki z polskim ambasadorem to więcej niż zaszczyt, to po prostu rozkosz. Zwłaszcza, że organizacja ta otrzymuje z PRL-u, podobnie jak austriacka „Strzecha” i parę innych we Francji czy USA, poważny zastrzyk dewizowy.

Środki łożone przez PRL nie są przeznaczone bynajmniej na cele charytatywne. Służą one ro-

zwijaniu w środowiskach uchodźczych propagandy prokomunistycznej, organizowaniu imprez w rodzaju obchodów 22 lipca czy innych państwowych i państwotwórczych uroczystości. Na gazety „polonijne”, których nikt nie kupuje i które zajmują się głównie przedrukami specjalnych materiałów publikowanych dla zagranicy przez warszawski „Interpress”. Na wystawy osiągnięć PRL i różne temu podobne rzeczy. Tak więc bratają się ze sobą. Działacze jeżdżą do Polski, szpanują po knajpach rzucając markami na lewo i prawo, dostają się na łamy gazetek, udzielają głębokich intelektualnie wywiadów i zasilają kieszeń miejscowych panienek. Znam kogoś, kto nie umie ani czytać, ani pisać, tak się złożyło, wywieźli go na roboty do Niemiec, pochodził z biednej, wiejskiej rodziny, do szkół nie chodził, który, dopóki w gazecie nie wydrukują jego zdjęcia, nie wierzy, że o nim napisano. Jest to człowiek poczciwy i chętnie łoży na Towarzystwo „Polonia” i inne cele. Co mu nie przeszkadza chodzić do kościoła, w którym msze odprawia antykomunistyczny ksiądz.

Jakbyśmy na to nie patrzyli, prorożymowe organizacje polonijne otrzymały ostatnio znaczne posiłki. Jest to część emigrantów lat 1980-1984 i pewna liczba przesiedleńców, mniej lub bardziej Niemców z pochodzenia. Ich polityczne poglądy są jednoznaczne. Wyjechali z komunizmu, bo go mieli dosyć, dosyć mieli zakłamania, biedy i niepewności. Dziś mają niezłe mieszkania, samochody i trochę pieniędzy. Droga azylu politycznego, czy prawa stałego pobytu lub wizy emigracyjnej zaczęli się i teraz przyszła pora odwiedzić kraj, pokazać, czego się człowiek dorobił i jak żyje. Bo tutaj, na Zachodzie, to jest nic, ale w Polsce to dopiero bogactwo. Czarnorynkowy przelicznik wabi i nęci, no i ten podziw rodziny.

W Duesseldorfie albo Kolonii to człowiek niczym się z tłumem nie wyróżnia. Ale w Ostrołęce można już zadać sztyku.

I teraz przychodzi ten moment. Potrzebny jest paszport konsularny. A konsulat da albo nie da. A jak da, to niejednokrotnie w zamian za coś. Niekoniecznie za łapówki. Trzeba w jakiś sposób poprzeć reżym lub wstąpić do „Zgody” albo czegoś podobnego, albo pójść na inny rodzaj współpracy. W tej dziedzinie terenem szczególnej infiltracji безпеki są Niemcy Zachodnie, chociażby dlatego, że są blisko, ale nie tylko. W każdym razie niechaj nikogo nie zdziwi, jeżeli się dowie, że jego kumpel przesiedleńca, czy kumpel azylant odwiedza polską ambasadę, brata się z jej urzędnikami i jest posiadaczem paszportu konsularnego. I tu już można mówić o życiu świadomie podwójnym i świadomie zaplanowanym.

Pozostaje w tym naszym, z konieczności dość uproszczonym, schemacie polskiego uchodźstwa

EMIGRACJA POLITYCZNA

Stara i nowa. Z czasów wojny, z okresu stalinowskiego, polscy Żydzi wypędzeni w 1968 roku i ludzie „Solidarności”. Przez reżym potępieni, ale wcale nie spisani w zupełności na straty. Kiedy przychodzą odwilże i odnowy, co jakiś czas wpuszczają ich do Polski, by potem znów, gdy zapanieje normalny „porządek”, odrzucić. Emigracja polityczna, to przede wszystkim inteligencja, w tym wielu twórców. Pracując przez lat dziesięć w problematyce polonijnej w PRL nie spotkałam się właściwie, poza trzema, czterema znaczącymi nazwiskami, z nikim ze współpracującej z reżymem Polonii Zagranicznej, kto wniósł istotny wkład w polską czy światową kulturę, naukę, myśl techniczną.

Tak się więc dziwnie złożyło, co reżym niezaprzeczalnie boli i złości, że emigracyjni twórcy, to emigranci polityczni. Od Gombrowicza i Miłosza poczynając, a na Barańczaku kończąc.

Wyjechali z Polski lub zostali za granicą i nie dla pieniędzy czy nowego Mercedesa. Powodowani racjami wyższego rzędu, nie mogąc pogodzić się z systemem tłumiącym swobodę myśli i ludzkie prawa do wolności, wybrali drogę najtrudniejszą. Wielu żyje w trudnych warunkach materialnych, nie umiejąc zarobić na życie zwykłym rzemiosłem, czy po prostu kombinatorstwem. Oni za emigrację zapłacili cenę najwyższą. Ich cierpienie z powodu rozstania z Ojczyzną i świadomości, że do niej raczej nie wrócą utrudnia niejednokrotnie pracę twórczą, działalność naukową. Mogliby, ktoś powie, pójść do ambasady, trochę się pokajać i otrzymać paszport konsularny. Władza socjalistyczna jest dobra i wybaczyci. Niektórzy już tak zrobili, ale bez względu na to, gdzie mieszkają, nic ważnego już nie stworzą.

Konsekwentne trwanie przy swoich poglądach i raz obranej drodze życiowej kosztuje. Ale też bez tej emigracji, nazywanej polityczną, bez jej najwybitniejszych przedstawicieli, czym byłby dziś polski exil? Czym byłby on w dobie romanizmu? Norwid umarł w Paryżu w nędzy, opuszczeniu, ale tam właśnie stworzył swoje największe dzieła. Gombrowicz miał same kłopoty finansowe i żeby napisać swoje wspaniałe sztuki i powieści, musiał dorabiać sobie pracą w banku.

Polonia nazywana zagraniczną bez względu na swoje powiązania z reżymem szczyt się emigracyjnymi pisarzami jako „swoimi”. I dobrze. Żle jednak, że płaćąc pieniądze na stawiane w PRL-u pomniki nie tworzy funduszu popierania emigracyjnych twórców i intelektualistów. Że najmodsi jej przedstawiciele wydostawszy się z socjalistycznej biedy żałują pieniędzy na zakup emigracyjnej książki i emigracyjnego czasopisma.

W ten sposób odcinają się od korzeni, od tego, co jest ich istotą — od polskiej kultury. Ta dawka polskości, jaką otrzymują podczas wymarzonych podróży do Ojczyzny, to obiady u ciotki i wujka, obraz kolejek po mięso i brudne kłozety. Czasem ktoś przeczyta jakieś wydawnictwo podziemne, jeżeli nie bardzo się boi.

Tutaj, na emigracji, może to wszystko czytać bez lęku, bo wydaje się przecież najcenniejsze pozycje podziemnego obiegu i wiele innych tutejszych. Że wspomnę o znakomitych publikacjach historycznych, chociażby.

ŻYCIE RAZEM

Zastanawiam się, trochę marzę, jakbyśmy ze sobą współżyli my, więźniowie, Polonia zagraniczna i emigranci polityczni w nowej, wolnej i niekomunistycznej Polsce? Kołchoźnice z zapadłych wiosek białoruskich, właściciele spółek polonijnych, przesiedleńcy i emigranci polityczni. I kto naprawdę wróciłby wtedy do kraju lub do niego przybył, żeby podnosić go z ruiny gospodarczej, społecznej i kulturalnej?

Niezwykle pasjonujące pytanie. Pozostawiam odpowiedź na nie nam wszystkim, którzy znaleźliśmy się poza granicami Polski.

Można też sobie postawić inne pytanie. Wyobraźmy sobie, że jakieś państwo zachodnie dało nam, Polonom, we władanie jedną z wysp na Pacyfiku. Jaki panowałby w takiej drugiej Polsce ustroj? I w jakim stopniu obciążenia komunizmu, jego wypaczeń i demoralizacji wpłynęłyby na kształt i rozwój tego państwa?

Emigrantom najnowszym i najnowszej Polonii zagranicznej przypomnę tylko na zakończenie, że po pierwszej wojnie światowej, kiedy Polska odzyskała niepodległość, z całego świata zjechali Polacy, wykształceni na najlepszych uczelniach Europy i Ameryki i wychowani w kulturze tych krajów. Oni to przede wszystkim odbudowywali i budowali przemysł, administrację, inne instytucje państwowe. Ich wiedza umożliwiła stworzenie z trzech porobiorowych dzielnic jednolitego państwa. A w czasie rozbiorów można było swobodnie wyjeżdżać na studia za granicę. A rozdarti naród zdobył środki na to, by swoich najzdolniejszych przedstawicieli kształcić.

Dziś państwo socjalistyczne może wystać swoich obywateli na studia najwyżej do Moskwy. ■



KSIEGARNIA WYSYŁKOWA

Stephanstrasse 11
5000 Koeln 1
Tel. 0221/246 160

1. ks. Adameczyk (Rudolf), *Czyścić*. Paryż 1985, str. 60, DM 60,-

Wspomnienia duchownego, który lata 1952-54 spędził w więzieniu na Mokotowie oskarżony w związku ze sprawą bp Kaczmarka.

2. Heller (Michał), Niekricz (Aleksander), *Utopia u władzy*. Historia Związku Sowieckiego. Polonia, Londyn 1985, str. 304, DM 25,-

3. Iranek-Osmecki (Kazimierz), *Emisariusz Antoni*. Spotkania, Paryż 1985, str. 212, DM 24,-

Autor, szef komórki wywiadowczej w londyńskim sztabie gen. K. Sosnkowskiego opisuje ten okres swego życia, w którym jako emisariusz Naczelnego Wodza odbył podróż do okupowanej stolicy.

4. *Jałta wczoraj i dziś*. Wybór publicystyki 1944-1985. Polonia, Londyn 1985, str. 232, Dł 25,-

Stanisław Moszyński

Kolportaż

— Naukowo udowodnione — powiada Gruby. — Jak jedziesz za wolno, to gliny myślą, że za dużo wypieś, i na pewno cię zatrzymają. Bezpiecznie jest jechać szybko.

Fiat zarzuca na zakrętach ciężkim zadem. Sześć toreb, w każdej cztery paczki po sto egzemplarzy. Tym razem drukarze byli punktualni co do minuty, a i tak Szeffowa ich ochraniała. Na trzeciej stronie cała kolumna jest trudno czytelna. Chłopcy twierdzą, że mieli złe wywołany diapozytyw.

— Ja to sprawdzę — groziła Szeffowa. — Jak się okaże, że zalewacie, to jak Boga kocham po kieszeni uderzę.

Gruby z fasonem zajechał na parking. Idę zrobić kontrolkę. Szóste piętro, mieszkanie 48. Starszy pan otwiera drzwi, zanim jeszcze zdąży nacisnąć dzwonek.

— Poznaję cię po krokach — mówi. — Poza tym, nikt tak cicho nie zamyka drzwi od windy.

Wracam na dół po torbę. Z samochodu Gruby daje mi znaki.

— Poczekaj — szepcze, gdy otwieram drzwi. — Kręci się jakiś.

Siadam obok, zapalam papierosa. Gruby krzywi się z dezaprobatą, otwiera okienko. Po chwili bez słowa wskazuje palcem w stronę śmietnika. Rzeczywiście, ktoś wystawia głowę zza murka i bacznie rozgląda się po okolicy. Głowa znika i facet wytacza się ze śmietnika. Łagodną sinusoidą wędruje w stronę przystanku. Idę sprawdzić. Tak, jak myślałem: pijak. Nasrał w śmietniku i bał się, że cieć go przyuważą! Uśmiecham się do Grubego i wyjmuję torbę z bagażnika. Uszy torby niebezpiecznie trzeszczą; trzeba będzie znowu je przesyć.

Starszy pan znów z wyprzedzeniem otwiera drzwi. Tym razem niechący trzasnąłem drzwiami od windy: musiał więc czatować przy wizjerze. Otwiera bieliźniarkę, starannie zdejmując z trzech półek ubrania, gacie, nocne koszule. Paczki wędrują w głąb, bieliźna wraca na swoje miejsce. W powietrzu unosi się dyskretny zapach pasty „Komfort”.

Pod ogromnym portretem Marszałka starszy pan z namaszczeniem ściska mi dłoń.

— Następnym razem: jak zwykle?

— Jak zwykle — odpowiadam, usiłując się wyswobodzić. Uścisk się przeciąga, starszy pan smakuje każdą sekundę patriotycznego uniesienia. Boże, zacnie przemawiać. Nie, mówi tylko — uważaj na siebie. — Nawzajem — odpowiadam już w drzwiach, i łapię torbę i znikam.

— Kazanie było? — pyta Gruby zapalając silnik. — Nie? Jak ty to robisz?

— Hipnotyzuję — odpowiadam.

Cholerne miasto. Ósma wieczór, a ulice jak wymiecione. Stajemy na światłach. Na rogu samotny gliniarz patrzy w naszą stronę. Waha się, poprawia torbę, rusza. Zielone. Gaz. Sprawdzam w lusterku. Spokój.

Tu parkingu nie ma, Gruby zatrzymuje się bramę dalej, idzie sprawdzić. Patrzę po oknach — niebiesko od telewizorów. Mój ukochany redaktor Małczyński rozmawia ze skruszonym zdrajcą, który postanowił jednak wrócić do Ojczyzny. Polska ogląda. Co myśli?

Gruby wraca, puka w okienko i wyciąga torbę z bagażnika. Nie ma go dziesięć minut, dwadzieścia. Jest. Poprawia rozchełstaną koszulę, pogwizduje.

— „Brunetki, blondynki, ja wszystkie was dziewczynki...”

— Pierdolisz — mówię, żeby mu zrobić przyjemność.

— Ano właśnie — potwierdza i rechocze. Biedny Gruby.

Biedny Gruby, żadna go nie chce. Kiedyś po pijaku przez godzinę mnie męczył, żeby mu wytłumaczyć, „co w nim jest takiego”. Ale z każdego spotkania z łączniczką, z każdego podpunktu, gdzie jest coś w spódnicy wraca robiąc miny zwycięzcy. Niech tam.

Patrzę na zegarek. Późno.

Trzeci adres. Duży punkt, dwie torby. Kontrolka w porządku. Pani Kinga jest niezadowolona, jesteśmy spóźnieni. Biegiem na dół, łapiemy z Grubym po torbie. Czwarte piętro. Że też z wojny musiały ocaleć akurat domy bez wind. Zadzyszka.

— Panowie, zostawcie mi paczki razem z torbami. Nie mam gdzie schować.

Znowu to samo. Trzeba będzie w tygodniu podskoczyć jeszcze raz, odebrać torby. Ale faktycznie: stoł, cztery krzesła, tapczan, szafa, komódka. Gdzie?

Z drugiego pokoju wychylają się dwie blond głowy.

— Tata?

Grymas na twarzy pani Kingi.

— Dzieci, spać!

Główni znikają.

— Zawsze tak, jak wieczorem jakiś mężczyzna przychodzi — mówi pani Kinga z zażenowaniem.

Jak przyszedłem tu pierwszy raz, sprawdzić adres, dzieciaki po prostu przykleiły się do mnie. Nie dawały się odpędzić. Pani Kinga pękła, poryczała się i opowiedziała. Normalka, mąż-alkoholik, inna kobieta. Następnym razem przyniosłem cukierki. Pani Kinga nie pozwoliła im dać.

— Niech pan tego nie robi. Przywiążą się, nabieciują sobie Bóg wie co. Proszę pana.

Bida z nędzą i rozpacz. Uciec.

Pani Kinga wyciąga z komódki paczkę kawy.

— Dostałam paczkę z Zachodu. Nie wiem od kogo. Słodczyce i pomarańcze dla dzieciaków. Jeszcze był proszek do prania i pasta do zębów, bardzo się przydały. Ale kawy nie piję, szkodzi na serce. Będzie dla drukarzy, oni robią po nocach.

Znaczy się, adres dotarł. Robi mi się przyjemnie. Ale kawę mogłaby sprzedać. Minimum tysiąc osiemset. Jedna czwarta pensji. Pani Kinga patrzy na mnie, czyta w myślach.

— Niech pan bierze.

Biorę kawę, wychodzimy. W drzwiach pani Kinga łapie mnie za rękę:

— Co będzie z dziećmi, jak ja wpadnę?

Leć, Gruby. Ja zaraz doje.

— Nawet jakby, to pani nie zamkną. Jedyna opiekunka, jest taki paragraf. A firma i tak pomoże. Ale... — waham się, żeby nie obrazić — pani Kingo, jakby pani chciała się wycofać...

— A co ja oprócz tego mam z tego życia? Panie Staszku, niech pan mi nie mówi takich rzeczy. Przecież to dla nich... — spojrzenie w stronę pokoju dzieci. — No, niech pan już idzie. Macie jeszcze robotę.

Zamykam drzwi. Następnym razem wysłę samego Grubego. Tu trzeba by zostać, pomóc, a nie wygłaszać pocieszające zdania. Wołę patriotyczny teatr u starszego pana. Tam wiadomo, konwencja. A tu wszystko jest naprawdę. „Przecież to dla nich...”. Ja się nie nadaję, ja tu robię za fizycznego...

Gruby zapala silnik. Jedziemy w milczeniu.

Przedostatni adres, znajomi brata Grubego. Idzie sam, kontroluje, zanosi. Wraca wściekły.

— Stary, co za praranoja! Mieszkanie oblepione „Solidarką”, stopy *Tygodnika* walają się po kątach, a w środku małe spotkanko — Krótki Jasio, jakaś panienska z *Woli*, którą znam z widzenia, i jeszcze ze dwóch typów. Ja nie jestem cykor, ale to jest lekka przesada. Wiącej ty nie wożę, przecież to pewna wpadka. Opierdoliłem ich jak święty Michał diabła, ale co to da? Słuchaj, ty powiedz Szeffowej, że ten adres skreślamy, dobra?

Przyznaję mu rację. Mógłbym co prawda mu przypominieć, jak wygląda jego własna chałupa, ale co prawda, to prawda — same pojedyncze

egzemplarze, i to głównie książki. A taki adres, na skrzyżowaniu cholera wie, ilu siatek, to rzeczywiście kuszenie losu. Tyle tylko, że jak ten punkt wypadnie, to skąd weźmiemy nowy? Na tym rynku popyt dramatycznie wyprzedza podaż. Nasz ostatni adres dzisiaj, to pierwszy od kilku miesięcy nowy punkt, jaki udało się skombinować.

Zajeżdżamy. Prawie dziesiąta, ostatni dzwonek. Punkt miał czekać od dziewiątej trzydzieści do dziesiątej piętnaście. Idę na kontrolkę. Dystyngowana pani docent otwiera drzwi.

— No, jest pan nareszcie. Już się obawiałam, że nastąpi o jakieś nieporozumienie.

— Nie, nie, wszystko w porządku. Zaraz przyniesiemy, i przedstawię kolegę.

Mało jest takich przyjemności, jak wyjmowanie ostatniej torby z bagażnika. Zanosimy.

— Tędy, tędy, panowie, do tego pokoju w głębi korytarza.

Dystyngowana pani docent daje nieoczekiwany popis krzepy i odsuwa szafkę. Wyciąga dłutko, podważa boazerię — skrytka! Pierwsza, jaką widzę na jakimkolwiek punkcie. Skrytka z prawdziwego zdarzenia, można by tam schować ofiset, a nie marnych czterysta sztuk gazety. No, no... Trzeba będzie nad panią docent poważnie popracować.

— To jeszcze z wojny — mówi pani docent. — Ojciec przechowywał tam broń — był w AK. Chyba się nada?

Zapewniam gorąco, że tak, a nawet, że to despekt dla tak znakomitej skrytki, że dotąd była niewykorzystana. Oczywiście pani docent błyszczą.

— Czy panowie napiją się czegoś?

Kiwamy głowami, licząc w najlepszym razie na kawę. Ale znów nie docenialiśmy pani docent. Z barku wyjeżdża autentyczna szkocka, wiaderko z lodem, wysokie szklanki.

— Ale panowie są samochodem — reflektuje się gospodyni.

— To nie, mieszkamy niedaleko, wrócimy na piechotę — łąże Gruby w żywe oczy.

Wychodzimy po godzinie w różowych humorkach. Gruby startuje ostro, przypomina mi swoje zasady za kierownicą. Po stu metrach zatrzymuje nas patrol — tylny lewy migacz nie działa. Nie poczuli zapachu egzotycznego alkoholu, skończyło się na mandacie. Ale oczywiście zajrzeli do bagażnika.

— Ech, wały miedzeszyńskie — komentuje Gruby. — Nawet nie wiedzą, kiedy zatrzymywać. I oni chcą z nami wygrać?

— Nie, kotku — odpowiadam. — To my mamy wygrać z nimi.

Gruby markotnieje. Jest północ, miasto śpi. ■

Tadeusz Szac

Cicha robota

W 1981 roku, za „Solidarności”, Maria A. opowiadała mi o tajnym spotkaniu, które odbyło się w jej mieszkaniu: „Strasznie się bałam tej konspiracji. Mówiłam mężowi, żeby to odwołał, żeby nas nie narażał. Całe życie starałam się być jak najdalej od polityki, coś tam słyszałam, że działa jakaś opozycja, czytałam w gazetach, ale to było daleko od mnie. Nawet się zastanawiałam, że co im z tego, i tak przegrają, skończą po więzieniach. U mnie w domu, kiedy byłam dzieckiem, rodzice wciąż powtarzali, że z komuną się nie wygra.

Stryj siedział w latach pięćdziesiątych, za Stalina. Ale mało się o tym mówiło, tyle co nic. I teraz nagle
KONSPIRACJA PRZYSZŁA DO MOJEGO DOMU.

Ja przedtem żadnej podziemnej gazetki nie widziałam, a to był już koniec 1979 roku, po tym, jak Ojciec Święty przyjechał, gdzieś późną jesienią. Wtedy mój mąż do mnie powie działał, że to żadna konspiracja, tylko nauka, że każdemu się wolno uczyć, a jak w książkach kłamia, to trzeba dojść do swojego sposobem. W tym momencie się dowiedziałam, że on z kolegami już od paru miesięcy chodzi na takie kursy, na których uczą prawdziwej historii Polski. Chodzili tak po różnych mieszkaniach, aż przyszła i na nas kolej. Jak on mi powiedział, że tu jakiś profesor przyjdzie, to się zdenerwowałam od razu, że w mieszkaniu bałagan i co taki poważny człowiek o nas pomyśli. Nic, tylko o tym myślałam. I kiedy ten profesor przyszedł, w dżinsach czy tak jakoś, to się zdziwiłam, że on taki młody. Ludzi było gdzieś dwadzieścia osób, wszyscy normalni, tak jak nasi znajomi, porozsiadali się po podłodze, gdzie kto mógł. Już nie pamiętam, o czym wtedy było, chyba o Powstaniu Warszawskim, bałam się, że mi zaraz milicja wejdzie i że zabraknie herbaty. A potem to już **ZAWSZE CHODZIŁAM NA TE SPOTKANIA** razem z mężem. I tak się wciągnęłam”.

Maria A. ma 42 lata i jest tkaczką pracującą w dużym zakładzie w Łodzi. W okresie jawnego działania „Solidarności” była członkiem Komisji Zakładowej, zaczęła wraz z koleżanką zakładać Związek już w połowie września 1980 r., jeździły nawet w tej sprawie po pomoc do redakcji *Więzi* w Warszawie. Po 13 grudnia chciano ją wyrzucić z pracy, szykanowano, ale w końcu zostawiono w spokoju. Jej mąż, technik samochodowy, był krótko internowany w Łowiczu, pracuje obecnie w prywatnym zakładzie. Oboje nadal „konspiru-

ją”, ich kończąca w tym roku szkołę córka jest kolporterką łódzkiej biblioty.

Bez książek trudno się uczyć. Od 10 lat zatem działają

NIELEGALNE DRUKARNIE

powielające obecnie ponad 500 czasopism. W obiegu pozacenzuralnym ukazują się 1-2 książki dziennie, nikt już nie jest w stanie prowadzić pełnej ewidencji nowych tytułów. Społeczeństwo broni się w ten sposób przed działalnością cenzury, która praktycznie uniemożliwiła normalną pracę dziennikarską, literacką i naukową. Tylko w ciągu 1976 roku dokonano w Polsce ponad 10 500 interwencji cenzorskich. Odpowiedzią na to stał się rozwój sieci niezależnych pism i wydawnictw, które początkowo miały charakter zbiorów tekstów zatrzymanych przez cenzurę, niebawem jednak stworzyły własny, niezależny rynek księgarski i czytelnicy.

W stosunkowo krótkim czasie, jeszcze przed Sierpnem, powstało kilkanaście firm wydawniczych różniących się między sobą tak doбором tekstów, jak założeniami ideowymi. Obecnie działa w kraju ponad trzydzieści oficyn publikujących książki i pisma poza zasięgiem cenzury.

„Warunki pracy przemycanych z Zachodu powielaczy – opowiada jeden z drukarzy – są niewyobrażalne dla ich producentów. Oni właściwie **POWINNI NAM PŁACIĆ ZA REKLAMĘ**

sprzętu, który działa w okolicznościach, których nie byli w stanie przewidzieć autorzy testów sprawnościowych. Przewożone w małych fiatach, nieskończoną ilość razy rozkładane i składane, karmione farbą, której produkcja przypomina zabiegi alchemików, ustawiane w ciasnyn i wilgotnych pomieszczeniach – jednak pracują. Zawsze jestem zaskoczony, że to wszystko jakoś się trzyma kupy”. Ale, oczywiście, w dużej mierze jest to zasługą ludzi, którzy nie tylko nauczyli się ten sprzęt obsługiwać, lecz także naprawiać go

i nawet na swój sposób „ulepszać”, czyli przystosowywać go do warunków pracy.

Z tą pracą związane jest, jak wiadomo

RYZYKO WIĘZIENIA.

Ludzie ryzykują z różnych powodów. Ten sam drukarz (35 lat, technik budowlany z Wrocławia) uzasadnia swą postawę w ten sposób: „Mnie po prostu krew zalała, kiedy na początku wojny, w Łodzi, gdzie akurat się znalazłem, zobaczyłem tych bandytów, jak łomami rozwalali sprowadzony z Zachodu ciąg do poligrafii kolorowej. Ja bym jeszcze rozumiał, gdyby oni to dla siebie ukradli. Ale nie, to był czysty wandalizm. I kiedy się jeszcze dowiedziałem, że w Białymstoku na policji usypali stos z niezależnych książek i to spaliłi, wtedy powiedziałem, że ja z tą bandą nie mogę mieć nic wspólnego i muszę robić wszystko, żeby się temu przeciwstawić. Na początku bardzo się bałem tej konspiracji, teraz człowiek się jakoś przyzwyczaił”.

No i chyba coś na tym jednak zarabiasz, mówię. „Tak – odpowiada – i to jest w porządku. Dość prawdziwego życia za darmo. Jak chodzę na komplety, to tam przecież też się płaci wykładowcom. Płaci się autorem książek, płaci się kolporterom, płaci się za pisma i znaczki. Tak powinno być. To wszystko

TO JEST CIĘŻKA PRACA,

i niby dlaczego ma być za darmo? To tylko komuna wciąż powtarza bajki o czynach społecznych. Ja w czynie społecznym musiałem remonować własne nowe mieszkanie, za które przecież zapłaciłem. Ale chyba dość tego, no nie? Przynajmniej w naszej własnej robocie, którą robimy dla siebie. Jak my mamy być normalnym społeczeństwem, jeżeli wszystko jest za darmo? Zresztą, akurat za tę robotę zarobki nie są wcale takie wysokie”.

I tak przecież wszystko jest nienormalne: „To wszystko, o czym mówię na wykładach – stwierdza znany ekonomista – powinienem móc mówić otwarcie. Nauka w konspiracji jest niemal nonsensem, sztuką dla sztuki. To, owszem, daje satysfakcję, że ludzie na te moje spotkania przychodzą, ale zwłaszcza po dyskusjach – często bardzo dla mnie ważnych i pouczających – wzrasta moje poczucie bezsilności. Przecież to rozpacz ogarnia, gdy człowiek widzi, jak bardzo niszczone są w tym kraju ludzkie zdolności, chęć prawdziwej pracy, inicjatywa. Tu nawet ich realizowana reforma gospodarcza – zakładając, że ją realizują – nic nie da, gdyż gospodarka nie jest wyizolowanym z życia społecznego mechanizmem.

BEZ SENSOWNEJ MOTYWACJI

ludzie pracować nie będą, albo będą pracować źle. I nie chodzi tylko o pieniądze, choć jest to istotny bodziec w planie indywidualnym, lecz

także – a może nawet przede wszystkim – o zarysowanie w miarę realnej perspektywy awansu cywilizacyjnego całego społeczeństwa. A to oznacza jego upodmiotowienie. I w tym planie cały ten system niezależnej oświaty, ta cicha robota wielu tysięcy ludzi, posuwa nas jednak naprzód”.

W wyniku tych spotkań samokształceniowych powstaje często zupełnie nowy typ więzi międzyludzkich: tu właśnie ujawnia się swoistość ruchu społecznego „Solidarności”, który w jednej organizacji połączył lekarzy i hutników, pisarzy i techników samochodowych, listonoszy oraz włókienki. Zapewne wymiana usług, o której niebawem wspomnę, nie jest zjawiskiem w Polsce powszechnym, ale przecież coraz częściej.

Mówi trzydziestodwuletni historyk, Paweł F., który wykłada najnowsze dzieje Polski dla słuchaczy z bardzo różnych środowisk – dla robotników, grup inżynierskich oraz dla studentów: „To mi daje wiele osobistej satysfakcji, widzę, jak ludzie są otwarci, jak wiele rozumieją, jak naprawdę chcą się uczyć. Nie na szkolnej zasadzie „od dzwonka do dzwonka”, ale w sposób aktywny. Myślę, że to na pewno nie dotyczy wszystkich, ale z moich doświadczeń wynika, że ten ruch objął bardzo wielu ludzi, ja sam mam kontakt z prawie czterdziestoma grupami. W dyskusjach, które trwają czasami i kilka godzin, widzę bezpośrednio trafność starej maksymy, że historia jest nauką życia – ludzie dzięki tym rozmowom lepiej rozumieją współczesność. A i ja się przy tym uczę, choćby dlatego, że pytania, które oni zadają – często naiwne, to prawda – wytrącają mnie z rutyny uniwersyteckiej. Ale są i inne korzyści. Nie mam problemów,

KIEDY POTRZEBUJĘ HYDRAULIKĄ

wystarczy powiedzieć, że mam kłopoty z kranem, a od razu ktoś się zgłasza do pomocy, i to za darmo”.

Hydraulik, czterdziestoletni Piotr W., pracownik techniczny administracji jednej ze spółdzielni mieszkaniowych w Warszawie, tłumaczy: „Jasne, że zrobię mu to za frajer. Jak tylko potrzebuje jakiejś książki dla córki, która kończy teraz liceum, lecę od razu do Pawła. Z nim można pogadać o wszystkim, wcale się nie czuje, że on to jakiś ważny naukowiec z uniwersytetu. Myśmy się poznali jeszcze wtedy, kiedy Region zorganizował Wszechnicę Robotniczą, wtedy dopiero wyszło, że nas tu cały czas okłamywali, że w szkołach to fałszują naszą historię. Taki Katyń na przykład, albo o wojnie polsko-sockieckiej, kto o tym wie? Na pierwszy wykład, jeszcze za „Solidarności”, poszedłem przez ciekawość i tak już zostało do dzisiaj. Byłe nie było spotkań w soboty albo jak jest mecz, bo wtedy wolę posiedzieć przed telewi-

zorem. Czasem to i gorzałę razem wypijemy. Tak po sąsiedzku”.

Można chyba powiedzieć, że rozwój ruchu samokształceniowego tworzy

NOWE FORMY DEMOKRACJI

doprowadza do przełamywania barier między różnymi środowiskami. Najczęściej uczestnikami tych spotkań są ludzie w wieku 20-40 lat, choć tworzą się także grupy uczniowskie, a na wykłady przychodzą również ludzie starsi. I właśnie ten ruch stanowi podstawową strukturę kolportażu „bibuły”. Poszczególne grupy zakładają własne biblioteki książek w Polsce zakazanych, stanowią też centra obiegu niezależnego kina, które — dzięki coraz powszechniejszemu dostępowi do sprzętu wideo — staje się jeszcze jedną, bardzo atrakcyjną formą upowszechniania kultury. Obok takich filmów jak świetne *Przechowanie* Ryszarda Bugajskiego czy *Kobieta samotna* Agnieszki Holland, pojawiają się w obiegu wideokasety wyprodukowane na Zachodzie, jak choćby film o paryskiej *Kulturze* zrealizowany przez ekipę Video-Kontaktu.

„W propagandzie telewizyjnej — mówi studentka polonistyki we Wrocławiu, Alina S. — zawsze pokazują ten sam obrazek, jak Giedroyc wyprowadza psa na spacer, i człowiek nigdy nie zdąży zobaczyć, jak ten Giedroyc wygląda. A teraz, jak zobaczyłam ten film, poznałam tych ludzi i posłuchałam, o co naprawdę chodzi, to poczułam, że tam gdzieś pod Paryżem jest

SKRAWEK NAPRAWDĘ WOLNEJ POLSKI.

W ogóle zmienił się mój stosunek do emigracji, do ludzi, którzy wyjeżdżają. To dzięki nim jeszcze ta nasza kultura nie zdechła”.

„Ja nie mogłam na początku uwierzyć — komentuje film robotnik z Nowej Huty — że to jest cały zespół, który tę sławną *Kulturę* robi. Ciągłe się słyszy, że to CIA, ale przecież gdyby to było CIA, to oni by mieli ogromny zespół. A tu paru starszych już ludzi... Od razu człowiek inaczej na to patrzy, to głupie bielmo schodzi mu z oka. Musi być taka nasza propaganda, która odrzuca z tego, co czerwony nam wciska. Bez tego to jednak coś się przylepia — że to szpiegowska robota, że oni tam żyją jak na Hawajach. A to jakiś taki domek pod miastem, nawet fajny, ale nie żeby od razu Bóg wie co. To tak, jakbym tam sam pojechał”.

Nim jednak pojawiło się niezależne kino, działał już

NIEZALEŻNY TEATR.

W pierwszych miesiącach stanu wojennego kilkoro aktorów jednego z teatrów warszawskich zmontowało program z krążących wówczas wierszy i piosenek. Występowali w mieszkaniach prywatnych, wyjeżdżali także poza Warszawę:

„Atmosfera była wspaniała — opowiada Ewa D., uczestniczka spektaklu. — To było męczące, bo mogliśmy występować tylko w nocy, po zakończeniu normalnej pracy w teatrze. Ale nie odczuwaliśmy zmęczenia. Potem często do późna, czasem do rana siedzieliśmy z ludźmi, którzy nas zaprosili. I wtedy znikało to, że ja jestem „aktorką”, ludzie się do nas przyzwyczajali, nikt nie już nie grał. To bardzo ważne, kiedy oni nagle widzą w nas takich samych ludzi jak inni. To było dla mnie bardzo ważne doświadczenie. Może to teraz trochę inaczej wygląda. Wtedy wszyscy byliśmy w szoku, było większe napięcie emocjonalne, chyba łatwiejsze niż dziś porozumienie. W sumie nasze spektakle obejrzało około dziesięć tysięcy ludzi, pracowaliśmy w jakimś transie”.

Niezależny teatr funkcjonuje jednak i dzisiaj, jak choćby poznański Teatr Ósmego Dnia czy utworzony we Wrocławiu zespół NST, którego premierowy spektakl *Proces Frasyniuka* — miał miejsce w jednym z kościołów. „Kościół — mówi jeden z współtwórców grupy — nie zawsze przyjmuje nas z otwartymi ramionami.

SZTUKA W KOŚCIELE

pojawiła się jeszcze przed stanem wojennym, nawet przed „Solidarnością”, ale zawsze towarzyszyła temu pewna nieufność z obu stron. Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej, którym patronował prymas Stefan Wyszyński, wieczory poświęcone poezji Miłosza w kościele św. Jacka w Warszawie czy wieczory literackie w klasztorze sióstr Norbertanek w Krakowie, które zyczliwie przyjmował ówczesny kardynał Karol Wojtyła, to były jakby wstępne próby. Schronienie się artystów w Kościele po wprowadzeniu stanu wojennego stało się zjawiskiem masowym. Nie wszyscy księża rozumieją znaczenie tego faktu, podobnie jak nie wszyscy artyści pojmują, że mecenat Kościoła musi z zasady przybierać inne formy niż mecenat państwowy, z którym dotychczas mieli do czynienia. To bez wątpienia musi prowadzić do różnych — mniej lub bardziej istotnych — konfliktów. Tworzy się dopiero nowa struktura życia kulturalnego, w której Kościół stanowi tylko jedną z przetrzeni, w jakich można prezentować wolną od cenzury sztukę. Przy tym widać coraz ostrzejsze przeciwstawianie władz. Istotne jest w tym wszystkim to, że

W KOŃCU DECYDUJE PUBLICZNOŚĆ.

Zdobywamy też coraz większe zrozumienie zwłaszcza u młodego pokolenia księży. To wszystko się jednak jeszcze do końca nie uformowało”.

Podobnie dzieje się w dziedzinach nie związanych ze sztuką. W kościołach odbywają się wykłady i prelekcje wybitnych naukowców i dziennikarzy. I tak wiele tysięcy osób żywiłowo od-

bierało w kościele nowohuckim wykład Józefa Kuśmierka na temat polskiej gospodarki. „To ważne – mówi prelegent – że właśnie tutaj, w kościele, mogłem wprost mówić o tym, czym rzeczywiście powinni być socjaliści. I to jednocześnie tragicznie, szczególnie dla mnie, że mogę o tym mówić tylko tutaj”. Świadczy to jednak o znaczących przemianach w świadomości ludzi Kościoła w Polsce, o ich otwarciu na problematykę społeczną oraz o elastyczności pozwalającej ujawniać w Kościele rzeczywisty pluralizm poglądów, pod warunkiem, że postawy prezentowane przez wykładowców nie pozostają w sprzeczności z zasadami etyki chrześcijańskiej. Spotkania parafialne, organizowane tu dyskusje, to jeszcze jedna forma realizacji programu samokształceniowego, który stworzony jest przede wszystkim przez potrzeby przybywającej tu publiczności, dla której udział w tego rodzaju spotkaniach związany jest z dużo mniejszym ryzykiem niż w wypadku wykładów domowych.

„Nie możemy odrzucać żadnych sposobów działania – stwierdza przedstawiciel struktur oświaty niezależnej. – Musimy wykorzystywać wszystkie możliwe formy, nie wykluczając również kanałów oficjalnych. Tu nie chodzi o „walkę z czerwonym”, ale o zahamowanie za wszelką cenę REGRESU CYWILIZACYJNEGO POLAKÓW.

Wszystko jest dobre: szkoła i sieć kółek samokształceniowych, Kościół i niezależne wydawnictwa. Tu granice często są płynne. Nie można ludziom wmawiać, że wszystko, co oficjalne, jest tylko kłamstwem, bo to nieprawda. Tak samo, jak nie wolno twierdzić, że jedynie niezależne formy działania są dopuszczalne. Ale przy ogólnym nastawieniu ludzi przeciw władzy wciąż jeszcze trudno o pełne „równouprawnienie” wszystkich kanałów oświaty. Zresztą władza nam zadania nie ułatwia – robią wszystko, żeby społeczeństwo nastawić przeciw oświacie oficjalnej”.

To prawda. Młodzież szkolna w olbrzymiej swej większości nastawiona jest niechętnie wobec oficjalnej wersji historii czy nauk o świecie współczesnym, także wobec programu nauczania literatury. Najaktywniejsi – czasami z pomocą samych nauczycieli, choć dla tych ostatnich jest to zawsze ryzykowna gra – tworzą grupy samokształceniowe, poszukują kontaktów, najczęściej przez rodziców, z wykładowcami, do których mają zaufanie. W ten sposób już w umysłach kilkunastoletnich ludzi powstaje podział na

ŚWIAT OFICJALNY I NIEOFICJALNY.

Siedemnastoletnia uczennica klasy przedmaturalnej w jednym z krakowskich liceów tak oto charakteryzuje swoją sytuację: „Dla mnie „Solidarność” to tylko legenda, jestem za młoda, by pamiętać dobrze tamte wydarzenia. Ale moi ro-

dzice dużo mi o tamtym czasie opowiadają. W domu zawsze jest jakaś bibuła, zresztą ja już sama potrafię się wystrząść o interesujące mnie książki czy takie pisma jak *Arka* lub *Bez Debitu*. Czytamy to z kolegami, dyskutujemy, nasza grupa działa już od roku. Nie jest nas wielu, chodzimy do różnych szkół, ale chyba istnieją inne takie grupy. Bardzo bym chciała, żeby do nas przyszedł jakiś pisarz z tych, którzy publikują poza cenzurą, ale nie mamy jeszcze takich kontaktów”. Jej młodszy kolega z innej grupy samokształceniowej znalazł taki kontakt: „Po prostu my chodzimy do KIK-u, gdzie raz w miesiącu prezentowana jest gazeta mówiona *Na Głos* – kiedyś poprosiliśmy jednego z panów, którzy czytali swoje wiersze, żeby do nas przyszedł”.

Wszystko zależy więc od inicjatywy, obrotowości samych zainteresowanych. Jednakże sytuacja wygląda zupełnie inaczej w miasteczkach prowincjonalnych, gdzie możliwość dotarcia do niezależnych wydawnictw jest dużo mniejsza, gdzie każda inicjatywa jest niemal natychmiast widoczna. Tam właśnie, w ośrodkach małomiasteczkowych i wiejskich, trzeba się oprzeć o pomoc Kościoła, pracować bardziej jawnie. Jeżeli jednak zestawić obecne problemy z tymi, jakie ruch oświaty niezależnej miał w czasach działalności „łatającego uniwersytetu” pod koniec lat siedemdziesiątych, wówczas zauważy się, że w ciągu tego czasu ruch ten z elitarnego zjawiska przekształcił się w proces społeczny o zasięgu masowym. To w sposób zasadniczy zmienia jego perspektywę, tym bardziej, że o ile wtedy mieliśmy do czynienia z centralnie w gruncie rzeczy kierowaną akcją, o tyle obecnie jest to nie tylko działalność całkowicie zdecentralizowana, lecz w dodatku w sposób spontaniczny rodząca się i rozbudowująca od dołu.

„Ja osobiście nawet chciałbym narzucić temu ruchowi w miarę systematyczny charakter – mówi członek warszawskiego Komitetu Kultury Niezależnej – tym bardziej, że często ludzie poszukują na oślep lub wyważają otwarte drzwi. Z drugiej jednak strony byłoby to dla ruchu szalenie niebezpieczne”. Ale, oczywiście, podejmowane są próby jakiegoś sterowania tymi poszukiwaniami, głównie poprzez publikacje książkowe, przede wszystkim poprzez ZEN-y, czyli Zeszyty Edukacji Narodowej, lecz również poprzez popularyzowanie prasy i książek oficjalnie dostępnych, takich choćby jak prasa katolicka, głównie *Więź* i *Znak*, ostatnio *Powściągliwość i Praca*, *Przegląd Powszeczny* i inne.

„Tak naprawdę to

NIKT SIĘ NIE ORIENTUJE W ZASIĘGU tego zjawiska. Wiemy jedynie, że największy udział mają w nim studenci, ale to naturalne. Gru-

py pracownicze skupiają się przede wszystkim na problemach ekonomicznych oraz zagadnieniach świata współczesnego, aę przecież także potrafia zainteresować się sprawami sztuki. Tu nie ma reguły i to chyba dobrze. Najważniejszą sprawą jest fakt tworzenia się tradycji niezależnej oświaty, podtrzymywania kontaktów, które służą również integracji poszczególnych środowisk. Wielu ludzi w tym uczestniczy, bo to samo robią ich koledzy, dopiero potem przychodzi rzeczywiste zainteresowanie wiedzą. Ale to naturalne zjawisko". Ta opinia członka Społecznego Komitetu Nauki

wyduje się prawdziwa. Kiedy dziś, po czterech latach rozmawiam w Łodzi z Marią A., dowiaduję się, że „to jest po prostu przyjemność. To nie jest szkoła, w której ktoś zadaje lekcje, wszyscy są równi, przychodzą, bo lubią przychodzić. Moja córka przyprowadziła ostatnio dwóch swoich kolegów". Pytam, czy się nie boją ubeckich wtyczek. Odpowiada: „To jest zawsze możliwe, trudno. Ale przecież musimy mieć do siebie trochę zaufania, prawda? Bez tego wszystko jest bez sensu. A poza tym jeżeli się dotąd udawało, to dlaczego nie ma się dalej udawać?” ■

KONKURS „POGLĄDU”

CZŁOWIEK ZACHODU W OCZACH NOWEJ EMIGRACJI

Jacy są? Spotykasz ich każdego dnia, żyjesz z nimi, pracujesz, rozmawiasz. Twój sąsiad – Niemiec, Anglik, Amerykanin... to temat domagający się plóra...

Nasza inność? Czy też ich inność? Co sprawia, że my – ludzie „zza żelaznej kurtyny” – z takim trudem integrujemy się z ich środowiskiem?

Inna mentalność, inne wzorce kulturowe, obyczajowości i wręcz odmienne doświadczenia – wszystko to składa się na obraz człowieka Zachodu. Wiele z naszych refleksji na pewno warto przekazać innym czytelnikom, wiele zainteresuje Polaków w kraju.

Forma dowolna – opowiadanie, esej, fragment dziennika. Może to być zarówno opis jednej drobnej sytuacji, jednej postaci, jak i całego ciągu doświadczeń.

Prace o objętości do 20 stron znormalizowanego maszynopisu opatrzone godłem należy nadsyłać na adres redakcji „Poglądu” do 31 grudnia bieżącego roku. Na nagrody przeznaczamy DM 1.500,-, zastrzegając sobie prawo dowolnego podziału tej sumy. Najlepsze prace zostaną opublikowane na łamach „Poglądu”. Prace wyróżnione uhonorujemy zgodnie z obowiązującymi w naszym piśmie stawkami.

Mała stalinizacja

A jednak
przedmioty nie dały się
wytrącić z równowagi:
stoły stoją,
leżą w szufladach papiery,
długopisy piszą, zręcznie omijając skazy i nierówności,
dzwonią głuche telefony,
mikrofony indukują,
ekrany emitują,
maszyny drukują (prasa kłamie),
piece przetwarzają,
stoją domy, fabryki i statki,
a zegary po staremu chodzą
do naprawy.

I tylko
potłuką się czasem talerze,
a to łóżko zajęczy,
a to drzwi wyważą

Prawda

A więc zgoda: jest pośrodku – gdzieś między
jedną półkulą a drugą (mózgu, ziemi).
Wszelako zdarza się, że pośrodku
ulicy leżą zastrzeleni, a prawda
jest tylko po jednej stronie

I znów przejrzałem

Znowu przeglądam swoje życie i gazety:
mroczną pewnością, że to już wszystko
było, ma zastąpić choć na chwilę złudzenie,
że to zwykłe déjà vu; właśnie w tej chwili
odkrywam po raz pierwszy swoją niezgodę i oto
przyjdzie mi ją wyrażać, o, tak!

Ale ona niezmiennie szydzi ze mnie,
z tego rodzenia się wciąż na nowo,
ostentacyjnego zdziwienia, że...

Nie, nikt już nie uwierzy, że to możliwe,
abyś nie wiedział
o co w tym wszystkim chodzi;
powiem ci między wierszami:
wszyscy wiemy jak jest, co będzie i nikt z nas
nie ma złudzeń. Reszta, to
chłopięcy nonkonformizm,
godna politowania niefrasobliwość,
zaciętrzewienie –
mówię ci to wprost, twoja gazeta
i śmierć

1983

RECENZJE OMÓWIENIA POLEMIKI

Andrzej Wirecki

„Mówię, jak jest”

Pisanie wierszy jest dla wielu ludzi podejmowaniem działalności, która nie ma społecznego uzasadnienia. Pisanie wierszy w Polsce ma jednak swoją specyfikę i trafia – w odróżnieniu od pragmatycznie żyjących społeczeństw zachodnich – do przekonania nadzwyczaj wielu ludzi. Świadczą o tym choćby nakłady książek poetyckich rozchodzące się w zadziwiająco szybkim tempie. O ile w ponad 50-milionowym społeczeństwie zachodniemieckim wydanie tomu wierszy uznanego przez krytykę żyjącego poety w nakładzie 2 tys. egzemplarzy jest ryzykiem wydawniczym to w mniej niż 40-milionowej Polsce 10-tysięczne nakłady tomików Szyborskiej czy Herberta rozchodzą się bez śladu w ciągu kilku zaledwie dni, nie mówiąc o takim fenomenie, jak kolejki ustawiające się po 100-tysięczne wydanie wierszy Czesława Miłosza po przyznaniu mu Nagrody Nobla.

Wiele jest przyczyn tego zjawiska i trudno by było je tutaj wszystkie wyliczać. Dość, że poezja w Polsce żyje bardzo intensywnie, odgrywa też sporą rolę w kształtowaniu społecznych postaw i atmosfery życia. Zapewne jednym z powodów tej sytuacji jest fakt, iż poezja w Polsce „mówi, jak jest”, że stanowi – jak to udowadnia lektura antologii *Poeta pamięta* ułożonej przez Stanisława Barańczaka – świadectwo przeżyć społecznych. Głos poety jest często odbierany jako głos sumienia, jako obrona wciąż zagrożonej ludzkiej godności i suwerenności. Ale też bardzo często społeczna postawa poetów uwiarygodnia ich wiersze, potrafią oni bowiem swym własnym życiem zaświadczać prawdę głoszone w poezji.

Tak właśnie było w wypadku występującej w początkach – lat siedemdziesiątych – generacji,

która w krytyce literackiej otrzymała miano „pokolenia '68”. To właśnie oni, wśród milczenia, jakie zapadło po masakrze 1970 roku, swymi wierszami potrafili nazwać to, czego byli świadkami:

Faszyści znowu zmieniają koszule.

*Czarne koszule zmieniają na białe godziny,
na białe plamy w posmiertnych gazetach opustoszałego miasta,
z którego stronicy wywabiono ostatnie ślady krwi
nie przemienionej w sztandar.*

*Rozpryśnięty mózg miąższonego gąsienicami czołgu zwierzęcia,
rozpryśnięty mózg wybrzeża (...)*

*faszyści znowu zmieniają koszule
swoje i swoich ofiar.*

(Ryszard Krynicki)

To oni wreszcie, jak Stanisław Barańczak w wydanym tuż przed grudniem 1970 roku tomie, przestrzegali:

*Ci, którzy biją czołem, będą bić
w twarz, ale nic się nie zmieni; ci wszyscy
co nie umieją dzisiaj
spoglądać w oczy, będą strzelać jutro
pomiędzy oczy (...)*

Lech Dymarski

WIERSZE

sprzed i po

BIBLIOTEKA LITERACKA

wydawnictwa MYŚL

1984

Nie chciałbym stawiać znaku równania między literaturą i życiem: to dwie różne sprawy. Niemniej tak jak literatura wyrasta z życia, tak życie często kształtuje się pod wpływem literatury. Literatura bowiem jest strażnikiem wartości, bez których życie ludzkie traci sens, staje się tylko rośliną. Ale wartości muszą być potwierdzone w praktyce. I tak się właśnie stało, że obrona wartości zarówno w literaturze, jak w życiu stała się dla poetów „pokolenia '68” tym samym. Dlatego Stanisław Barańczak był członkiem KSS „KOR”, dlatego też Ryszard Krynicki znalazł się w zespole pierwszego wydawanego poza zasięgiem cenzury pisma literackiego *Zapis*. Wcześniej obaj poeci protestowali w 1975 roku (w znanym „Liście 59”) przeciw zmianom Konstytucji PRL. Dobrze się stało, że wysoka ranga artystyczna ich wierszy współbrzmiała z wysoką rangą moralną ich życia.

Jeśli piszę o tych dwóch poznańskich poetach, to dlatego, że mieli oni olbrzymi wpływ na kształtowanie zarówno postawy życiowej, jak i twórczości literackiej swego młodszego kolegi, również poznaniaka, późniejszego członka Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność”, Lecha Dymarskiego. Urodzony w 1949 roku, należy – podobnie jak Antoni Pawlak czy Zdzisław Jaskuła, do fali debiutantów, którzy podjęli doświadczenia kręgu poetyckiego „pokolenia '68”. Pierwszy zbiór wierszy Dymarskiego – *Za zgodą autora* – ukazał się w roku 1978 nakładem Niezależnej Oficyny Wydawniczej. Obecnie w Bibliotece Literackiej Wydawnictwa *Mysł* opublikowany został kolejny jego tomik pt. *Wiersze sprzed i po*. * Chodzi oczywiście o wiersze pisane przed i po wprowadzeniu stanu wojennego.

Wyraźny wpływ Krynickiego widać tu w wielu wierszach, przede wszystkim jednak w celnej i zwięzłej poincie utworu komentującego aresztowanie:

*Idziemy.
Hełmy, dachy ciężarówek, pokrywy pancernych aut,
wszystko
na jednego? Więc wszystko na nic? (...)*

*Idziemy.
To nic,
nic mnie zabiera.
(Zabierać się ze wszystkim)*

Naga, brutalna siła jest tu nicością, niczym. I „to nic”, że następuje aresztowanie. Bo wiadomo przecież, że nie wszystko na nic, że to, co w tym

momencie zostało przez tą brutalną siłę zaatakowane, musi się odrodzić, przeciwstawić nicości.

Dymarski jest poetą niesłuchanie oszczędnym, mówiącym skrótami. Dzięki temu potrafi zgromadzić w swych wierszach niezwykle silny ładunek emocjonalny, nasycić je dramatyzmem. Tak właśnie jak w utworze, którego tytuł jest tytułem tej recenzji, a który stanowi zapis wypowiedzi konwojenta:

*Tyle wiem, co pan i nie ma o czym mówić.
Siedzimy obok siebie, skuci:
pan ma lewą rękę wolną, a ja prawą;
pan jest cywil, ja mam karabin;
nic mnie z panem nie łączy – tyle wiem. (...)
Naszym przeznaczeniem jest dotrzeć do celu.
Skąd przychodzimy, kim jesteśmy i dokąd
idziemy – nie powiem, bo nie wiem; tyle
wiem, co pan.*

(Mówię, jak jest)

Warto tu zwrócić uwagę na swoisty paradoks wydobyty w zestawieniu zwrotu „nic mnie z panem nie łączy” z sytuacją, gdy dwaj ludzie skuci są tymi samymi kajdankami. Oczywiście – jest w tym wierszu, podobnie jak w pozostałych, wiele innych gier językowych kompromitujących powstałą sytuację, a zarazem też hasła, którymi posługuje się władza, jak choćby tytułowy slogan partyjnego dokumentu *Skąd przychodzimy, kim jesteśmy i dokąd idziemy*. Ale jest w tej przewrotności języka coś więcej – ukazanie pewnej i nieuniknionej tożsamości losu zniewolonych i zniewalających.

Obok przenikliwego, wyrazistego obrazu sytuacji społecznej pojawia się jednak w tych wierszach ton na wskroś osobisty, bezpośredni, zaświadczyjący głębokość doznanego przeżycia. Tak właśnie dzieje się w wierszu bez tytułu:

*Ciało Chrystusa – oznajmiał
kapelan głosem zrezygnowanego
sprzedawcy w czasach kryzysu.
(Ciało Chrystusa – to wszystko,
co mamy.)
Mimo to, przywykli do niedostatku,
otwieraliśmy – jeden po drugim – usta
ze zdumienia.*

Ciało Chrystusa, powtarzał.

Ten wiersz, znamionujący głębię przeżycia religijnego i siłę wiary, eksponuje w obrazie komunii, znanym przecież każdemu, nieustannie zdumienia tajemnicą Boga. Dzięki zastosowaniu przeczutni, chwytu artystycznego polegającego na załamaniu toku wypowiedzi w wersie, uzyskuje Dymarski efekt zaskoczenia czytelnika, gdy otwarte na przyjęcie opłatka usta okazują się jednocześnie

* Lech Dymarski, *Wiersze sprzed i po*, Biblioteka Literacka Wydawnictwa „Mysł”, Warszawa 1984, s. 24

ustami otwartymi ze zdumienia. Bo oto okazuje się, że Ciało Chrystusa jest bogactwem bezcennym, które w największym nawet niedostatku ratuje sens życia, przywraca wartość słowom.

Poezja Lecha Dymarskiego nie niesie w sobie nic z heroizmu, nie czuje się w niej nic z typowej dla poezji stanu wojennego kombatanckiej atmosfery. Obok wpisanego w te wiersze przekonania o konieczności dochowania wiary wartościom najistotniejszym – godności, prawdzie, suwerenności osoby – uwidacznia się tu postawa pokory wobec danego losu. Przy czym pokora ta nie oznacza zgody i poddaństwa, lecz dążność do zrozumienia przyczyn biegu wypadków. Dzięki temu właśnie uzyskuje poeta dystans wobec rzeczywistości, wytłumienie emocji, zdolność trzeźwego widzenia świata. Stąd ironiczny komentarz do toczących się właśnie wydarzeń:

*Kiedy wszystko uspokoiło się,
zgasły wulkany i emocje,
a ziemia osiągnęła temperaturę pokojową,
nastąpił ład i porządek, a z nich
państwo się stało.*

(Krótki kurs)

W tym fragmencie utworu otwierającego tomik odnajdujemy aluzję do „ideologii państwa”, którą karmi nas propaganda od chwili wprowadzenia stanu wojennego. „Ład i porządek” w tym ujęciu to tyle, co agonia naturalnych społecznych napięć, likwidacja niezbędnej dynamiki życia. Mamy też tu aluzję do tytułu książki Stalina *Krótki kurs WKP(b)*, która w podobny sposób jak propaganda stanu wojennego uzasadniała przemoc: stąd we wcześniejszej partii wiersza mowa o „realiach”, o „określonych uwarunkowaniach”, „niezbylwalnych racjach” i „twardych wymaganiach”.

Gry językowe, zdolność do kompromitacji sloganów, którymi atakuje nas totalitarna propaganda, to niewątpliwy dowód terminowania w szkole Barańczaka. Z kolei celność krótkich, niemal aforystycznych sformułowań, bezpośrednio wyznania – to lekcja lektury wierszy Krynickiego. Czyżby więc był Dymarski poeta zapożyczyciel? Chyba nie: nie chodzi tylko o rzeczywistość, oryginalną odkrywczosć jego języka. Chodzi również o to, iż formy, którymi się posługuje, nasycił własnym, indywidualnym doświadczeniem, które – podobnie jak u jego starszych kolegów, lecz przeciw inaczej – nakazuje mu godzić postawę poety występującego w obronie wartości z postawą człowieka doświadczającego prawdę własnej poezji. ■

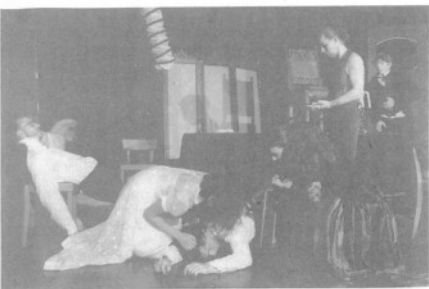
Jerzy Hoffmann

Polskie tango po niemiecku

Kto zna tę sztukę, czeka na jej finałowy taniec. Kto jej nie zna, tego to niesamowite tango czarnej komedii Mrożka zafascynuje jeszcze jednym pomysłem autora, a jednocześnie precyzyjnym scenicznym „znakiem”, w którym zawarty jest sens tej komedii i jej znaczenie. Tak jest i w nowej berlińskiej inscenizacji „Tanga” Sławomira Mrożka, sztuki, która miała swe teatralne apogeum w latach sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych. Grana była też na wszystkich większych scenach europejskich. Tu, w Berlinie Zachodnim, odbyła się jej prapremiera na scenie „Volksbuene”, w tym samym czasie, ze świetną aktorką niemiecką Krystyną Schroede. Teraz sięgnął po polskiego autora mały i początkujący dopiero „Teatr 36”, jedna z ponad 50 działających w Zachodnim Berlinie scen tzw. off-teatrów, uzupełniających tu bardzo ambitnie nieraz nieciekawą często i monotonną repertuar teatrów stabilnych, renomowanych. Off-sceny, ich entuzjazm oraz ilość młodych entuzjastów teatru, którzy się wokół tych scen skupiają, to zresztą swoisty fenomen

* Sławomir Mrożek, „Tango”. Reżyseria Beata Bauer. „Teatr 36”. Muskauerstr. 43, 1 Berlin 36. Premiera: 19.10.1985 r. Przedstawienia grane są w piątki, soboty i niedziele o godz. 19.30.





tego miasta, który zasługuje na osobne omówienie. „Teatr 36” (jego nazwa to numer porządkowy dzielnicy berlińskiej Kreuzberg, dzielnicy o bardzo swoistej, artystycznej atmosferze i zamieszkałej głównie przez nieco zwariowaną, miłą zresztą, młodzież) powstał w kwietniu tego roku, a „Tango” jest jego drugą po „Weselu drobno-mieszczan” Bertolda Brechta premierą, czy jak się tu zwykło mówić – produkcją.

Szedłem na to przedstawienie z sentymentu dla twórczości od lat mieszkającego na obczyźnie krakowskiego niegdyś satyryka i pisarza, lecz także, aby uzyskać odpowiedź na dwa dość istotne pytania. Po pierwsze – na ile ta sztuka, niegdyś modna i kasowa, najlepszy chyba i dzisiaj po latach sceniczny zresztą utwór Mrożka, zachowała swój dowcip i ironię; czy bawić może także i dzisiaj ta „czarna komedia mieszczańska” widza roku '85. Czy zachowała to, co było zasadniczym jej atutem w tamtych latach i co wybiegało daleko poza rozrywkowy, komediowy jej aspekt.

Drugie pytanie brzmiało: jak poradzi sobie z tekstem polskiego pisarza niemiecki teatr niezawodowy zresztą czy półzawodowy zaledwie, a więc scena, której dobre chęci znacznie przerastać muszą realne jej możliwości.

Zobaczyłem przedstawienie pełne swoistego wdzięku, bardzo żywe i bardzo autentyczne. Nawet tam, gdzie nieporadność wykonawców dema-

skowała się jednoznacznie, „Tango” nie traciło nic ze swej komediowości i satyrycznej ostrości. Powiedziałbym nawet, że w tej realizacji zyskiwało na swoistej, bardzo autentycznej ekspresji przegradzając się stopniowo, ale konsekwentnie z bardzo zresztą surrealistycznej zabawy w coraz bardziej groźną i ponurą rzeczywistość. W zadziwiająco sprawnym sposobie dokonali tego reżyser Beata Bauer i wykonawcy przedstawienia. Groteskowe postaci zwariowanej rodziny ojca-wynalazcy, błąkającej się w swym fantastycznym świecie matki, marzącego o silnej ręce i porządku sprzed lat wuja Eugeniusza i buntującego się w imię tradycji syna Artura, budują świat skazany na zagładę. Zjawia się ona w postaci prymitywnego, brutalnego chama, Edka. To on zapanuje nad tym światem w imię zasady „przodem do przodu”. To on będzie zwycięzcą na tym poboju marzeń, bezwartościowych ideałów i bezsensownych pragnień. Jemu ulegną ci, co przeżyją: dziewczęca i wymyślona, jakby ze sztuk Wifkacego rodem, Lala oraz uległy i bezwolny wuj Eugeniusz, ten właśnie, z którym zatańczy finałowe tango zwycięski i bezwzględny „cham” – Edek.

Na małej scenie „Teatru 36” ożywa raz jeszcze bardzo polska i bardzo uniwersalna jednocześnie sztuka o jałowości intelektualnych spekulacji. O tak zwanej „niemożności”, o bezsilności marzeń i granicy wolności. Bardzo wieloznaczna i mądra to sztuka, udana i niebanalna jej berlińska inscenizacja. Młoda scena niemiecka nie zawiodła chyba polskiego autora. Przedstawienie jest bowiem świeże i w czasie trzech godzin jego trwania widz nie nuży się ani przez chwilę, co udowodniła mi zresztą szczególnie wypelniona, głównie przez młodzież, widownia. Po latach sztuka ta zyskała zresztą inny wymiar i ubrany w lisie skóry oraz obwieszony dziwnymi amuletami Edek, ma w sobie coś groźnego, choć na pozór schowanego pod zdawkowym pofuśmiecchem. Coś, co każe myśleć o młodzieży spod neonazistowskich znaków.

Najlepiej i najodrzalej obok grającego tę rolę Leo Leonharda sceniczne zadania realizują Bernd Raucamp jako eksperymentujący idealista, ojciec Artura – Stomil. Przekonuje też, szczególnie w trzecim akcie, wuj Eugeniusz. Bardzo zabawny, choć zbyt groteskowy chyba był pomysł obsadzenia w roli babci Eugenii mężczyzny, ale przyznać trzeba, że grający tę rolę Józef Nepple bardzo konsekwentnie utrzymał konwencję swej postaci do końca.

Przy Muskauerstr. 43 (w podwórzu na III piętrze) zobaczyć więc można bardzo niebanalnie zrealizowaną, bardzo zabawną i bardzo groźną sztukę. Można pośmiać się do woli i ocenić, jak młodzi entuzjaści teatru tańczą polskie tango po niemiecku. A tańczą je – w moim przekonaniu – nadszpiewanie dobrze. ■



zatrzymali taksówkę, którą jechali obaj autorzy dzieła, Janos Kiss i Gyorgy Benze, i zarekwirowali przewoźną „bibułę”.

W Budapeszcie odbywa się obecnie Forum Kultury państw-sygnatariuszy Aktu Kóńcowego KBWE. Haraszti stwierdził, iż czuje się zaskoczony akcją milicji w momencie, gdy w stolicy Węgier trwa kongres, którego głównym tematem ma być wolność sztuki.

Na czym polega „wolność sztuki” w rozumieniu budapesztańskiego forum, przekonał się między innymi na własnej skórze znany literat zachodniemiecki, Hans-Magnus Enzensberger: nie pozwolono mu wygłosić referatu, który uznano prawdopodobnie za „nieprawomysłny”. Uczestnicy kongresu mogli za to spać sobie smacznie podczas tasiemocowych przemówień wygłaszanych przez „znakomitych” twórców NRD-owskich i czeskich, a traktujących o „wyszości świąt Wielkiej Nocy” znaczy się: kulturze socjalistycznej.

Natomiast niezależni twórcy węgierscy wystosowali list otwarty do uczestników Forum, którego fragmenty publikujemy w niniejszym numerze.

„PRAWDA” O AFGANISTANIE

Po lekturze ostatniego wydania tygodnika *Der Spiegel* (4. 11. br.) należałoby tylko „siąść i płakać”. Afganistan, w oczach reportera hamburskiego czasopisma, to kraj, w którym występują co prawda „błędy i wypaczenia”, ale... inaczej nie można. Zostajemy oświeceni, że:

a) Afganistan był zawsze w sferze wpływów rosyjskich, wobec tego – nic nam do niego;

b) w Kabulu można się najęść, napić i napalić (amerykańskich papierosów) do woli;

c) sto tysięcy żołnierzy sowieckich stacjonuje po to, aby kobieta afgańska mogła chodzić w mini-spódniczce;

d) partyzantów afgańskich jest coraz mniej, a jeżeli nie mniej – to daleko w górach; a jeżeli nie daleko w górach, a wokół Kabulu – to niezbyt groźni; a jak już strzelają – to nieolejnie; ot trafili psiejuchy w ambasadę japońską;

e) i tak dalej, i tym podobnie, w tym właśnie stylu...

Co miał na myśli poeta, tfu... reporter *Der Spiegel* w tym artykule? On nas klepie delikatnie po plecach i szepcze: oj, niedobrze, niedobrze, ci komunikacji to chłopy jak tralala, trzeba się z nimi szybko dogadać, a średnio-wieczni Mudżaheddini mają takie szanse, jak polska kawaleria we wrześniu 1939 roku (i to nie pod Krojantami)...

Z całego artykułu wyczyta „głęboka” dialektyka warszawskiej *Polityki*: nie trzeba kłamać, należy tylko pod właściwym kątem potraktować prawdę.

Berliński dziennik *Der Tagespiegel* jest jednym z nielicznych czasopism zachodniemieckich, które starają się w miarę możliwości regularnie i obiektywnie informować czytelnika o sytuacji w Afganistanie. Opierając się na doniesieniach można przypuszczać, iż jesienna ofensywa przyniosła sowieckiemu agresorowi bardzo połowiczne sukcesy. Nie zdolano przełamać pierścienia powstańców wokół Kabulu; załamał się atak w ważnej strategicznie dolinie Pandżir; zarówno Sowieci, jak i partyzanci afgańscy ponieśli wysokie straty w ludziach i sprzęcie. Gehenna ludności cywilnej trwa.

Ta wojna nie jest wojną w Wietnamie, gdzie każdy krzyk i gest był rejestrowany po to, by dotrzeć do siedzącego w wygodnym fotelu władzą. Dzisiaj docierają do nas z Afganistanu tylko suche (niepełne) liczby. Afgańskie „My Lai”, choć zdarzyło się już wielokrotnie, nie egzystuje w świadomości „wolnych” społeczeństw zachodnich. Ciernienie pozostaje nieudokumentowane. To pozwala prawdopodobnie spokojnie zasnąć.

PODCHODY...

Mnożą się sowieckie „akty dobrej woli” przed mającym się odbyć w Genewie spotkaniem Reagan – Gorbaczow. Żona Sacharowa, Jelena Bonner, otrzymała pozwolenie na wyjazd ze Związku Sowieckiego. Samemu Sacharowowi pozwolono przeprowadzić rozmowę telefoniczną z rodziną w Stanach Zjednoczonych.

Wobec powyższego, proponujemy konstruktywne rozwiązanie problemu zbrojeni: jedna rozmowa telefoniczna – jeden Pershing mijno w Europie Zachodniej; jedno pozwolenie na wyjazd – jeden Cruis Missiles mniej. Aż do skutku.

PIĄTA LITERATURA NIEMIECKOJĘZyczna

Pod tym tytułem (obok literatury austriackiej, szwajcarskiej, zachodnio- i wschodniemieckiej) odbył się w Berlinie Zachodnim 7 listopada w galerii DAAD (Cafe Einstein przy Kurfuerstenstrasse 58) wieczór poświęcony powstającej w Rumunii literaturze niemieckojęzycznej. O problemach kulturalnych mniejszości niemieckiej w tym kraju – ale także o problemach samych Rumunów – mówili członkowie delegacji zachodniobermberskich pisarzy F. Ch. Delius, A. Jonas, U. Krechel, H. M. Novak oraz E. Wichner.

Obok swych wrażeń z Rumunii zaprezentowali oni wiersze młodej generacji pisarzy niemieckojęzycznych tego kraju: zwracano uwagę, że utwory te są niezwykle podobne do wierszy pisanych w początku lat 70-tych w Polsce przez twórców „pokolenia '68” – podobny jest tu zarówno klimat katastrofizm, jak też ironia w spojrzeniu na problemy kraju, skłonność do gier językowych, obecność atmosfery zagrożenia kultury. Zapewne, jak wynika z zapowiedzi berlińskich pisarzy, można już w tej chwili mówić o tym, że jest to ostatnie pokolenie rumuńskiej mniejszości niemieckiej piszącej w Rumunii w swym ojczystym języku. Grupa ta poddawana jest nieustannej, wynaradawiającej presji, podobnie jak to się dzieje z innymi mniejszościami, m. in. węgierską.

Obok tych zagadnień wytoniły się w czasie wieczoru – za sprawą niezwykle żywej dyskusji – problemy natury ogólniejszej, dotyczące panującego w tym państwie despotyzmu, a także związanego z tym zagrożenia całej kultury narodowej. Zwrócono przy tym uwagę na zakłamanie Zachodu – w tym także Niemiec – w informowaniu o sytuacji wewnętrznej Rumunii.

KTO KOGO WODZI ZA NOS?

„Czy Amerykanie Sowieców, czy też to Sowieci Amerykanów; a może agenci – swoich szefów; a może po prostu służby wywiadowcze – reporterów?” – pyta amerykańska korespondentka berlińskiego *Tagespiegla* Marlene Manthey w związku z „ferą Jurcenki”.

Raport — Polska 5 lat po Sierpniu

Niedawno dotarł na Zachód kilkusetstronicowy raport opracowany przez ekspertów „Solidarności” — „Polska 5 lat po Sierpniu”. Ze względu na wagę tego dokumentu, publikujemy jego obszerne fragmenty. Poniżej część druga rozdziału dotyczącego zdrowia.

Problemy zdrowotności, służby zdrowia i pomocy społecznej

II. Służba zdrowia

1. Szpitale

Szpitale są niedoinwestowane od lat i stanowią tragiczny przykład lekceważenia zdrowia społeczeństwa. W końcu 1984 roku szpitale posiadały 242,3 tys. łóżek. Z tej liczby tylko 126 tys. łóżek zostało oddanych do użytku po zakończeniu II wojny światowej, przy czym tylko 37,3 tys. znajduje się w szpitalach wybudowanych w okresie lat 1960-1984. Pozostałą część łóżek „nowych” uzyskano głównie w drodze rozbudowy i adaptacji. Tak więc tylko 53% obecnie posiadanej bazy szpitalnej stanowią łóżka nowe. Z tego tylko 23% jest zlokalizowanych w nowo wybudowanych szpitalach. Ten stan rzeczy powoduje, że większość obiektów znajduje się w złym stanie technicznym. Budynki szpitalne są nadmiernie zagęszczone. W roku 1983 wskaźnik zagęszczenia w szpitalach ogólnych i klinicznych wynosił 119, co oznacza, że na 100 łóżek szpitalnych przypadało 119 łóżek rzeczywistych: w zakładach psychiatrycznych wskaźnik zagęszczenia wynosił 142 — nie odpowiadają one wymogom współczesnej opieki zdrowotnej w zakresie zaplecza diagnostycznego, jak i warunków pobytu chorych. Notuje się, że w szpitalach jest tylko ok. 50% niezbędnej kubatury i powierzchni w stosunku do istniejących łóżek; wskaźnik kubatury ma przekroczyć 130 m³ na łóżko, podczas gdy w szpitalach obecnie projektowanych i realizowanych wskaźnik ten waha się w granicach 240-300 m³ na jedno łóżko, zapewniając standard zaledwie dostateczny. Stan taki ma ujemny wpływ zarówno na proces leczenia i pracę personelu. Wiele pomieszczeń socjalnych zamieniono na pokoje chorych, a pomimo to stałym zjawiskiem jest konieczność umieszczania chorych na łóżkach dodatkowych (tzw. dostawkach). Szczególnie niezadowolające w wielu szpitalach jest zaplecze techniczno-gospodarcze (np. brak oczyszczalni ścieków). Przytaczająca większość łóżek szpitalnych znajduje się w starych, często rozpadających się budynkach, które wymagają remontów kapitalnych.

Wskaźnik liczby łóżek w szpitalach wolnych i klinicznych na 10 tys. mieszkańców w 1964 roku wynosił 36,3, przy znacznym jego zróżnicowaniu terytorialnym od 33,4 w woj. radomskim do 37,1 w stołecznym i wrocławskim. Warto zaznaczyć, że dla liczby łóżek w oddziałach czterech podstawowych specjalności (chorób wewnętrznych, chirurgii, poł.-ginek., pediatrii) pożądanym jest

wskaźnik 40-45 łóżek na 10 tys. ludności. W 1982 roku wskaźnik ten dla kraju wynosił 33,0 łóżka. Szczególnego potraktowania ze względu na sytuację demograficzną wymaga stan liczbowy i jakość łóżek położniczo-ginekologicznych. W 1982 było ich ok. 29 tys., co odpowiadało wskaźnikowi, 8,0 łóżek na 10 tys. mieszkańców (przy pożądanym 10,0); brakuje więc w kraju ok. 7 tys. łóżek położniczo-ginekologicznych. Norma międzynarodowa przewiduje 12 m² dla chorego, norma Ministerstwa Zdrowia w Polsce — o połowę mniej, zaś w rzeczywistości choroby gnieźdzą się na powierzchni nie większej niż 3,4-4 m² (również na korytarzach), tworząc obraz ubóstwa. Bezpośrednie zagrożenie dla zdrowia stanowią zakażenia

RAPORT
POLSKA
5 lat po sierpniu

DUK



WYDAWALNIA STRUKTURA „SOLIDARNOŚCI”

wewnątrzszpitalne, niemożność dotarcia do chorego w trybie pilnym z podstawowymi zabiegami. Średni czas budowy szpitala w Polsce wynosi 10-15 lat (w Anglii np. 2,5-4 lat).

Postępując się kryteriami stosowanymi przez Światową Organizację Zdrowia należy stwierdzić, że poziom zorganizowania stałej opieki zdrowotnej w Polsce należy do najniższych w Europie (porównania obejmują wszystkie zakłady opieki stacjonarnej, szpitale ogólne, szpitale dla nerwowej i psychicznie chorych, sanatoria dla nerwowych chorych, sanatoria neuropsychiatry dziecięcej, sanatoria przeciwgruźlicze, izby porodowe, półsanatoria, zakłady dla przewlekłych chorych). Proporcja tak obliczonej liczby łóżek na 10 tys. ludności w Polsce w 1980 roku wynosiła 75, 2. Spośród europejskich krajów socjalistycznych niższy wskaźnik miała tylko Jugosławia (59,3). Najkorzystniejszą sytuację wyrażającą się odpowiednimi ilościami miały wśród krajów europejskich: Norwegia (156,2), Finlandia (156,1), Szwecja (148,2). Tymczasem według normy minimalny wskaźnik, niezbędny do prawidłowego funkcjonowania opieki stacjonarnej nie może być niższy niż 100 łóżek na 10 tys. mieszkańców.

Ciasnota w szpitalach uniemożliwia prawidłowy tok leczenia i rehabilitacji, nadto psychiczne obciążenie chorego uniemożliwia odpowiednią rehabilitację psychofizyczną. Lekarz nie ma gdzie rozmawiać z chorym lub jego rodziną, żaden i ubikację znajdującym się w stanie uragajnym podstawowym wymogom higienicznym. Brak najbardziej choćby prymitywnych urządzeń, które by umożliwiły kąpiele niesprawnych fizycznie. Brak również urządzeń do mycia oddziałów szpitalnych (są szmata i kubełki – rozsadniki zakażeń), a często brak też pralni. Kuchnie są nowoczesne, a system rozdawania posiłków sprawia, że chorzy otrzymują dania zimne. Podstawowa aparatura diagnostyczno-terapeutyczna znajduje się w pomieszczeniach nie nadających się do tego. Nadto braki części zamiennych, a niewłaściwa konserwacja powodują niepełne wykorzystanie cennej aparatury.

Trudne warunki leczenia sprawiają, że chorzy z trudem przychodzą do zdrowia i czas hospitalizacji przedłuża się, pomimo że na każde łóżko szpitalne czekają już następni, ciężko chorzy. Fatalne warunki pracy personelu pomocniczego sprawiają, że bywa go coraz mniej i pielęgnacja chorego staje się gorsza.

W ocenie zasobów służby zdrowia na tle potrzeb społecznych należy oczywiście brać pod uwagę fakt funkcjonowania resortowych służb zdrowia (MON, MSW), które dysponują poważnym zapleczem diagnostyczno-leczniczym w zakładach stacjonarnej i ambulatoryjnej opieki zdrowotnej i obsługują pewien procent populacji (pracownicy i ich rodziny). Jednak ze względu na całkowitą odrębność tych służb i ich specyficzny charakter nie ma możliwości określenia, w jakim stopniu oddziałują one powszechną służbę zdrowia.

2. Przychodnie.

W 1983 roku na stan bazy ambulatoryjnej opieki zdrowotnej składało się 5 953 przychodni i 3 264 ośrodków zdrowia (w tym 1 476 gminnych). W okresie powojennym wybudowano 989 przychodni i 1 570 ośrodków zdrowia. Podobnie więc jak szpitale, mieszczą się one często w promisczeniach starych i nieodpowiednich. Szczególnie dystaliczne są różnice w wyposażeniu i obsadzie przychodni między ośrodkami wielkomiejskimi a małymi miastami i wsią, gdzie z reguły poziom warunków zdrowotnych jest znacznie niższy. Obecnie ocenia się, że około 500 ośrodków zdrowia ze względu na zły

stan techniczny powinny być wycofanych z eksploatacji, co określa rozmiary potrzeb inwestycyjnych w tej dziedzinie.

Pomimo „zespolonego lecznictwa” brak związków między lecznictwem otwartym a szpitalem. Nie ma też ciągłości leczenia i obserwacji pacjenta. W praktyce lekarze rejonowi nie kontaktują się z oddziałem szpitalnym. ZOZ-y utrudniają szkolenie lekarzy rejonowych, szczególnie w dużych miastach. Zaledwie 3-5% lekarzy rejonowych odbywa staże w oddziałach szpitalnych (poza okresami specjalizacji), jeszcze mniej odbywa staże okresowe. Leczenie w Przychodniach Rejonowych podlega jednak jeszcze czasem kontroli oddziałów szpitalnych. Brak natomiast takiej kontroli i kontaktów z klinikami w przypadku lekarzy zakładowych.

Nad całym systemem lecznictwa ciąży brak zaufania władz zarówno do lekarzy, jak i do pacjentów. Tym brakiem zaufania spowodowany jest gąszcz przepisów, które są albo nie do wykonania, bądź też całkowicie niesłuszne. Prowadzi to do nadużyć przez nieuczciwych lekarzy i pacjentów lub do omijania przepisów przez lekarzy uczciwych, którzy nie chcą działać na szkodę chorego. Większość przepisów komplikuje życie chorym i utrudnia pracę lekarzom. W związku z głębokim przekonaniem władz, że wszyscy nadużywają zwolnień, a lekarze wydają ich nadbyle, obwarowano orzeczenia o niezdolności do pracy absurdalnym systemem zarządzeń. I tak chorzy bez względu na chorobę musi chodzić wielokrotnie do lekarza, lub go wyzywać, aby uzyskać zwolnienie na określoną ilość dni, przy czym z góry wiadomo, że choroba krócej trwać nie będzie i można byłoby zwolnienie wypisać od razu. Nie mogą wydawać zwolnień lekarze pogotowia i pomocy doraźnej – stąd niepotrzebne wizyty u lekarzy rejonowych. Do arkusza stanowiącego zwolnienie z pracy lekarz obowiązywać jest wpisany numer choroby, co jest jaskrawym naruszeniem tajemnicy lekarskiej. Przepis ten winien zostać jak najszybciej uchylony.

Ranga społeczna lekarzy rejonowych i opieki podstawowej, pomimo znacznego podwyższenia uposażeń, nadal jest niska. Wpływa na to z jednej strony złe przygotowanie lekarzy do tej pracy, z drugiej brak jakichkolwiek uprawnień. Lekarz, którego rola sprowadza się do kierowania pacjenta do specjalistów, ewentualnie wypisywania zwolnień, nie może mieć autorytetu. Nadto działając jako stacja przekątnikowa pomiędzy chorym a specjalistą, lekarz rejonowy obciąża pracą często niepotrzebnie specjalistów, sam zaś traci wszelkie motywacje do dokształcania się.

Wolny wybór lekarza nie istnieje, dostęp do lekarza bywa niezwykle trudny, a czasem nawet niemożliwy, co stawia pod znakiem zapytania „powszechność” służby zdrowia. W województwie białostockim np. ok. 50 wiejskich ośrodków zdrowia nie ma pełnej obsady lekarskiej.

Nawet w miastach droga chorego do uzyskania pomocy (szczególnie szpitalnej) jest nałożona przez skądami. Począwszy od wezwania Pogotowia Ratunkowego, poprzez starania o skierowanie do szpitala, a na miejscu „na dostawce” w korytarzu szpitalnym skończysz. Proces diagnostyczny w ambulatoriach wydłuża się niebywale. Na rentgen żołądka oczekuje się przeciętnie 1,5 miesiąca, na EKG 10-14 dni, a na konsultację ze specjalistą ok. 3 miesięcy. Terminy badań, do których potrzebna jest unikalna aparatura komputerowa są oczywiście jeszcze dłuższe.

Zwiększenie ilości przychodni oraz zasadnicza poprawa ich wyposażenia, obsady i zasady pracy stawia jeden z najistotniejszych problemów służby zdrowia. Dla społeczeństwa i jego zdrowia jest sprawą najważniejszą, ponieważ wszyscy potrzebujemy usług przychodni. Dla-

tego doinwestowanie i rozwój tych podstawowych placówek stanowi zadanie pierwszorzędne, ważniejsze od budowy niezwykle kosztownych, prestiżowych dla władz, leczniczych kombinatów.

3. Problemy psychiatrii.

Liczba łóżek psychiatrycznych w kraju systematycznie spada począwszy od roku 1973, ponieważ rozpadają się stare, niekonserwowane budynki szpitalne. Z posiadanych 36 500 łóżek tylko 9 % znajduje się w zakładach budowanych po wojnie. Psychiatrii brakuje obecnie 13 000 łóżek szpitalnych. Powoduje to niehumanitarne zagęszczenie szpitali. Są nawet takie szpitale, w których powierzchnia przypadająca na jednego chorego jest mniejsza niż dwa metry. Warunki przebywania w szpitalach psychiatrycznych są znacznie gorsze od warunków przebywania w szpitalach w ogóle. Ponadto szpitale psychiatryczne są źle rozmieszczone. W województwach ciechanowskim, krośnieńskim, łomżyńskim, piotrowskim, skiernewickim, wrocławskim, tarnobrzskim szpitale psychiatryczne w ogóle nie ma. Chorzy odwożeni są do szpitali odległych nieraz o 100 km. Sytuacja, o której mowa, dotyczy ponad 160 tys. pacjentów, tyłu bowiem przebywa rocznie w szpitalach psychiatrycznych.

Opieka ambulatoryjna prowadzona jest przez 532 poradnie zdrowia psychicznego, ale co czwarta z nich czynna jest jeden, dwa razy w tygodniu. Obsługują ją lekarz w niepełnym wymiarze godzin i pielęgniarka, która zazwyczaj jest wyłącznie rejestratorką. W tej sytuacji poradnie w minimalnym zakresie stopniu są w stanie sprostać potrzebom pacjentów.

W domach opieki społecznej przebywa ponad 60 tysięcy osób. Sale są zagęszczone ponad wszelką miarę. Przebywają w nich na ogół ludzie niepełnosprawni często z powodu zaburzeń psychicznych. Za cały personel medyczny starca tu zazwyczaj jedna pielęgniarka, która stanowi raczej pomoc przy spełnianiu podstawowych potrzeb fizjologicznych aniżeli opiekę medyczną.

Kadra lekarzy psychiatrów niepokojąco zmniejsza się. Według szacunków ustalonych na poziomie minimum w lecznictwie psychiatrycznym brakuje dzisiaj 800 lekarzy, 500 psychologów, 2 200 pielęgniarek. Przyczyn tego stanu należy szukać w katastrofalnych warunkach pracy i w wiążącym się z nim braku satysfakcji zawodowej, której nawet w znikomym stopniu nie są w stanie zrekomensować niskie zarobki personelu psychiatrycznego.

Omniając problemy leczenia psychiatrycznego w Polsce nie sposób pominąć zatrważającego faktu, że jesteśmy jedynym w Europie krajem, w którym chorzy psychicznie są ludźmi wyjętymi spod prawa. Ustawa psychiatryczna nie ma w naszym kraju szczęścia. Myślano o niej jeszcze w roku 1918, ale do tej pory nie doszło do skutku. W latach 70-tych opracowano projekt ustawy, która przyjęta została przez prawie całe środowisko medyczne. W związku z tym projektem wyrażono jednak obawy, że ustawa może być wykorzystana do celów politycznych. Są one uzasadnione, jednakże możliwości takie istnieją także i dziś. Ograniczenie wolności osobistej pacjentów jest bowiem regulowane przez instrukcję ministra zdrowia z roku 1952. Społeczeństwo nie zdaje sobie sprawy, jak często służy ona rozmaitym nadużyciom, choćby dlatego, że jest niepełna i nieprecyzyjna. Projekt ustawy opracowany przez psychiatrów w latach 70-tych określał szczegółowo warunki, w których można człowieka chorego pozbawić wolności. Będzie on ponownie opracowywany przez Instytut Psychoneurologiczny. Istnieje więc możliwość stworzenia właściwych podstaw prawnych psychiatrii.

4. Kadry służby zdrowia.

Z analizy dotychczasowego tempa przyrostu zatrudnienia oraz aktualnej działalności szkół medycznych (średnich i wyższych) wynika prognoza bilansu kadr medycznych, która umożliwić ma osiągnięcie w ciągu 5 lat, do końca 1990 roku następujących liczb poszczególnych grup zawodowych: lekarze 84 800 (przyrost 21,9 %); lekarze dentyści - 19 000 (przyrost 4,9 %); farmaceuci - 17 500 (przyrost 4,5 %); pielęgniarki - 222 000 (przyrost 57,5 %); położne 23 400 (przyrost 6,0 %).

Przewidywana liczba pielęgniarek i położnych pozwoli na zaspokojenie jedynie minimum potrzeb kadrowych. Natomiast liczby lekarzy-dentystów i farmaceutów będą nadal niewystarczające - w tych grupach zawodowych potrzebne jest osiągnięcie wskaźnika przynajmniej 5,6 na 10 tys. mieszkańców. Istniejąca sytuacja powodowana jest znacznym ubytkiem kadr z tych zawodów osiągającym ok. 40 % liczby jednego rocznika absolwentów szkół pielęgnarskich i ok. 60 % liczby rocznika absolwentów stomatologii i farmacji. Możliwość zwiększenia liczby absolwentów zostały całkowicie wyczerpane przy obecnym stanie bazy dydaktycznej.

Należy się nadal liczyć z utrzymaniem się znacznego odsetka okresowo niezatrudnionych kobiet (urlopy wychowawcze), wcześniejszym odchodzeniem na emeryturę (pracownicy zaliczeni do I kategorii zatrudnienia) i wzrostem deficytu na skutek skrócenia o 6 godzin na tydzień czasu pracy pielęgniarek i położnych, pracujących w systemie trzyzmianowym.

Warunkiem istotnej poprawy zatrudnienia stomatologów, farmaceutów i pielęgniarek byłoby przede wszystkim zahamowanie tak dużego jak obecnie odchodzenia z zawodu (ok. 28 tys. pielęgniarek w ciągu 6 lat 1976-1980). Jest to bardzo trudne wobec wysokiego stopnia feminizacji stomatologii i farmacji oraz uprawnień kobiet wychowujących dzieci (wśród absolwentów stomatologii kobiety stanowią 78 %, a farmacji ok. 88 %). Wymaga to m.in. rozwiązania zasadniczych problemów społecznych (praca, mieszkanie, opieka nad dziećmi), które tkwią u podstaw okresowego przerywania pracy lub porzucania zawodu.

Zasadnicze znaczenie dla poprawnego funkcjonowania systemu ochrony zdrowia ma rozmieszczenie terytorialne kadr oraz rozmieszczenie w poszczególnych dziedzinach i rodzajach działalności.

Lekarzy mamy w PRL ponad 70 tys. (oficjalne dane - 69,296 na dzień 31.12.1983 roku nie obejmują lekarzy MON, MSW, Spółdzielczości Inwalidzkiej itp; dotyczy tylko resortów zdrowia i komunikacji), co daje wskaźnik blisko 20 lekarzy na 10 tys. mieszkańców, a więc nieco wyższy lub równy odpowiednim wskaźnikom dla Francji, Anglii, Walii, Holandii, Finlandii czy Kanady, a niewiele niższy niż w NRD, Szwecji, Danii czy USA. Występują jednak wielkie dysproporcje między poszczególnymi ośrodkami, a w dodatku pogębiają się one z roku na rok. Tak np. w roku 1983 liczba lekarzy w 11 województwach, legitymujących się wskaźnikiem zapewnienia opieki lekarskiej 30-50 % gorszym od średniej krajowej, które to województwa liczą 5047 tys. ludności - wzrosła o 168, gdy w trzech województwach „miejjskich” o ludności 4726 tys., gdzie wskaźnik zapewnienia opieki był wyższy o 74-100 % od średniej krajowej, w tym samym czasie przybyło 518 lekarzy. Jedynym sposobem wyrównania dysproporcji między regionami w/daje się być - zgodnie z doświadczeniem - stworzenie kadrom służby zdrowia odpowiednich warunków materialnych.

5. Stan zaopatrzenia w leki.

Stan zaopatrzenia w leki jest katastrofalny. Podczas gdy w 1983 roku liczba leków nie dostarczonych lub dostarczonych w ilościach mniejszych od zapotrzebowania stanowiła przeciętnie ok. 22,8 % ogółu leków zawartych w oficjalnych wykazach, to w 1984 r. odsetek ten wzrósł do 34,6 %. Ponadto w 1984 r. zabrakło 80 % leków, które miały być importowane. Brakuje wielu leków podstawowych dla skutecznej terapii przewlekłych schorzeń: choroby wieńcowej, wrzodowej. Stale lub okresowo występują braki antybiotyków i chemoterapeutyków. Sytuację pogarsza dezorganizowanie rynku przez zjawisko masowego wykupywania przez ludzi chorych potrzebnych leków, co powoduje gromadzenie nadmiernych, lecz w tej sytuacji uzasadnionych zapasów. Jest rzeczą oczywistą, że w obliczu zagrożenia życia nikt – ani chory, ani lekarz – nie będzie przestrzegał nieudolnych regulacji administracyjnych w tej sprawie. Powstaje sytuacja, w której nie ogłasza się istnienia epidemii grypy (np. wiosną 85 roku), ponieważ w aptekach brak było polopiryny i rutinoscorbinu. W tym samym czasie w szpitalach brak było kwasów płynnych, przylepców, gazy, glukozy, soli fizjologicznej, piramidonu, witamin, środków uspokajających, a więc najbardziej podstawowych leków. Każdego dnia brakuje podstawowych leków, przy czym nigdy nie wiadomo, co apteki otrzymają jutro, ponieważ produkcja jest nierytmiczna. Powoduje to przerwy w rozpoczętej kuracji.

W tej sytuacji leczenie opóźnia się i wydłuża. Stosuje się często kilka leków zastępczych, miast jednego, skutecznego. Chorzy poszukują lekarstw chodząc do apteki do apteki, a gdy to nie odnosi skutku usiłują sprowadzić lekarstwo z zagranicy czasem za duże pieniądze. Następuje przerwy w leczeniu, nieraz bardzo szkodliwe.

Urzędowy Spis Leków zawiera żenująco małą liczbę leków, a jednak ministerstwo nie spełnia swego obowiązku stałego sprowadzania lekarstw, które znajdują się w tym oficjalnym spisie. Do niedawna niektóre oddziały szpitalne w 45 % pokrywały swoje potrzeby lekarstw z darów, ale dary nie będą trwać wiecznie.

Jedyną możliwością przetrwania tego błędnego koła jest po prostu zrównoważenie podaży z popytem na leki przynajmniej w zakresie niezbędnym dla ratowania życia. Innymi słowy, zapas leków ratujących życie musi być na bieżąco zapewniony.

Niezależnie od innych działań już teraz konieczne jest uruchomienie spółdzielni wytwarzających niektóre proste leki, materiały opatrunkowe i odczynniki (istniały takie wytwórnie przed laty, lecz zostały zlikwidowane w oparciu o inicjatywę prywatną lub spółki o dużym stopniu samodzielności).

Dla celów naprawę opłakalnego eksportu należy uruchomić produkcję poszukiwanych w skali światowej preparatów i po zaopatrzeniu rynku wewnętrznego – eksportować je. Szanse korzystnych transakcji eksportowych byłyby w przeszłości zaprzeczane. Np. wytwórnia surowic i szczepionek produkowała streptokinazę w okresie, gdy na świecie produkowały ten cenny i drogi lek tylko dwie firmy. Polska dzięki temu mogła wejść na światowy rynek, jednak produkcję przerwano. Tak sama wytwórnia nie potrafi dziś produkować nawet albumin ludzkich, które są wytwarzane z naszego surowca (osocze krwi) w RFN i sprowadzane stamtąd za dewizy.

Należy zmienić bezsensowne, nieżyłociwe przepisy: umożliwić wypisywanie na jednej receptce większych niż obecnie ilości leku istotnie potrzebnego do kuracji, co zlikwiduje wielokrotne chodzenie do lekarza i apteki po lek ewidentnie potrzebny do leczenia danych chorób oraz zwiększyć ilość leków, które można nabyć bez recept.

III. Pomoc społeczna.

Poza zapisem konstytucyjnym przysługującym obywatelom PRL prawo do pomocy na wypadek choroby, starości lub niezdolności do pracy próżno by szukać prawnej regulacji zadań i funkcji pomocy społecznej. Nie ma określonego miejsca pomocy społecznej w systemie organizacyjnym służby zdrowia, jakkolwiek formalnie należy to do tego resortu. Niesprawdzone są też powiązania organów państwowych z instytucjami społecznymi. Poszczególne kategorie potrzebujących podlegają różnym instytucjom mającym prawo lub w określonych sytuacjach – obowiązek – udzielania tej pomocy. Wykrywanie przypadków wymagających pomocy jest zorganizowane na nierównym poziomie w różnych miejscowościach, środki pieniężne i materialne, którymi dysponują są niewystarczające. Nowa ustawa o ochronie zdrowia, która powinna wiele spraw uporządkować, nie została wciąż jeszcze uchwalona. Udzielanie pomocy jest w tej sytuacji nierządnie traktowane jako akt „dobrej woli” ze strony organów publicznych, a nie ich prawny obowiązek.

Pomoc świadczona przez administrację publiczną nie jest i nie powinna być jedynym możliwym źródłem. Obok państwowego systemu pomocy konieczny jest system społeczny pomocy potrzebujących, który tylko w niewielkim stopniu może być zastąpiony przez działalność wielkich organizacji, takich jak PCK i PKPFS. Działalność ta jest w pewnym zakresie uprawiana przez Kościół katolicki i inne wspólnoty wyznaniowe. Trzeźwa jednak nadsądza impet tej działalności w nowych warunkach gospodarczych. Nie wolno jednak traktować niektórych form pomocy charytatywnej jako działalności politycznej – i uniemożliwiać bądź utrudniać zorganizowanie pomocy np. więźniom czy ich rodzinom. Zgodnie z międzynarodowymi ustaleniami, zawartymi w programach Światowej Organizacji Zdrowia należy wprowadzić maksymalną swobodę zawiązywania i działania społecznych organizacji charytatywnych, a kontrolę administracyjną ograniczyć do sprawdzenia, czy odpowiednia organizacja gospodaruje środkami prawidłowo i uczciwie. Oczywiście ruch pomocy potrzebującym nie może działać w oderwaniu od realiów krajowych, ale istnieje przecież możliwość pogodzenia interesów, podział obszarów oddziaływania, wzajemne informowanie o potrzebach itd. Wszystko to jest możliwe pod warunkiem odpowiedniego klimatu politycznego i dobrej woli, której – jak na razie – brakuje.

Według nieoficjalnych szacunków ok. 55-60 % emerytów i rencistów ma dochody na poziomie tzw. minimum socjalnego lub poniżej tego poziomu. Tak samo niski poziom dochodów występuje w ok. 30-40 rodzin wiejskich i co najmniej w 1/4 lub nawet 1/3 rodzin pracowniczych w miastach. Nie oznacza to jednak, że ci wszyscy ludzie otrzymują pomoc socjalną. Korzystają z niej i to w bardzo różnym stopniu głównie trzy kategorie ludzi: ludzie starzy, niepełnosprawni i niezdolni do pracy. Oczywiście nie wszyscy ci ludzie z pomocy korzystają i nie zawsze ci, którzy takiej pomocy najbardziej potrzebują. Liczby te dają jedynie wyobrażenie o skali zjawiska społecznego. Z zaśników pieniężnych korzysta w Polsce ok. 200 tys. osób.

Drugą formą pomocy społecznej są usługi socjalne świadczące ciężko chorym – przykutym do łóżka lub o bardzo ograniczonej możliwości poruszania się – w ich własnych domach. Polegają one na wykonywaniu podstawowych czynności domowych (sprzątanie, robienie zakupów itp.) i – jeśli jest to konieczne – podstawowych zabiegów pielęgnacyjnych. Usługi takie wykonuje się co dzień lub co drugi dzień przez godzinę, dwie. Usługi te prowadzą głównie organizacje społeczne: Polski Komitet

Pomocy Społecznej i Polski Czerwony Krzyż. Liczba osób objętych opieką społeczną przez organa służby zdrowia wynosi według ich statystyk ok. 1 300 000. Trudno odpowiedzieć, jaki stanowi to odsetek rzeczywiste potrzebujących osób, jak też, w jakim stopniu podopieczni korzystają ze świadczeń z różnych źródeł. Szacuje się, że liczba potrzebujących różnych form pomocy społecznej może być dwukrotnie większa.

Zaledwie kilka tysięcy osób sprawnych na tyle, by mogły opuścić swoje mieszkania korzysta z tzw. dziennych domów pomocy społecznej, które zapewniają całodzienne wyżywienie, opiekę lekarską oraz organizują imprezy o charakterze kulturalnym.

Ilość i jakość usług społecznych jest jak widać bardzo ograniczona, co powoduje, że wiele osób starych i niepełnosprawnych dopomina się o całodobową opiekę, którą zapewniają domy pomocy społecznej. Są to domy rencisty — dla osób sprawnych oraz dla przewlekle chorych, domy dla niewidomych, domy dla osób ze schorzeniami układu nerwowego oraz domy dla umysłowo upośledzonych dzieci i dorosłych. Pod koniec 1984 roku wszystkie domy pomocy społecznej łącznie dysponowały 62 tysiącami miejsc. Do tego, aby zaspokoić podstawowe potrzeby społeczne w tym zakresie, brakuje ok. 25 tys. miejsc. W tej sytuacji zdarza się, że ludzi, którzy kwalifikują się do domów pomocy społecznej, lokuje się w szpitalach.

Większość domów pomocy społecznej nie zapewnia swoim pensjonariuszom dobrych warunków bytu. Tylko 18 300 miejsc, czyli 30,5% ogólnej liczby miejsc znajduje się w budynkach wzniesionych po II wojnie światowej. Ok. 42 tys. miejsc znajduje się nie tylko w budynkach starych i nieprzystosowanych do funkcji, jaką pełnią, ale i nie nadających się do adaptacji.

W roku 1983 na umieszczenie w domach pomocy społecznej oczekiwano ponad 12 tys. osób, a wskaźnik zagęszczenia w istniejących domach wynosił 112%. Dla likwidacji tego zagęszczenia konieczny jest przyrost o dalsze 6 tys. miejsc. Szczególny problem stanowi wspomniana liczna grupa przewlekle chorych, którzy przebywają w szpitalach nie ze wskazań lekarskich, lecz ze względów społecznych. Rozwiązanie przyniosłoby znaczne efekty (w tym ekonomiczne), ale wymagałoby uzyskania dodatkowo kilku tysięcy miejsc w domach pomocy społecznej (znacznie przecież tańszych niż miejsca w szpitalach).

Opisana wyżej sytuacja skłania do kilku refleksji. Po pierwsze — zakres działania pomocy społecznej jest zbyt wąski. Przyjęta się koncepcja, że pomoc społeczna jest czymś w rodzaju charytatywnej akcji w najuboższych środowiskach, gdy w istocie winna ona być instytucją życia społecznego, której zadaniem jest ułatwianie życia, szczególnie tym osobom, które są w jakiś sposób upośledzone społecznie. Jeśli traktować ją w ten sposób, pomoc nie może być świadczona wyłącznie ludziom starym i niepełnosprawnym.

Po drugie — koncentracja pomocy społecznej wyłącznie na sprawach materialnych stwarza sytuację, w której ludzie dotknięci kalectwem lub ich rodziny nie mogą liczyć praktycznie na żadną pomoc, która jest im naprawdę potrzebna. Inwalidzi to więźniowie we własnych mieszkaniach. Gorzej nawet, bo przecież więźnia wyprowadza się na spacer. Człowiek na wózku, zamieszkuje na piętrze, niekiedy w ogóle nie może liczyć na to, że ktoś wyprowadzi go na dwór, ponieważ rozmiar wind niejednokrotnie uniemożliwia wprowadzenie do nich wózka, a znieść chorego mógłby jedynie zdrowy i silny mężczyzna. Lecz takich w opiece społecznej brak:

system opieki nie bierze też w ogóle pod uwagę możliwości podobnych świadczeń.

Nawet nie zwiększając kadry socjalnej, ani funduszy przeznaczonych na pomoc społeczną można byłoby jednak nieco poprawić sytuację, dokonując pewnych zmian organizacyjnych i rozszerzając uprawnienia pracowników socjalnych. Tyn bardziej ważna jest zatem sprawa kwalifikacji kadr. Połowa bowiem pracowników socjalnych nie ma żadnego przygotowania zawodowego. Nie posiadają go również często działacze organizacji zajmujących się pomocą społeczną.

IV. Główne wnioski.

Kompleksowy program działań mających na celu poprawę sytuacji zdrowotnej narodu, to znaczy — zarówno poprawę stanu zdrowia, jak funkcjonowania systemu jego ochrony, musi uwzględniać złożoność tych zagadnień i skomplikowane współzależności ekonomiczne, społeczne, psychologiczne, a wreszcie — biologiczne.

Nie do przyjęcia jest utrzymywanie nadal niernormalnej i nieakceptowanej społecznie sytuacji, gdy stosunkowo wąskie grupy ludzi zajmują uprzywilejowaną pozycję w społeczeństwie i ekonomicznej strukturze — i z tego tytułu uzyskują wyższy poziom warunków zdrowotnych. Jest to głęboko niesprawiedliwe. Stan ten powoduje także złe samopoczucie psychiczne i społeczne upośledzonej większości społeczeństwa, co hamuje w znacznym stopniu możliwości rozwoju społeczno-ekonomicznego. Dane, zawarte w licznych raportach placówek naukowo-badawczych wyraźnie wskazują, że większość ludzi pracy ma poczucie upośledzenia, natomiast przywileje koncentrują się w rękach wąskiej grupy, zajmującej stanowiska w administracji gospodarczej, państwowej i polityczno-społecznej oraz ludzi o wysokich, a często nieuczciwie zdobywanych dochodach.

Przy rzeczywistym partnerstwie w sprawowaniu władzy społeczeństwo potrafiłoby wyegocjować odpowiednie decyzje w kluczowej sprawie likwidacji przywilejów, stanowi to bowiem warunek konieczny poprawy sytuacji zdrowotnej, nie będąc jednak warunkiem dostatecznym.

Kolejnym celem jest doprowadzenie do właściwego stanu środowiska bytowania i ochrony. Porównanie kosztów wdrożenia systemu skutecznej procedury zdrowia ze stratami wynikającymi z zakłóceń w równowadze naturalnego środowiska oraz z obniżenia potencjału zdrowotnego społeczeństwa, dałaby wynik jednoznaczny.

Sposób życia każdego człowieka ma istotne znaczenie dla jego zdrowia. Społeczeństwo powinno zrozumieć, że obok tworzenia odpowiednich warunków zdrowotnych musi dojść do przyjęcia właściwych postaw zdrowotnych. O ile tworzenie warunków może być rezultatem działań instytucjonalnych i społecznych, o tyle postawy ludzkich zadekretować się nie da. Właściwe postawy mogą się kształtować tylko w wyniku edukacji oraz działalności opinii publicznej, Kościoła, a zwłaszcza ludzi służby zdrowia. Światowa Organizacja Zdrowia przyjęła dyrektywy, aby do roku 1985 „wszystkie kraje zapewniły skuteczne i reprezentatywne przedstawicielstwo społeczne na wszystkich poziomach organizacji opieki zdrowotnej”. Przyjęto, iż „ludzie znają swoją sytuację lepiej, niż ktokolwiek inny i są najlepiej motywowani do rozwiązywania swych problemów, jeżeli będą mieli ku temu stworzone możliwości”.

Gdy mowa o współuczestnictwie społeczeństwa, chodzi o współuczestnictwo rzeczywiste, a nie fasadowe, kiedy to administracja powołuje grupę osób potencjalnych do firmowania jej poczynań. Tylko w oparciu o szeroką

konsultację z reprezentatywnymi przedstawicielami społecznymi możliwa będzie restrukturalizacja systemu ochrony zdrowia, o którego matę efektywności najlepiej świadczy fakt, że stan zdrowotności nie ulega poprawie nawet w tym zakresie, w jakim decydujący wpływ na jego poziom ma działalność służby zdrowia. Statystyki — niestety nadal tylko wyrywkowe, gdyż systematycznych badań tych zagadnień nie prowadzi się — wskazują na niską wykrywalność np. schorzeń nowotworowych we wczesnych fazach, niską skuteczność leczenia, wysoką śmiertelność z niektórych przyczyn, słowem — na szereg zjawisk, których można by uniknąć przy lepszym funkcjonowaniu systemu. Nie jest przy tym prawdą, że klucz tkwi jedynie w niskich płacach lekarzy. Tkwi raczej w tym, że ich dochody nie są związane z zaangażowaniem w pracę i z jej jakością. Dowodem uporzeczony utrzymującej się niesprawności systemu są niesukcesywne próby, trwające od ponad 30 lat, poprawienia poziomu podstawowej opieki zdrowotnej.

Służba zdrowia w obecnej sytuacji nie jest w stanie zrealizować głównego założenia programu „Zdrowie dla wszystkich”, które mówi o pośrodku w nadchodzących latach głównego nacisku na działania zapobiegające, poprawiające zdrowie i rehabilitację, ponieważ nie jest do tego przygotowana ani teoretycznie, ani instrumentalnie.

Coraz bardziej widoczna staje się konieczność dokonania głębokiej, strukturalnej reformy systemu ochrony zdrowia.

Nie bez znaczenia jest tu nader kontrowersyjny problem środków na ochronę zdrowia. Co prawda wydatki bieżące na ochronę zdrowia z budżetu państwa normalnie rosną, ale udział wydatków na ochronę zdrowia w całości wydatków spada. Wzrosły one tylko o 35,5 %, gdy w tym samym czasie na administrację państwa — o 39,5 %, na obronę — o 46,6 %. Jest przy tym charakterystyczne, że najwięcej — bo jedenastokrotnie — wzrosły wydatki na lecnictwo sanatoryjno-klimatyczne, będące w obecnym systemie raczej świadczeniem socjalnym niż leczniczym i to głównie dla grup uprzywilejowanych, o czym świadczy analiza składu socjalnego kuracji.

Poprawienie stanu zdrowia wymaga podjęcia działań zmierzających do osiągnięcia następujących celów:

- a/ likwidację nierówności w poziomie warunków zdrowotnych i opieki medycznej w odniesieniu do poszczególnych warstw społecznych;
- b/ stworzenie warunków, umożliwiających wyeliminowanie lub przynajmniej znaczne ograniczenie niekorzystnego wpływu środowiska materialnego i psychospołecznego na zdrowie społeczeństwa;
- c/ poprawa poziomu opieki zdrowotnej i stworzenie systemu, zdolnego do sprawnego i systematycznego określania rzeczywistych potrzeb zdrowotnych oraz ich zaspokajania.

Tak sformułowane cele mogą być osiągnięte pod kilkoma warunkami. Pierwszym z nich jest przyznanie racjom zdrowotnym wysokiego priorytetu — zaś ze względu na to, iż ochrona zdrowia wiąże się ściśle z wieloma różnymi działalnościami, konieczne jest precyzyjne identyfikowanie zdrowotnych konsekwencji poszczególnych decyzji w sferze ekonomicznej, społecznej, gospodarczej i politycznej, stworzenie „systemu wczesnego ostrzegania” przed zdrowotnymi skutkami ewentualnych błędów.

Realizacja celów szczegółowych zależeć będzie m.in. od reformy zatrudnienia, która musi dotyczyć struktur zarządzania i nadzoru w służbie zdrowia. Cele te są następujące:

1. obniżenie zapadalności na choroby o szczególnym znaczeniu społecznym;

2. obniżenie śmiertelności w chorobach o szczególnym znaczeniu społecznym oraz obniżenie stopnia inwalidztwa ozdrowieńców;

3. zmniejszenie tempa naturalnego rozwoju nieuleczalnych chorób przewlekłych.

W tym zakresie szczególne znaczenie ma ochrona zdrowia robotników. Na stanowiskach robotniczych w przemyśle i budownictwie zatrudnionych jest ok. 5 milionów ludzi, z czego ponad 2 miliony czyli ponad 40 % pracuje w warunkach szkodliwych dla zdrowia lub bardzo uciążliwych. Głównym zadaniem jest zatem doprowadzenie do sytuacji, w której stan zdrowia osób, wykonujących pracę na jakimkolwiek stanowisku robotniczym nie będzie się różnił od stanu zdrowia osób tej samej płci i wieku zatrudnionych na innych stanowiskach.

Stopień ryzyka zdrowotnego związanego z pracą wyznaczą pomysły i działania konstruktorów, techników, organizatorów produkcji i ekonomistów oraz decyzje ekonomiczno-polityczne. Co więcej, robotnicy nie są przez twórców systemu pracy informowani o jego zdrowotnych skutkach, oprócz jednego: kilkuzłotowego dodatku za „szkodliwe warunki pracy”. Konieczne są więc badania, pozwalające na poznanie rozmaitych czynników kształtujących stan i samopoczucie fizyczne, psychiczne i społeczne oraz wprowadzenie efektywnego nadzoru społecznego nad warunkami pracy. Powinno o niego za zadanie również identyfikację nieznaną jeszcze źródeł ryzyka zdrowotnego związanego z pracą, oszacowanie skutków tego ryzyka, a także identyfikacji (i promocji) tych czynników pracy, które mają korzystny wpływ na stan zdrowia.

Niezależnie od perspektywicznych i kompleksowych działań, które są niezbędne w celu poprawienia stanu zdrowia ludności, możliwe jest stosunkowo szybkie podjęcie inicjatyw zmierzających do poprawienia sytuacji w dziedzinie leczenia i opieki nad ludźmi chorymi. Inicjatyw te mogą być następujące:

- zmiana modelu organizacyjnego służby zdrowia na bardziej elastyczny z wprowadzeniem zasady swobodnego wyboru lekarza;
- aktywizacja sił społecznych dla opieki nad chorymi i niesprawnymi;
- rzeczywisty wpływ społeczeństwa na akty prawne dotyczące szeroko pojętych zagadnień zdrowia, warunków pracy i ochrony środowiska, z naciskiem na usunięcie wszystkich zarządzeń godzących w interes chorego i etykę lekarską;
- poprawienie oblicza etycznego-moralnego pracowników służby zdrowia wszystkich szczebli (przez właściwe wzorce osobowe, duszpasterstwo środowiskowe, kształcenie, powołanie Izby Lekarskich opartych o demokratyczne zasady);
- poprawę sytuacji materialnej pracowników służby zdrowia;
- czuwanie nad właściwym poziomem kadr medycznych przez dobór ordynatorów i kierowników placówek służby zdrowia wyłącznie w oparciu o kryteria zawodowe i moralno-etyczne, a nie nomenklaturę;
- zwiększenie udziału Kościoła i zakonów w opiece nad chorymi (przywrócenie do pracy w szpitalach siostr zakonnych);
- przywrócenie organizacji „Caritas” funkcji, dla których została powołana;
- tworzenie w oparciu o fundusze krajowe i zagraniczne spółek wytwarzających podstawowy sprzęt medyczny, m.in. strzykawkę, niektóre leki, dreny, odczynniki, sprzęt inwalidki, narzędzia;
- sporządzenie i podanie do wiadomości publicznej raportu o stanie produkcji, importu i eksportu leków oraz o propozycjach zlikwidowania ich niedoboru. ■ c.d.n.

DOKUMENTY: *List otwarty węgierskich twórców do uczestników Forum Kultury*

(fragmenty)

Podczas, kiedy w Budapeszcie spotyka się Europejskie Forum Kulturalne, by w świetle Aktu Końcowego Konferencji w Helsinkach z 1975 roku przeegzaminować, co poszczególne kraje europejskie osiągnęły w dziedzinie zbliżenia kulturalnego i co robią w celu ułatwienia swobodnego przenikania dóbr kulturowych przez granice, chcemy zwrócić uwagę uczestników Forum i węgierskiego społeczeństwa na następujący stan rzeczy.

W naszym kraju instytucje kulturalne i twórcy kultury uginają się pod restrykcjami, które zagrażają kulturowej integracji i kulturowym interesom naszego narodu, jak również naszej narodowej świadomości. Restrykcje te są sprzeczne z zobowiązaniami wynikającymi z podpisanych przez Węgierską Republikę Ludową porozumień międzynarodowych, jak również są one sprzeczne z prawami i obowiązkami wynikającymi z węgierskiej konstytucji. W związku z tymi restrykcjami te są niewątpliwie nielegalne.

Węgierski rząd chełpi się, że w naszym kraju nie ma cenzury. Ktokolwiek tak twierdzi, świadomie mówi nieprawdę. Prawdą jest, że nie istnieje u nas urzędy cenzury, jak również nie ma oficjalnie cenzorów, ale cenzurę można efektywnie sprawować poprzez konfiskowanie, zakazywanie i okrajanie książek, poprzez umieszczanie na czarnej liście autorów i innych twórców, poprzez wyrzucanie z pracy, za namową władz, wydawców i redaktorów, poprzez przesładowanie (rewizje w domach i grzywny) autorów samizdatów.

Instrumentem cenzury jest również absolutny monopol państwowy i kontrola partyjna nad środkami masowego przekazu: drukarniami, domami wydawniczymi, radiem, telewizją i filmem. Na Węgrzech nie ma wolności prasy. /.../

Rząd musi tolerować otwartą krytykę państwa i porządku społecznego, włącznie z żądania jego zmiany.

Domagamy się, by prawo o informacji dokładnie określiło warunki, (takie jak na przykład wojna), w których swobodny przepływ informacji byłby ograniczony, a ponadto, do jakiego stopnia. Prawo to musi też zakazać cenzurowania informacji, obojętnie, w otwarty czy ukryty sposób, jak również musi określić kary dla tych, którzy by tę zasadę łamali.

Należy ponadto skończyć z państwowym monopolem na informację publiczną. /.../

Należy również skończyć z państwowym monopolem wydawniczym. /.../ Należy zezwolić na zakładanie prywatnych drukarni. Skończyć trzeba z policyjnym nadzorem nad powielaczami i fotokopiarkami. /.../ Należy zerwać z cenzurą praktykowaną pod pozorem kontroli celnych i z konfiskowaniem przez celników od Węgrów i cudzoziemców gazet i książek, jak również prywatnych manuskryptów nie zawierających żadnych tajemnic państwowych. /.../ Należy wprowadzić uliczną sprzedaż zachodnich niekomunistycznych gazet i magazynów, nie można też utrudniać rozprowadzania i czytania węgierskiej prasy emigracyjnej, włącznie z wydawnictwami emigracji politycznej. Zapewnić należy import publikacji wydawanych w Jugosławii przez węgierską mniejszość narodową. /.../

Autonomiczne tradycyjnie uniwersytety nie są dzisiaj niezależne w swej organizacji, ustalaniu programu nauczania i doborze kadry naukowej. Węgierska Akademia Nauk jest instrumentem kierowania scentralizowanym i zbiurokratyzowanym życiem naukowym.

Dlatego też — domagamy się:

Przywrócenia i zagwarantowania autonomii uniwersytetów i innych wyższych uczelni, jak również Węgierskiej Akademii Nauk. /.../ Skończenia z polityczną i ideologiczną oceną środowisk naukowych. /.../

Domagamy się wprowadzenia do szkół pluralizmu światopoglądowego i zdjęcia z nauczycieli przymusu zgodności nauczania z linią partii. W tym celu należy rozważyć możliwość zwiększenia liczby szkół wyznaniowych i stworzenia szkół prywatnych. /.../

Najlichnieszka grupa etniczna w naszym kraju – Cyganie, pozbawieni są prawa do zgromadzeń na zasadzie etnicznej. Zamiast zachęcania do integracji grupowej w społeczeństwie, prowadzi się wobec nich politykę jednonstronnej asymilacji, która doprowadza do utraty identyfikacji etnicznej. Ponadto, na Węgrzech blokuje się wszelkie informacje o istnieniu węgierskich mniejszości narodowych w Rumunii, Czechosłowacji i w Związku Radzieckim. Wzbronione jest pisanie o niebezpieczeństwie utraty identyfikacji narodowej przez węgierskie mniejszości narodowe w państwach socjalistycznych i o konieczności niesienia rodakom pomocy. /.../

W życiu wyznaniowym, które stanowi unikalną i ważną część kultury narodowej, daje się w ostatnim czasie zauważyć na Węgrzech przesładowanie nowych prądów i inicjatyw. Szczególnie na prowincji ciągle jeszcze dyskryminuje się wiaryzących.

W związku z tym, domagamy się: by zezwolić na działalność społeczną i kulturalną grup wyznaniowych i uznać ją za obszar nie związany bezpośrednio z zagadnieniem religii i stosunkiem państwa do niej. /.../

Główną przyczyną ograniczeń wolności kultury jest monopol państwowy dyrygujący życiem kulturalnym, co jest sprzeczne zarówno ze współczesnymi trendami cywilizacyjnymi, jak i z tradycjami kultury europejskiej. Rząd, zbrojny w monopol siły, trzyma w zanadru szereg regulacji prawnych przeciwko tym, którzy naruszają monopol państwa i centralnych instytucji w dziedzinie kultury. Paleta tych przepisów sięga od prawa karnego, poprzez regulacje prawne uchwalone przez pozaparlamentarne ciała administracyjne, aż do środków administracyjnych i policyjnych. /.../

W ostatnich latach władze skazywały na kary więzienia muzyków rockowych, których teksty piosenek zawierają aluzje polityczne i ludzi teatru za wystawianie sztuk obrażających rzekomo moralność publiczną. Czyli, władza nie rezygnuje z tego ostatecznego instrumentu „polityki kulturalnej”. Ale zazwyczaj władze używają instrumentów, które na zewnątrz wyglądają lepiej, „liberalniej”: po prostu nakładają wysokie grzywny, wyrzucają z pracy i pozbawiają środków do życia, tych twórców, którzy starają się korzystać z wolności kultury.

Niepokoi fakt, że właśnie od czasu podpisania Aktu Końcowego w Helsinkach wprowadzono na Węgrzech szereg nowych regulacji prawnych umożliwiających podejmowanie arbitralnych decyzji przez organa administracyjne i milicję – bez

możliwości interwencji ze strony sędziego. Należą do nich: rozszerzenie zakresu działania milicji, wprowadzenie pojęcia „łamania prawa prasowego”, zaostrenie przepisów dotyczących rejestrowania powielaczy i fotokopiarek, intensyfikacja systemu nadzoru milicyjnego i zaostrenie przepisów w sprawie wódczostwa. Wszystkie te środki można zastosować w każdej chwili przeciwko każdemu, kto łamie państwowy monopol informacyjny i kulturalny, to znaczy przeciwko tym, którzy właśnie z tego powodu zostali już pozbawieni środków do życia. Jeśli dodamy jeszcze do tego wszystkie możliwości, jakie daje władzy nie wymagający specjalnych regulacji prawnych despotyzm biurokratyczny, to stanie się jasne, że w cieniu monopolu władzy i rządowych gróźb nie mogą się rozwijać wolne, pluralistyczne inicjatywy społeczne. Bez nich jednak kultura narodowa nie jest kompletna. /.../

Wzywamy wszystkich uczestników europejskiego Forum Kulturalnego i przedstawicieli międzynarodowej prasy do potraktowania naszych krzywd i żądań jak własne. To, czego żądamy od rzekomo „liberalnego rządu węgierskiego”, jest już przecież od lat codzienną rzeczywistością w demokratycznych państwach zachodnich. Nie wierzyć w możliwości i rzekome sukcesy dyskretnej cizmy i tajnej dyplomacji. My potrzebujemy głośno e j, h a ł a ś l i w e j solidarności! Solidarności w walce o węgierską demokrację i węgierską kulturę narodową – nie może być w żadnym wypadku uznana za ingerencję w wewnętrzne sprawy Węgier.

Wzywamy również z naszej strony solidarność z tymi wszystkimi, których życie kulturalne ograniczane jest represjami i z tymi, którzy częściowo bądź w całości pozbawieni są swych praw do wolności. Zapewniamy o naszej solidarności obywateli Bułgarii, Czechosłowacji, Jugosławii, Polski, NRD, Rumunii i Związku Radzieckiego, którzy walczą o wolności obywatelskie i swobody kulturalne i którzy z tego powodu są więzieni. Sprawa polskich, litewskich, ukraińskich, czeskich, słowackich, chorwackich i rumuńskich katolików jest również naszą sprawą. Krzywdy Turków w Bułgarii, Estończyków, Łotyszy, Tatarów i Żydów w Związku Radzieckim są naszymi krzywdami. Geza Szocs i Karoly Kiraly z Transylwanii, Miklosa Duray z Bratysławy, Vaclava Havela z Czechosłowacji, Stefany Heyma protestujący przeciwko cenzurze w Niemieckiej Republice Demokratycznej, Polacy Adam Michnik i Jacek Kuron, Jurij Orłow i Anatol Szczarański cierpiący w sowieckim łagrze oraz wielu, wielu innych – wszyscy oni walczą o tę samą, wspólną sprawę. ■

Listy do redakcji

Szanowny Panie Redaktorze!

Notatkę informacyjną o powstaniu Kongresu Wolnej Polski w Europie („Pogląd” nr 21/94 z 3 bm. str. 56) za-ończył Pan następująco:

„W zebraniu założycielskim Kongresu Wolnej Polski obecnych było ok. 30-40 osób. Jak wynika ze schematu struktury organizacyjnej, stworzono 27 rozmaitych komisji i ciał. Dla każdego coś miłego...”

Ponieważ na końcu dał Pan 3 kropki pozwoli Pan, że uzupełnię je treścią. Otóż w zebraniu obecnych było 46 osób, w tym wielu delegatów, reprezentujących wieloosobowe organizacje. Utworzono nie 27, lecz 18 komisji, pozostałe funkcje w schemacie organizacyjnym są funkcjami poszczególnych osób w Zarządzie. Wprawdzie osoby te, łącznie z niżej podpisanym są ciałami, ale tylko w sensie biologicznym, nie organizacyjnym.

Istotnie dla każdego Kongres będzie miał nie tylko coś miłego, ale też coś ważnego, mianowicie obowiązek usprawnienia i ożywienia pracy niepodległościowej i społecznej polskich organizacji niepodległościowych w Europie. A że jest ich wiele i demokracja polega na wciągnięciu wszystkich do działania, przeto liczba 18 komisji może okazać się z biegiem czasu zbyt mała. A dla wszystkich będziemy mieli zawsze coś miłego, gdyż mieszanie inaczej myślących z błotem pozostawiamy innym.

Prosząc o zamieszczenie niniejszego pisma w dziale listów do redakcji łączę dla drogiego Pana miłe pozdrowienia wraz z serdecznym uściskiem dłoni.

Dr Ludwik Frencl (Prezes Kongresu)

Sydney, dnia 8 października 1980

Szanowna Redakcjo!

Piszę do Was, ponieważ „Pogląd” zajmuje się nie tylko sprawami wielkiej polityki, ale także stara się nieść konkretną pomoc informacyjną dla Polaków znajdujących się przejściowo w Europie Zachodniej, a pragnących imigrować. Być może moja korespondencja przyczyni się w skromnym stopniu do pomocy tym, którzy zamierzają imigrować do Australii. Aktualnie napyły ze strony ambasady australijskiej powiadają, że namyśli Polaków do Australii zmniejszył się. Nie wystarczy – jak dotychczas – uzyskanie statusu uchodźcy politycznego. Dodatkowym wymogiem jest konieczność uzyskania sponsorowania, czyli poręczenia i gwarancji pracy. Spowodowane jest to tym, że rząd Australii nie chce, aby nowo przybyli imigranci powiększyli armię bezrobotnych (8-9%), lecz by od początku byli niezależni od systemu zapomóg dla bezrobotnych.

Wszystko powyższe jest powszechnie wiadome. Problemy zaczynają się w momencie starań o sponsora. Na tym właśnie trudnym aspekcie załatwiania procedury imigracyjnej chciałbym się skupić. Redakcja „Poglądu”

dysponuje już adresem Komitetu Osiedlenia przy Biurze Opieki Społecznej Federacji Polskich Organizacji w Wiktorii (Australia). Jakkolwiek adres ten jest nadal aktualny, lepiej w przyszłości kierować listy na skrzynkę pocztową tego Komitetu zajmującego się sponsorowaniem osób zakwalifikowanych jako UCHODZCY POLITYCZNI. Dlatego też dobrze byłoby, aby redakcja wszystkim zainteresowanym imigracją do Australii przekazała pożyteczny adres:

Polish Community Council
of Victoria
P.O. Box 1123J
Melbourne
Victoria 3000
Australia

Niezależnie od tego – jako dodatkowy sposób szukania sponsora – osoby ze statusem uchodźcy politycznego, mogą skorzystać z uprzejmości redakcji tygodnika „Wiadomości Polskie”:

„Polish News”
G.P.O. Box 5362
Sydney, N.S.W. 200
Australia

i zwrócić się z prośbą o wydrukowanie ich danych osobistych i zawodowych w formie skrótovej w prasie, celem apelu do organizacji, przedsiębiorstw i osób o udzielenie sponsorowania. (...)

Z poważaniem
Zbigniew Muszyński

Szanowni Panowie,

W numerze Poglądu z dnia 8.09.1985 r. wydrukowali Panowie pod tytułem „Egzemplarz Bezpłatny Dla Rodaków W Kraju” artykuł! anonimowy oskarżający członków Klubu Polskiego w R.F.N. z siedzibą w Hamburgu o sprzedaż książek przeznaczonych dla Kraju niżej ceny sprzedaży i wyciągania z tego osobistych korzyści z tej sprzedaży. Pozatem niesmaczna uwaga na zakończenie wyżej wymienionego artykułu nie świadczy dodatnio o autorze artykułu.

Nie żeby się usprawiedliwiać, lecz li tylko dla informacji Panów podaje: Od 19-tu lat tzn. od chwili otwarcia Klubu w Hamburgu, a od prawie 25-ciu lat przede mnie osobiście prowadzona jest akcja książkowa i czasopiśmienniczo kierunkiem na Kraj. Dzięki moim kontaktom w Ojczyźnie nie tylko z osobami prywatnymi, ale i z niezależnymi instytucjami akcja ta trwa do dnia dzisiejszego.

(...)

Nie jest tajemnicą również sprawa sprzedaży książek, którą Panowie jako „złośliwy zarzut” w Waszym czasopiśmie umieściliście.

Sprawa sprzedaży książek została w instytucjach zainteresowanych wyjaśniona z chwilą kiedy została przez Zarząd Klubu stwierdzona że pewna „zaufana osoba” (...) mająca dostęp do książek zaczęła, na własną rękę poza plecami Zarządu Klubu i kasując do własnej kieszeni, sprzedawać książki, które mają wiadome nam inne przeznaczenie. Osoba ta dostała zakaz wstępu do Klubu. (...)

Z poważaniem
Inż. M. Pelc
Kierownik Klubu Polskiego

IMPRESSUM

Verleger
Wydawca
Gesellschaft Solidarność e.V.
Gesslerstr. 10
D - 1000 Berlin 62
Redaktor odpowiedzialny
Edward Klimczak
Adres redakcji
Postfach 62 02 24
D - 1000 Berlin 62
Tel. 030/782 93 84
Przedstawiciele, korespondenci
i kolporterzy

AUSTRALIA - Andrzej Lewandowski, 905/32 Dumond Street, Bentley 6102, Tel. 09/3505094;
AUSTRIA - Ryszard Gizowski, Felberstr. 38/19, 1150 Wien.
DANIA - Roman Smigielski, Kastelejsvej 5, 3tv, 2100 Kopenhagen 0, Tel. 01/425184;
FRANCJA - Krystyna Szewczuk, 143, rue Etienne Poulet, 69400 Villefranche s/S, Tel. 74/620945;
KANADA - Marek Przykowski, 4760 Cote des Neiges, Montreal P.Q., H3V 1G3, Tel. 514/73559-74;
NORWEGIA - Paweł Gajownik, Linderbergsgasen 32b, 1068 Oslo;

RFN - Łucja Abramowicz, Schniederbergstr. 135, 4532 Mettingen, Tel. 05452/3878; Stanisław Brodnicki, Zum Luftschacht 17, 4600 Dortmund 15, Tel. 02-31/374673; Anna Cywowska, Hammersteinstr. 1, 3000 Hannover 1, Tel. 0511/624038; Andrzej Janiszewski, Suedstr. 8, 5100 Aachen, Tel. 0241/22078; Jerzy Jankowski, Oskar-Maria-Graf-Ring 54, 8000 Muenchen 83; Lech Jarmuta, Postfach 601203, 2000 Hamburg 60; Zygmunt Kuciej, Edmenderstr. 9, 6230 Frankfurt 80, Tel. 069/385975; Jan Kustus, Graf-Gottfried-Str. 24, 5760 Arnsberg; Tadeusz Leń, Wienerstr. 307a, 7000 Stuttgart 30, Tel. 07-11/8567415; Marek Poliwski, Bachernerstr. 27, 5000 Koeln 41, Tel. 0221/407161; Iwona Sosnowska, Kuedinghovenerstr. 155, II, 5300 Bonn 3; Mirosław Sułtina, Wilhelm Bauman Str. 51, 4830 Guetersloh, Tel. 05241/27730; Waldemar Tymoszek, Postfach 150, 2000 Hamburg 4, Tel. 040-3194039;

SZWECJA - Tadeusz Karolak, Box 83, 13525 Tyreso, Tel. 08-7421457;
USA - Mirosław Marecki, P.O. Box 605a, Holand, MI 49432, Tel. 616/3966207; Tamara Sochacka, 3198 Trowbridge, Hamtramck, MI 48212; Andrzej Wiśniewski, 713 N. Rochwell //c, Oklahoma City, O.K. 73127;

„Pogląd” ukazuje się od stycznia 1982 roku (do października 1982 roku, jako „Biuletyn Informacyjny” Komitetu Obrony Solidarności) i jest niezależną publikacją Towarzystwa Solidarność e.V. - zrzeszenia zarejestrowanego w Berlinie Zachodnim, mającego na celu obronę praw do zakładania niezależnych związków zawodowych oraz obrony praw człowieka w Europie Wschodniej.

Fragmenty § 2 Statutu Towarzystwa

Zrzeszenie jest ponadpartyjne i realizuje w swej działalności wyjątkowo cele użyteczności publicznej, jakimi są:

1. Popieranie niesienia pomocy dla osób prześladowanych z przyczyn politycznych, rasowych i religijnych, dla uchodźców i wysiedleńców, przede wszystkim z krajów Bloku Wschodniego, a w szczególności z Polski.
2. Propagowanie tolerancji w dziedzinie kultury oraz rozpowszechnianie idei porozumienia między narodami w celu pokojowego ich współistnienia. (...)
3. Propagowanie zbliżenia kulturowego pomiędzy narodami, a w szczególności między Polakami i Niemcami. (...)
4. Popieranie ruchów demokratycznych w państwach totalitarnych, przede wszystkim w Polsce i krajach Bloku Wschodniego. (...)
5. Zrzeszenie realizuje swoje cele poprzez uświadamianie i popularyzowanie idei demokratycznych i kultury politycznej. W tym celu:
6. Zrzeszenie rozprowadza swoje czasopismo „Pogląd” - „Meinung” w kraju i za granicą. Zadaniem czasopisma jest informowanie o tendencjach rozwojowych w Polsce i w państwach totalitarnych, przede wszystkim w tych, które należą do Bloku Wschodniego, jak również ma na celu stworzenie forum dla prześladowanych, wysiedleńców oraz uchodźców z tych krajów. (...)
7. Zrzeszenie ma zamiar dokonywać analiz sytuacji w krajach totalitarnych, poprzez organizowanie sympozjów i wykładów oraz publikowanie ich rezultatów w celu informowania opinii publicznej. (...)

Cena pojedynczego egzemplarza bez wysyłki:

Australia	2,5 \$A
Austria	30 Ö S
Belgia	85 bfr
Dania	15 dkr
Francja	15 FF
Holandia	5 hfl
Norwegia	13,5 nkr
RPA	2,5 R
Szwecja	15 skr
USA	2,5 \$
Wielka Brytania	1,2£

PRENUMERATA

RFN:	
kwartalna	DM 27,-
półroczna	DM 52,-
roczna	DM 100,-
Kraje europejskie:	
półroczna	DM 54,-
roczna	DM 104,-
USA, Kanada, Afryka, Ameryka Południowa:	
półroczna	DM 72,-
roczna	DM 140,-
Australia:	
półroczna	DM 82,-
roczna	DM 160,-

Wysyłkę podejmujemy po przekazaniu należności na konto:

„Gesellschaft Solidarność” e.V.
„Pogląd”

Sparkasse der Stadt Berlin West
Konto Nr. 122 001 238 2
BZL 100 500 00

lub
Postcheckkonto
586 90 - 102
BLZ 100 100 10
Postcheckamt
1000 Berlin (West)

Czytelników w Szwecji prosimy o dokonywanie wpłat na prenumeratę na konto:

Tadeusz Karolak
Postgiro, Nr. 465 0809 - 9
dopisek: POGŁAD

OFFSETDRUCKEREI
Hans-Juergen Wichmann
Askanierring 155-156
1000 Berlin 20

CENA DM 4.-

© Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk i tłumaczenie wyjątkowo za pisemną zgodą redakcji. Zastrzega się prawo skracania nadesłanych materiałów. Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Nawet materiały podpisane nazwiskiem niekoniecznie oddają pogląd redakcji. Odpowiedzialność prawną za artykuły podpisane nazwiskiem ponoszą autorzy. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Christian
Skrzyposzek
WOLNA
TRYBUNA



stron 380, cena DM 39,- plus porto
Zamawiać w redakcji wydawnictwa.